



MARGARET WAY

**Powrót
do Macumby**

Tytuł oryginalny:
A Faulkner Possession



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Koniec semestru. Od jutra ferie, za parę dni Boże Narodzenie. Ile wspomnień i wzruszeń wiązało się z tą chwilą, kiedy wraz z ostatnim dzwonkiem można było wreszcie zamknąć teczkę i pomyśleć o czekających wakacjach! Roslyn zatopiła się we wspomnieniach. Straciła poczucie czasu, przeniosła się w przeszłość. A przecież minione chwile niosły ze sobą również smak goryczy. Uczniowie i nauczyciele już dawno opuścili mury szkoły, a ona wciąż siedziała przy swoim biurku, niewidzącym wzrokiem wpatrując się w starannie utrzymane trawniki i bujną zieleń ogrodu otaczającego Seymour College for Girls. Lecz zamiast obsypanych kwieciami roślin, oczami duszy widziała zupełnie inne krajobrazy...

Wizje, które od tak dawna nie dawały jej spokoju, obrazy tak drogie i bliskie, a jednocześnie tak niedosięte... Pustynia spalona słońcem, rozciągająca się aż po daleki horyzont, ogromne przestrzenie czerwonego piasku, usypane przez wiatr wysokie wydmy, jeszcze bardziej wyraziste na tle bezchmurnego nieba, wznoszące się jak złote piramidy... I na tym tle młody mężczyzna o kruczoczarnych włosach, dumnie dosiadający rumaka... Złociste oczy, siedzącej przed nim dziewczynki, wpatrzone w niego z uwielbieniem i podziwem...

Macumba i Marsh Faulkner. Nie mogła przestać o nich myśleć. Marsh, niegdyś jej ideał, a teraz mężczyzna, którego daremnie próbowała zapomnieć. Ich dawna serdeczna przyjaźń rozwiązała się bez śladu, pozostały jedynie wspomnie-

nia. Wspomnienia, które stale powracały, które nadal żyły w jej pamięci i nie chciały zgasnąć, podobnie jak dawna namiętność.

Przepelniła ją melancholia. Odchyliła się w fotelu, zacisnęła dłonie na poręczach. Zamrugła, jakby chcąc odsunąć od siebie napływające zewsząd wspomnienia, ale jej wysiłki jak zwykle spełzły na niczym. Gałą swoją istotą znów odczuwała tęsknotę i dawny ból. Czas niczego nie zmienił. .

Przez tyle lat, kiedy chodziła do szkoły, a potem studiowała, początek ferii oznaczał zawsze to samo - powrót do Macumby, rodzinnej posiadłości Faulknerów, bogatego rodu zasiedziałego w stanie Queensland. Należące do nich ogromne tereny ciągnęły się od pustynnego serca Australii aż do tropikalnych dżungli na północy i dzikich ostępów obszaru północnego. Nieprawdopodobnie bogaci, prowadzący szerokie interesy, Faulknerowie należeli do najbardziej wpływowych kręgów Australii. Szczycili się faktem, że z ich rodziny wywodziło się wiele znanych osobistości.

A moja matka jest u nich gosponią, z goryczą pomyślała Roslyn. To było coś, z czym nie mogła się pogodzić. Jej śliczna i kochana mama, tak ciężko doświadczona przez życie, już od dziesięciu lat pracuje dla Faulknerów. I jak ma przejść nad tym do porządku, jak się ma nie buntować przeciwko tak jawnej niesprawiedliwości? Starła się nie okazywać tego po sobie, ale w środku wszystko się w niej burzyło.

Mama, jedyna bliska mi osoba, jest teraz ich własnością, jedną z wielu. A przecież mogła być tutaj ze mną, wolna i od nikogo niezależna. Dlaczego się na to nie zgodziła? Dlaczego nie chciała niczego zmienić w swoim życiu? Odkąd zaczęła zarabiać, miała tylko jeden cel - odwdziżyć się mamie za jej nieskończone poświęcenia. Teraz stanęła na nogi, miała własny dom, mogłyby zamieszkać razem. Tylko że mama nie chciała się ruszyć z Macumby.

Czy mogła się z tym pogodzić?

Podniosła się z fotela tak gwałtownie, że niechcący strąciła z biurka stos książek. Z ciężkim westchnieniem schyliła się, by je pozbierać, ale w tej samej chwili na progu stanął Dave Arnold, młody nauczyciel przedmiotów ścisłych. Od razu zorientował się w sytuacji.

- Ros, poczekaj! Ja podniosę! - rzucił się w jej stronę. Lubił Roslyn Earnshaw. Ta szczupła, zgrabna dziewczyna o ciemnych włosach i ogromnych, złocistych jak topazy oczach, dodawała blasku długim godzinom, jakie spędzał w szkole. Podobała mu się. Miała olśniewającą cerę, której zazdrościły jej wszystkie uczennice. Uważał ją za prawdziwą piękność, która z niezrozumiałych powodów stara się stłumić wywierane przez siebie wrażenie. I choć zawsze ubierała się w stonowane, klasyczne stroje, Dave miał przeczucie, że pod maską nobliwej nauczycielki kryje się zupełnie inna natura, dzika i nieokiełznana. Uczennice przepadały za nią. Uwielbiały ją i podziwiały jak starszą, mądrą i piękną siostrę, tym bardziej że w stosunku do dziewcząt Roslyn traciła wyważony dystans, jaki utrzymywała względem swoich kolegów po fachu. Ceniono jej umiejętności i wiedzę; uchodziła za świetną nauczycielkę, ale jej prywatne życie było jedną wielką niewiadomą. Ta tajemniczość, -przynajmniej w oczach Dave'a, tylko dodawała jej uroku.

Ułożył książki na biurku, a ona podziękowała mu uśmiechem. Jak pięknie się uśmiechała! Był oczarowany.

- Masz samochód w naprawie, prawda? - zapytał, choć z góry znał odpowiedź.

- Nie przejmuj się mną, Dave. - Zaczęła zamykać okno.

- Myślałam, że już dawno pojechałeś.

- Bez pożegnania?

Popatrzyła na niego z lekkim zdziwieniem.

- Przecież już się żegnaliśmy. Na przyjęciu dla kadry.

- To było co innego, oficjalna okazja. Nie to co teraz. Zresztą i tak ktoś musi cię odwieźć do domu.

- Masz złote serce, Dave. Dzięki. Będę ci wdzięczna.: Nie minęła chwila, a już szli opustoszałym korytarzem w stronę obsadzonego oleandrami parkingu.

- Co masz zamiar robić w czasie ferii? - zagadnął Dave, kiedy ruszyli z miejsca.

- Jeszcze nie wiem - odrzekła z lekkim westchnieniem.

- Nie mogę się zdecydować. Mama bardzo chce, żebym ją odwiedziła, ale jest parę rzeczy, które mnie powstrzymują.

-- Na przykład, co? - zaciekawił się.

- Inni ludzie, Dave. Zawsze znajdują się tacy, co potrafią wszystko popsuć.

Dave przez chwilę w milczeniu rozważał jej słowa.

- No tak - mruknął. Zerknął na nią ukradkiem. - Niewiele wiem o twojej rodzinie. Właściwie nigdy o niej nie mówiłaś.

- Bo prawie jej nie mam. Jestem jedynaczką. Ojciec zginął, kiedy miałam czternaście lat.

- Tak mi przykro, Roslyn - powiedział ze szczerym współczuciem. - Teraz rozumiem, dlaczego czasami jesteś taka smutna.

- Nie wiedziałam, że to takie widoczne.

- Owszem. Widoczne. To jest ta druga smutna strona Ros, która uchodzi za doskonałego pedagoga. Wracając do twojej mamy... wyszła powtórnie za męża? Czy to o to chodzi?

To właśnie powinna zrobić, pomyślała Roslyn. Wyjść za męża i mieć kogoś, kto będzie ją kochać.

- Nie, jest sama - odrzekła. - Mój ojciec był niespokojnym duchem. Gonił za przygodą. Jako młody chłopak spakował dobytek i ruszył w świat. Postanowił zostać osadnikiem, zakosztować innego życia. Osiadł na założonej na dziewiczym pustkowiu fermie. Nie było lekko, ale powoli zdobywał pozycję. Miał dwadzieścia sześć lat, gdy poznał moją mamę.

Przyjechała z Anglii z koleżanką. Miała nadzieję, że w Australii ułoży sobie życie. Straciła matkę, kiedy miała trzy lata. Rok później jej ojciec powtórnie się ożenił, ale macocha nie miała dla niej serca. Z biegiem lat było coraz gorzej. Nie mówiłam ci wcześniej, ale moją mamą jest bardzo ładna. Niestety, to bardzo często wcale nie pomaga, ale utrudnia życie. Miała złe dzieciństwo, przez to stała się bardzo podatna na ciosy, straciła wiarę w siebie. Czasami wydaje mi się, że nadal jest jak zagubione dziecko... Kiedy tylko stało się to możliwe, spakowała walizkę i razem z koleżanką przyjechała do Australii. Przez lata utrzymywały ze sobą kontakt. Ojciec zakochał się w niej od pierwszego spojrzenia. Nieraz powtarzał, że sam nie wie, jak to się stało, że zgodziła się za niego wyjść. Delikatna i dobrze ułożona panienka, i on, całkowicie inny: bezpośredni i nieco rubaszny. Bardzo go kochałam, a on uwielbiał swoje dwie kobietki. Stopniowo wspinał się coraz wyżej. Kiedy miałam dziesięć lat, awansował na szefa odpowiedzialnego za hodowlę na bardzo dużej fermie. Było nam całkiem dobrze: mieliśmy ładny dom, niezłe pieniądze, perspektywę, że będzie jeszcze lepiej. I tak też było. Tata został zarządcą, ale rok później zginął.

Dave odwrócił głowę i popatrzył na nią zaskoczony.

- Co mu się stało?

- Koń go zrzucił. Spadł tak nieszczęśliwie, że nie dało się go uratować. Jak na ironię, bo niemal całe życie spędził w siodle. Mama nigdy się z tym nie pogodziła. Mnie było łatwiej, ale choć minęło tyle lat, ciągle mi go brakuje, stale mam poczucie, że straciłam kogoś bardzo ważnego w moim życiu... I tak niewiele trzeba: jakieś słowa, fragment piosenki czy zapach buszu, by wszystko odżyło na nowo. Życie jest tak przeraźliwie smutne!

- Jest takie dla bardzo wielu ludzi. Gdzie teraz jest twoja mama?

- Nie ruszyła się z miejsca. - Choć Roslyn się starała, nie była w stanie pohamować mimowolnej złości. - Po śmierci taty właściciel fermy zaproponował jej posadę, a ona ją przyjęła.

- Nie wydajesz się zadowolona z takiego obrotu sprawy.

- Bo nie jestem. Ani wtedy, ani teraz - potwierdziła. - Same mogliśmy dać sobie radę.

- Przecież mówiłaś, że twoja mama nie jest osobą przebojową, wręcz przeciwnie. Wyobrażam sobie, jak była załamana. Została bez męża, musiała zatroszczyć się o dziecko. W takich chwilach ludzie albo zrywają z całym dotychczasowym życiem, albo kurczowo trzymają się tego, co już znają. Co to za posada?

- Gosposi - bezbarwnym głosem oznajmiła Roslyn.

- Co w tym złego? - zdumiał się Dave. - Chyba nie jesteś snobką?

- Właśnie że jestem! Zwłaszcza kiedy to dotyczy mojej mamy! Nie mogę znieść myśli, że jest na czyjeś zawołanie, A tym bardziej ich. Przez całą szkołę i studia starałam się jak tylko mogłam. Skończyłam studia z trzecią lokatą. Dostałam propozycję pracy w Seymour, a sam wiesz, że nie jest łatwo tu trafić. Zarabiam nieźle i stać mnie, by mama zamieszkała ze mną! - Słowa same cisnęły się jej na usta, ale choć nie chciała dłużej drażnić tego tematu, nie mogła się powstrzymać.

- Masz stuprocentową pewność, że mama sama sobie nie radzi? - zapytał ostrożnie.

Dziewczyna zamknęła oczy.

- Och, Dave, nie możesz wiedzieć, jak to jest. Trzeba doświadczyć tego na własnej skórze, żeby zrozumieć. Ci ludzie są nieprawdopodobnie bogaci, mają ogromne wpływy. Są zupełnie inni niż ty czy ja. Mówi się, że bogaci są inni. I tak rzeczywiście jest. To ludzie niezbitcie przekonani o swojej nieomyślności, ich poglądy są niepodważalne. Wydaje im się, że są panami stworzenia. A niektóre z tych kobiet są

wprost niemożliwe do zniesienia. Znam parę takich, które poczytałyby sobie za afront, gdybym odważyła się do nich odezwać. Inne patrzyły na mnie, jakbym była jakimś dziwo-
lągiem. Niektóre bardzo lubiły roztaczać wokół siebie atmo-
sferę władzy, uzurpując sobie prawa swoich mężów. - Za-
śmiała się niewesoło, bo poczuła się nagle trochę niezręcznie.
- Wiem, że to, co mówię, może wydać ci się przesadne, ale
naprawdę tak było. Dziecko łatwo zranić, a oni nie mieli
skrupułów.

- W każdym razie wcale tego po tobie nie widać - uspo-
kajająco zapewnił ją Dave. - Prawie każda dziewczynka
w szkole marzy o tym, by być taka jak pani Earnshaw.

Roslyn potrząsnęła głową i uśmiechnęła się lekko.

- To tylko z powodu mojej cery, Dave. Każdy pryszcz
na buzi jest dla nastolatki prawdziwą tragedią. Nie pomyśl
o mnie źle. Po prostu chciałabym, żeby moja mama zaznała
lepszego życia.

- Przykro ci, że nie chce zamieszkać z tobą, co?

- No pewnie. Okropnie mi przykro. Przecież po to tak się
starałam, a teraz słyszę, że muszę mieć własne życie. Jej od-
powiada to, co ma.

- Więc dlaczego nie chcesz przyjąć tego do wiadomości?
Roslyn wzruszyła ramionami.

- Dave, na moim miejscu też byś tego nie zrobił. Ona tam
nie ma lekko. To nie jest taki słodki układ: szanowana gospo-
sia i życzliwi jej państwo... jak z jakiegoś filmu. Poza tym
wcale jej nie wierzę. Ona ma dopiero pięćdziesiąt lat. Jest
piękną kobietą, a miała taki ciężki los. I nic z życia dla siebie.
Pomyśl tylko, co robią inne kobiety w jej wieku... A ona?
Tak naprawdę, to ona nic nie miała z życia...

Przez chwilę Dave milczał.

- Chyba cię rozumiem - odezwał się wreszcie. - Ale to
jest twój punkt widzenia, prawda? Może tragedia, jaką prze-

żyła twoja mama, odebrała jej chęć do walki. No, powiedz mi w końcu, gdzie ona jest. Jesteś strasznie tajemnicza.

Roslyn popatrzyła na swoje zaciśnięte dłonie,

- Chyba masz rację. Zwykle staram się unikać mówienia o swoich prywatnych sprawach, ale koniec semestru zawsze mnie rozkleja. Mimowolnie zaczynam przypominać sobie szkolne lata, choć wiem, że to błąd. I tak powiedziałam ci więcej niż komukolwiek innemu. Ta posiadłość nazywa się Macumba. Macumba Downs.

Dave zrobił wielkie oczy.

- Przecież to siedziba Faulknerów!

- Daj spokój, Dave. W końcu to też tylko ludzie.

- No wiesz! Założyciel ich rodu jest niemal symbolem Australii! Powiem ci szczerze, Ros, oszołomiłaś mnie. Ale przecież oni zginęli kilka lat temu w katastrofie lotniczej!

- Tak, to był sir Charles. - Na samo wspomnienie Roslyn posmutniała. - Wybrał się na objazd ich włości leżących na północy i samolot rozbił się w czasie burzy. Razem z nim zginęła jego żona, lady Faulkner, i jeszcze dwie inne osoby: jego przyjaciel z Ameryki i młodszy brat, Hugo. - Nie dodała, że Marsh, który też miał wtedy lecieć z nimi, w ostatniej chwili zrezygnował, by czegoś dopilnować na miejscu. Ileż razy prześladowały ją koszmarne sny, w których Marsh ginął w roztrzaskanym samolocie!

Dave aż wstrzymał dech,

- Boże, co za tragedia! - jęknął. - W takim razie to musiał być chyba syn sir Charlesa - zastanowił się. - Widziałem go ostatnio w telewizji. Była jakaś dyskusja na temat eksportu bydła do Japonii i na Daleki Wschód. Nie powiem, żeby interesował mnie ten temat, ale facet zwrócił moją uwagę i tak mnie wciągnął, że przysiadłem i posłuchałem. Naprawdę był niezły. Pochodzi z takiej rodziny! I ma naprawdę stare pienią-

dze. To nie współczesny dorobkiewicz. Taki nie musi niczego udowadniać. Jest żonaty? Powinien być.

Roslyn potrząsnęła głową.

- Nie, nie jest.

- W takim razie założę się, że jest najlepszą partią w Australii! - zaśmiał się.

- I wie o tym.

- Można się tego domyślać. Zdaje się, że też ma na imię Charles, jak jego ojciec?

Roslyn popatrzyła za okno.

- Wszyscy mówią na niego Marsh. To jego drugie imię, po matce. Marshallowie nadal mają pakiet kontrolny w Mossvale Pastoral Company.

Dave aż gwizdnął.

- Mossvale! Na Boga, czyż to nie zawsze tak jest, że pieniąż przyciąga pieniąż? A co myślisz o tym Marshu Faulknerze? - zapytał z nie ukrywaną ciekawością w głosie.

- Wygląda na silną osobowość.

Roslyn wygładziła fałdki na spódnicy.

- To prawda.

Musiało uderzyć go coś w jej głosie, bo popatrzył na nią uważnie.

- Mogłabyś wyjaśnić to szerzej?

- Nie ma mowy! I zostawmy już ten temat, Dave.

- Skoro sobie życzysz - przystał od razu.

Dziesięć minut później wjechali w spokojną, wysadzaną drzewami uliczkę, przy której mieszkała Roslyn. Jej dom, jeden z typowych budynków, dzięki zabiegom właścicielki zyskał zupełnie nowy wygląd. Za stylowym ogrodzeniem z cegły i kutego żelaza oszalał zieleń starannie urządzonego ogród.

- Może zaniosę ci ten karton z książkami, co? - z nadzieją w głosie zapytał Dave.

Po co miałyby robić mu złudzenia?

- Dzięki, Dave, nie jest ciężki - powiedziała uprzejmie,
- W takim razie zmykam! - Nie dał po sobie niczego
poznać. - Trzymaj się, Ros! Miłych wakacji! - Dave pochylił
się, lekko musnął ustami jej policzek i pośpiesznie wsiadł do
auta.

Pomachała mu ręką na pożegnanie i patrzyła za nim, dopóki samochód nie zniknął jej z oczu. Lubiła Dave'a. W ciągu tego roku parę razy spotkała się z nim, ale tylko tak, towarzysko. Właściwie na co czekała?

Po drodze wyjęła pocztę i przewertowała ją pobieżnie. Za dużo padło słów o Macumbie, od tego aż rozboleła ją głowa. Odepnęła spinkę przytrzymującą włosy, rozpuściła je i odechnęła z ulgą. Tak było dużo lepiej! Nie znosiła tego surowego uczesania.

Przechodząc obok rosnącego w zacienionym kącie krzewu gardenii, zerwała pachnący słodko kwiat i z lubością zaciągnęła się upojnym zapachem. Jaka szkoda, że kamelie nie pachną tak cudownie! Jak tylko się przebierze, musi włączyć zraszacz. Uwielbiała swój ogródek. Dawał jej tyle przyjemności i satysfakcji. Każda posadzona roślina z nawiązką odwdzięczała się za włożony trud. Zdarzały się chwile, że nie mogła uwierzyć, że naprawdę ma swój własny dom. I co z tego, że miną całe lata, nim do końca go spłaci? Ale go ma!

Mama namawiała ją na segment, uważając, że będzie w nim bezpieczniejsza, ale Roslyn od dziecka nawykła do przestrzeni i swobody, nawet nie chciała o tym słyszeć. Chciała mieć swój ogród i miejsce, gdzie mogłaby wstawić fortepian, prezent od mamy na dwudzieste pierwsze urodziny. Cieszyła się z instrumentu, ale jej radość mącił niepokój, czy mama nie wydała na niego całych swoich oszczędności. Ale czyż mogła spodziewać się czegoś innego, skoro od zawsze rodzice przeznaczali na jej potrzeby każdy grosz? Przez sie-

dem lat uczyła się w jednej z najlepszych szkół. Miała doskonałe oceny i mama obstawała, by poszła na uniwersytet. Roslyn też tego pragnęła, ale świetnie wiedziała, że to niedościgłe marzenie. Skąd wzięłyby na to pieniądze?

Wbrew jej przewidywaniom jako się udało. Przez całe studia pracowała jednocześnie jako kelnerka w restauracji. Dodatkowo uczyła w szkole. Nie było łatwo pogodzić naraz tyle obowiązków, ale była młoda, ambitna i miała jeden cel - odwdziżyć się mamie. Po skończeniu studiów dostała pracę w Seymour, prestiżowej szkole dla dziewcząt. Uważała[^] że szczęście się do niej uśmiechnęło. Nadal utrzymywała kontakty ze znajomymi ze studiów, więc nie narzekała na brak życia towarzyskiego. Ale mimo to stale prześladowało ją dziwne, nie dające się racjonalnie wyjaśnić uczucie pustki. Do pełni szczęścia jeszcze jej czegoś brakowało. Praca dawała jej satysfakcję i motywowała do działania, ale nie mogła wypełnić całego życia.

To decyzja mamy spędzała jej sen z powiek. Wybrała Faulknerów, nie ją. Ta świadomość stale ją dręczyła. Zaznała tyle złego, mieszkając z nimi niemal pod jednym dachem. Nie powinno się mówić źle o zmarłych, ale lady Faulkner zapisała się w jej pamięci jak najgorzej. Wyniosła i dumna, zawsze traktowała innych z odpychającą arogancją, wiecznie niezadowolona z wykonania poleceń, wytykała wymaginowane uchybienia. Roslyn do dziś pamiętała dzień, kiedy, smagnięta jej szpicrutą, upadła na zrytą końskimi kopytami ziemię.

Była wtedy dzieckiem, ale stale miała w oczach jej obraz: mocno zbudowana, o ostrych rysach, lodowato błękitnych oczach, piegowatej cerze. Bardzo wysoka, w butach do konnej jazdy. Wydawała się jej przerażająca.

- Pani jest okropna! Wstrętna! - wykrzyknęła mała Ros, nie mogąc pohamować żalu i poczucia krzywdy. - Ja wcale nie splotyłam Rajah!

Córka nędznego zarządcy odważyła się odezwać w ten sposób do lady Faulkner! To się nie mieściło w głowie. Na szczęście sir Charles natychmiast znalazł się przy niej i rozładował sytuację, a Marsh pomógł jej wstać i otrząść się z kurzu. Od tamtej chwili chłopiec wziął ją pod swoją opiekę, stał się jakby tarczą, chroniącą Roslyn przed jego matką. Tak było aż do jej śmierci. I choć od tamtego dnia lady Faulkner nie podniosła na nią ręki, wzajemny uraz pozostał. Śmierć sir Charlesa wzbudziła powszechny żal, ale odejście jego żony powitano cichym westchnieniem ulgi. Nie-była osobą lubianą i ona też chyba nikogo nie lubiła. Jedynie syna obdarzała cieplejszym uczuciem. Obie córki nawet nie mogły marzyć, by się z nim równać. Odziedziczyły po matce wzrost i typ urody, przejęły jej autokratyczny sposób bycia. Spuścizna Marshallów, jak żartem mawiano. Dla Roslyn i jej matki nie było miejsca w Macumbie. A mimo to mama zdecydowała się tam zostać. Dlaczego? Co ją tam trzymało? Roslyn zacisnęła powieki. Wołała nie dociekać przyczyn. Kto wie, co by z tego wynikło?

Zatopiona w tych myślach zaczęła wchodzić na ganek. Naraz serce zabiło jej mocniej. Mężczyzna siedzący w wiklinowym fotelu na werandzie podniósł się na jej widok. Przy stojny, ubrany z wyszukaną elegancją.

Czy naprawdę się tego nie spodziewała?

Postąpił kilka kroków, wynurzając się z zielonego cienia. Poruszał się płynnie, z naturalnym wdziękiem. Prześwitujące, przez liście światło wibrowało złotymi plamami. Roslyn przyjrzała się jego twarzy. Patrzył na nią bez uśmiechu.

Marsh. Mężczyzna, którego żadna kobieta nie mogłaby zapomnieć. A już na pewno nie ona.

W jednej chwili odżyła dawna fascynacja.

- To ty?

Nic się nie zmieniło. Jak niegdyś oboje działali na siebie. Czują to.

- Ja. Moja słodka Rosa! - Błękitne oczy przesunęły się po jej figurze, jakby przypominając sobie, że znają każdy centymetr jej ciała.

- Co ty tu robisz? - Starła się, by zabrzmiało to jak najchłodniej.

- Nieważne. Ale, co ty tu robisz z innym facetem?

- Marsh, jestem wolnym człowiekiem. Jak ty.

- Nieźle. Wejź tutaj, - Przymrużył oczy, a lekki uśmiech zaigrał na jego ustach.

- Dziękuję. - Wzruszyła ramionami. - Ale to mój dom.

Rzuciła trzymany w rękę kwiat i szybkim krokiem weszła na werandę. Prosto do klatki lwa, przemknęło jej przez myśl. Czują dziwne podniecenie, było jej gorąco. Pociesała się myślą, że może Marsh niczego nie dostrzeże.

- Masz bardzo ładny dom - odezwał się pojednawczo. - I piękny ogród. Sama doprowadziłaś go do takiego stanu? Może warto by było ustawić tu jeszcze niewielką rzeźbę?

Gwałtownie odrzuciła głowę, zawirowały rozpuszczone włosy.

- Nie mów do mnie takim protekcjonalnym tonem, dobrze? - wycodziła. - Nie znoszę tego.

- Och, no tak! Jakże mogłem zapomnieć? - zaśmiał się.

- To działa na ciebie jak płachta na byka, co? Już dobrze, nie będę; Nie widzieliśmy się tyle czasu, dobrych parę miesięcy. Ostatni raz u ciebie w szkole, nie wiem, czy wszystkiego dziesięć minut. Mało mnie wtedy nie zmroziłaś.

- A czego się spodziewałeś? Wybuchu radości?

- Kiedyś tak bywało-przypomniał jej.

Tak bywało, bo wtedy była mu całkowicie uległa. Zarużmieniła się.

- Już dawno przestałeś mnie obchodzić.

Skwitował to uśmiechem. Białe zęby błysnęły, kontrastując z opalenizną twarzą.

- Jakoś to przeżyłem, Rosa. Ale czemu ty wyglądasz tak jakoś smutno?

Mimowolnie dotknęła dłonią czoła. Płonęło.

- Mylisz się, wcale nie jestem smutna. Jedynym moim zmartwieniem jest to, że moja mama nadal nie chce zamieszkać ze mną.

- Tak zdecydowała. I nie miej do mnie o to pretensji. Liv jest inna niż ty. Życie jej nie oszczędziło. Nie jest taka zażdziorna, nie musi za wszelką cenę postawić na swoim, nie rzuca się na każdego z pazurami. A w Macumbie czuje się bezpieczna.

- Bo to ty ją tam trzymasz, tak jak wcześniej twój ojciec! - wybuchnęła, nie mogąc się pohamować. Najchętniej by go teraz uderzyła. Dlaczego aż tak ją prowokował? - I jakim prawem mówisz o niej Liv?

- Sama tego chce - uciął. - Roslyn, teraz ja rządę w Macumbie. Wiele się zmieniło. Szkoda, że nie chcesz tego pojąć. Może wejdziemy do środka? Twoja sąsiadka już od kwadransa nie spuszcza ze mnie oczu.

- Co w tym dziwnego? Większość kobiet traci głowę na twój widok. - Ruszyła do, drzwi - Jak to się stało, że nie znalazłeś klucza?

- Znalazłem. Za koszem z orchideami. Niezbyt to rozsądne z twojej strony, kotku. Piękna dziewczyna, mieszkająca samotnie, powinna być bardziej ostrożna.

- Kto ci powiedział, że mieszkam samotnie? - Przekreśliła klucz i weszła do środka.

- A nie jest tak? - Nieoczekiwanie ujął ją za ramię. To wystarczyło, by niemal straciła władzę w nogach.

- Ręce przy sobie, Marsh. — Starła się, by zabrzmiało to jak najspokojniej. - Moje życie to nie twoja sprawa.

Uśmiechnął się z lekką kpina.

- I ty to mówisz? Po tylu latach? Rosa, spójrz prawdzie w oczy. Zawsze będziesz mnie obchodzić.

- W końcu ci się znudzi. - Szarpnęła się w tył. - Po co przyjechałeś do miasta? Przecież nie po to, żeby się ze mną zobaczyć...

- Daj spokój - przerwał jej cicho. - Jak mogłem przegapić taką okazję? Mam spotkanie w mieście, więc połączyłem przyjemność z obowiązkiem. Słyszałem od Liv, że nie masz specjalnej ochoty przyjechać do nas na święta.

- Ujęłabym to bardziej dosadnie. - Włożyła klucz do zamka. - Powiem ci wprost: mam już serdecznie dość ciebie i twojej wspaniałej Macumby. Wystarczy mi do końca życia.

- Nie mówisz tego serio - nie zrażał się. - Rzecz w tym, że ciągle nie możesz wyzwolić się z przeszłości. To ona cię gnębi. A przecież nie ty jedna się nacierpiałaś.

Cisza aż dzwoniła w uszach.

- Naprawdę tak myślisz? A więc jednak nie przeszło bezboleśnie - zaatakowała.

- Oczywiście, że nie. I przestań już to drążyć. Zawsze byłaś lekko przewrażliwiona. Nie poczęstujesz mnie kawą? Bo sam ją sobie zrobię.

- Ciekawe, kiedy ostatni raz ci się to zdarzyło? - rzuciła prowokacyjnie.

Popatrzył na nią tak, że aż się wzdrygnęła.

- Czy to miało znaczyć, że według ciebie nie tykam się codziennych prac?

- No dobra, trochę przesadziłam - mruknęła przeproszająco. - Wiem, że ciężko pracujesz. Bardzo ciężko. Miałam na myśli tylko to, że jesteś przyzwyczajony do obsługi.

- Rosa, jesteś większą snobką niż my wszyscy razem wzięci. Nie widzę niczego złego w tym, że mam gosposię, która mi gotuje. Po pierwsze: sam nie mam na to czasu ani

ochoty, a po drugie: dzięki temu ktoś ma pracę. Zawsze byłaś przewrażliwiona na tym punkcie, bo chodzi ci o twoją mamę. Przecież pracuje u nas z własnej woli. Stać nas na to, a dom jest duży i ktoś musi wszystkiego doglądać. Poza nią pracuje u nas mnóstwo ludzi, całe setki. Nikogo do tego nie zmuszamy i większość jest zadowolona z tego, co robi. Łącznie z Liv. Czuje się doceniana i może się wykazać.

- Dobrze wiesz, ile na nią spadło i jak to przeżyła - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - Po śmierci ojca była w takiej rozpacz, że nie umiała pomyśleć o sobie. Ja byłam za mała, żeby jej pomóc. Twój ojciec zaproponował jej posadę i nawet twoja mama, która nigdy nas nie lubiła, nie śmiała zaprotestować.

- Moja mama nikogo nie darzyła sympatią - żartobliwie skrzywił się Marsh.

- Z wyjątkiem ciebie. Ciebie ubóstwiała. Tylko ty się dla niej liczyłeś. Dlatego zawsze współczułam twoim siostram. Sir Charles też nie miał lekko.

Marsh westchnął tylko.

- Dobrze wiesz, że to nie było małżeństwo z miłości. Ich ślub został postanowiony, kiedy byli dziećmi. Tak się zdarza. Wszyscy mieli nadzieję, że jakoś się ułoży, ale tak się nie stało. Każde z nich żyło własnym życiem, tyle tylko, że pod jednym dachem. To był ich wybór. Ojciec odrzucał możliwość rozwodu. Uważał, że skoro złożył przysięgę, to pozostanie jej wierny. Wiesz, jaki był.

Roslyn pochyliła głowę. Czuła się niewyraźnie.

- Był bardzo szlachetny, ale nie był szczęśliwy. Spoczywała na nim ogromna odpowiedzialność, tyle się po nim spodziewano. Z takim ciężarem nie jest łatwo. Czy dla nich obojga nie byłoby lepiej, gdyby się rozeszli?

- A co z dziećmi, rodziną, ciągłością tradycji? - zniecierpliwił się. - Jest wiele gorszych rzeczy, niż bycie razem.

Wszystko mogłoby się rozsypać. Ros, każdy z nas powinien rozwiązywać jedynie swoje własne problemy. Nie wtrącać się do innych ludzi. Ty również nie powinnaś się wtrącać do życia twojej mamy. Nie zawsze jest tak, że inni postępują w taki sposób, jak byśmy sobie tego życzyli, nie wszystko idzie po naszej myśli. Mój ojciec miał swoje racje i to mi wystarcza.

- Ale mnie nie! - wykrzyknęła. - Sir Charles zaszantażował moją mamę, żeby u was została.

Tego było dla niego za wiele. Pochwycił ją za ramiona.

- Bo martwił się o jej przyszłość! Między nimi nic nie było, jeśli o to ci chodzi!

- Jakże bym mogła! Sir Charles, duma i podpora społeczeństwa, i zwykła gosposia? Przecież to byłoby świętokradztwo, wołające o pomstę do nieba!

Jego oczy zapłonęły błękitnym blaskiem. Z każdą chwilą robiły się coraz bardziej niebieskie.

- Rosa, ani słowa więcej - wycedził.

Nie mogła się teraz poddać.

- To boli - poskarżyła się, patrząc na jego ręce mocno ściskające jej ramiona.

- Przepraszam.

Puścił ją gwałtownie i ruszył korytarzem do kuchni.

Roslyn przez chwilę stała nieruchomo, próbując się uspokoić. Ostatni raz, kiedy się z nim widziała, ich rozmowa też zakończyła się kłótnią. Właściwie to ona była temu winna. Wiedziała o tym, ale ze strony Faulknerów doświadczyła tyle zła, że nie potrafiła się powstrzymać.

Kiedy weszła do kuchni, Marsh rozglądał się po utrzymanym w ciepłych barwach wnętrzu. Pomalowane na słoneczny kolor ściany, białe firanki i okrągły sosnowy stół, otoczony takimi samymi krzesłami, sprawiały przyjemne wrażenie. Na wiekowej komodzie Roslyn wyeksponowała kolekcję starej porcelany. Na stole i pod oknem, tuż obok zlewozmywaka,

stały wazon z kwiatami. Wszystko jak należy. Mama dobrze ją wyszkoliła.

Chociaż Marsh z pewnością wcale tego nie zauważył. Przywykł od kołyski, że zawsze wszystko musiało lśnić. Jej pierwszą kołyską był kosz na bieliznę, uzmysłowiła sobie niespodziewanie. Marsh, wysoki po ojcu, w niewielkiej kuchni wydawał się jeszcze wyższy. Dochodził trzydziestki, ale nadal był szczupły i wysportowany. Zwykle widywała go w sportowych koszulkach i dżinsach, ale dzisiaj miał na sobie ciemnoszary garnitur, niebieską koszulę i jedwabny krawat. Wystarczyło jedno spojrzenie, by zorientować się, że doskonale czuł się i w takim stroju. Chociaż nie można było mu zarzucić, że jest próżny. Po prostu zawsze świetnie wyglądał i w każdej sytuacji doskonale się prezentował. Tak został zaprogramowany. Miał być dumą rodu, od dziecka błyszczeć, w każdej dziedzinie, poczynając od nauki i sportu, być niedoścignionym. I tak było. Był wszechstronnie uzdolniony. Urodzony przywódca, który bez trudu umiał z każdego wydobyć to, co miał najlepszego do zaoferowania.

Z wyjątkiem mnie. Z całą pewnością nie dam się oczarować i nie będę podziwiał go tak jak inni. Tamte czasy odeszły w przeszłość.

- Powiodło ci się, co? - Jego głos wyrwał ją z tych rozmyślań.

- Co w tym dziwnego? Sam dałeś mi przykład. Usiądź już, Marsh, nie stój tak nade mną. Przy tobie wszystko tu wygląda jak w domku dla lalek.

- Owszem, ale bardzo tu przyjemnie i wygodnie. Masz wszystko, czego ci potrzeba. Na razie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Zabrała się za parzenie kawy, ciesząc się w duchu, że akurat kupiła najlepszy gatunek.

- Że przyjdzie taki czas, że nawet ty, Rosa, w końcu wyjdiesz za męża.

- Zastanowię się nad tym, kiedy zobaczę ciebie idącego do ołtarza - odcięła się. - A co tam słyhać u Kim Petersen?

- Ciągłe się kręci w pobliżu - odrzekł, bawiąc się różowymi płatkami kwiatu.

- Nie ma żadnej godności! - Roslyn skrzywiła się. - Po tym, jak ją potraktowałeś!

- O co ci chodzi? Niczego jej nie obiecywałem!

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Skoro jest ci z tym lepiej.

- Rosa, nic na to nie poradzę, że wszystkim dziewczynom tylko jedno w głowie. Nie każdy jest tak nastawiony na karierę jak ty.

- Jestem zależna tylko od siebie - powiedziała z nieukrywaną satysfakcją. - Twoim siostróm też by się to przydało.

- Zgadzam się - uśmiechnął się. - Chciałabyś wzbudzić w nich poczucie winy? Ale teraz obie są mężatkami i nie dosięgnie ich twój cięty język. Nie muszą stresować się twoją inteligencją. Jesteś zawziętą feministką.

Znieruchomiała z ręką na młynku.

- Jestem! Wszystkie myślące kobiety powinny być feministkami! A twoje siostry ze swoją mentalnością ciągle tkwią w poprzednim stuleciu.

- Kobiety z dużymi pieniędzmi nie zawsze chcą robić użytek z własnych zdolności.

- I wielka szkoda! - westchnęła. - W każdym razie obie dały mi odczuć, gdzie jest moje miejsce. I nigdy nie zapomnę, jak Dianne potraktowała mnie na swoim przyjęciu zaręczynowym.

- Nie uważasz, że zainteresowanie, jakim obdarzył cię jej narzeczoną, miało na to jakiś wpływ? - Wyprostował się.

- Jak zwykle nie jesteś obiektywna. Poczekaj, ja to zrobię. Ty weź filiżanki.

- Przecież ja go nawet nie zauważyłam - powiedziała, odwracając się do kredensu. - Byłam tam tylko po to, żeby pomóc mamie.

I przy okazji zerknąc na ciebie, pomyślała w duchu.

- Ja mogę przyjąć takie tłumaczenie, ale biedna Di nie - stwierdził. - Problem w tym, że nie masz pojęcia, co może zdziałać zazdrość. Założę się, że seksu też się wyrzekłaś.

- Nie mam zamiaru ani ochoty rozmawiać z tobą na ten temat! - ucięła cierpko.

- A więc nie powiesz mi o tym koledze z pracy?

Odwróciła się z zaskoczoną miną.

- Skąd wiesz, że pracuję z Dave'em?

- Myślałaś, że tego nie sprawdzę? - zapytał ironicznym tonem.

- To nic trudnego, ale przecież nigdy go nie widziałeś? W milczeniu wciągnął aromatyczny zapach świeżo zmielonej kawy.

- Kochanie, zauważyłem go, kiedy byłem u ciebie w szkole. Miły człowiek z chłopięcą buzią. Akurat wychodził, kiedy zaczęłaś się na mnie wściekać. Okropnie się zdziwił, pewnie nigdy nie widział cię w takim stanie. Nie wiedział, że te układne stroje i gładka fryzurka to tylko pozory. Powinien zobaczyć cię w Macumbie, galopującą na koniu. Możesz mówić, że wcale tego nie lubisz, ale dopiero tam wychodzi na jaw twoja prawdziwa natura.

- Podać coś do kawy? - Woląla zmienić temat.

- Wystarczy chwila rozmowy. - Błękit oczu odbijał od jego opalonej twarzy, kontrastował z ciemnymi włosami. Ten obraz prześladował ją od lat. - Liv bardzo przeżywa, że nie chcesz do nas przyjechać. Bardzo na to czekała.

- W takim razie, czemu nie dasz jej urlopu, żeby przyjechała do mnie? - spytała, stawiając na stole dzbanek z kawą. Gwałtownie zmarszczył brwi.

- Dobrze wiesz, że w czasie świąt mamy pełne ręce roboty, będzie mnóstwo gości. - Dostrzegł jej grymas. - Mam zobowiązania względem wielu osób. Bez Liv nie dam sobie rady, zresztą ona sama też nie chce mnie zostawić. Z niczyjej strony nie spotka cię żadna przykrość. Nikt by się nie ośmielił...

- Niechby tylko spróbował! - zawołała. - Jestem dorosła, potrafię się odgryźć. Ale nie mam na to ochoty. Nie, Marsh, im dalej będę Się od ciebie trzymać, tym lepiej. Bardzo tęsknię za mamą, ale, jak widać, nic już na to nie poradzę. Macumba jest dla niej Ważniejsza. Tak już pewnie musi być. Najpierw sir Charles, teraz ty. Powinam się przyzwyczaić. - ^ Marsh próbował coś powiedzieć, ale nie dopuściła go do głosu.

-Chcę mieć spokojne święta. Nie mam ochoty znosić ciągłych uszczypliwości. Twoje siostry pewnie przyjadą, co?

- Na trochę. Mam im powiedzieć, żeby zostały w domu? Potrząsnęła głową, zaskoczona jego tonem.

- Ależ skądże! Kochają cię i chcą cię mieć wyłącznie dla siebie. To też jeden z powodów, dla których lepiej, żebym nie przyjeżdżała.

- Bo cały czas nie możesz zapomnieć o przeszłości; Nalała kawę i podsunęła mu filiżankę.

- Chyba nie proponujesz, żeby zacząć od nowa?

- Mogę cię nawet pocałować na dobry początek.

Nie chciała patrzeć na jego twarz, na błyszczące oczy Marsha.

- Dzięki, ale nie. Pamiętam twoje pocałunki i jak na mnie działały. Jeśli o mnie chodzi, nie da się wymazać przeszłości. Może tego nie widać, ale ona zawsze jest, wystarczy bardzo . niewiele, by ją natychmiast przywołać/Spójrzmy prawdzie

w oczy: jesteśmy z innych światów. Ty przyszedłeś na świat jako upragniony dziedzic, a ja urodziłam się w zwyczajnej rodzinie. Są rzeczy, na które nie mamy wpływu. Tobie nie udało się zmienić stosunku twojej matki do mnie i do mojej mamy. I nie chodziło tylko o to, że pochodzimy z innych warstw. Twoja matka nas nie! znosiła, dotąd pamiętam, jak na nas patrzyła. Jakbyśmy stanowiły dla niej jakieś zagrożenie! Tylko czekałam, kiedy oskarży mnie o kradzież...

- Syna?

- Wątpię, żeby ktoś w to uwierzył. Raczej rodzinnych sreber. Trudno mi to wyjaśnić, ale tak myślałam.

Marsh upił łyk kawy, odstawił filiżankę.

- Być może matka miała swoje powody. Rosa, patrzysz bardzo jednokierunkowo, oceniasz ze swojego punktu widzenia. Ale postaraj się zobaczyć sprawę z innej perspektywy. Moja matka nie miała udanego życia. Wchodziła w niejako młoda dziewczyna, pełna planów i nadziei. Niestety, nic z tego nie wyszło. Kiedy tak się dzieje, człowiek nie może się pozbierać, świat mu się wali. Wiem, że moja mama nie była miła w obejściu. Ale czy pomyślałaś kiedyś, że mogła uważać swoje życie za katastrofę?

- No wiesz! - Roslyn aż się zaśmiała. - Twoja matka miała o sobie bardzo wysokie mniemanie. Zresztą wy wszyscy uważacie, że to wy ustalacie prawa dla reszty.

- Poprzestańmy na tym-ucia! — Jeśli sądzisz, że wzbudisz we mnie skruchę i zamknę się w klasztorze, żeby pokutować za grzechy, to nic z tego. Znajdź sobie kogoś innego, żeby go dręczyć. Wyzywasz się na mnie, bo to sprawia ci satysfakcję. A wracając do moich sióstr, to uważam, że jesteś dla nich niesprawiedliwa. Są bardziej wrażliwe, niż ci się wydaje. Sama powiedziałaś, że matka skąpiła im uczuć. Ojciec też nie był zbyt wylewny: To ciebie zauważał; a nie swoje córki. Nic dziwnego, że nie były tym zachwycone, zwłaszcza

że z biegiem czasu robiłaś się coraz ładniejsza. Jak wypadają na twoim tle? Obie zbyt wysokie i zbyt pęgowe. Matka odtrącała je, całą swoją miłość przelała na syna. Nieraz od-
czuły jej ostry język, tylko w przeciwieństwie do ciebie, nigdy nie odważyły się jej przeciwstawić. Pewnie mi nie uwierzysz, ale zwłaszcza Di bała się przyprować do domu chłopaka, żebyś nie wpała mu w oko. I okazało się, że jej najgorsze obawy potwierdziły się w czasie tego zaręczynowego przyjęcia. Spójrz prawdzie w oczy, Rosa, ty też masz podwójną naturę.

Popatrzyła na niego poważnie, ze smutkiem.

- Naprawdę nie było w tym mojej winy, zaręczam ci. Wcale nie chciałam go oczarować, co z taką złością zarzuciła mi twoja matka. Dobrze, że nie miała pod ręką kija, inaczej nieźle bym oberwała. Nigdy nikomu celowo nie zrobiłam przykrości. Naprawdę się cieszę, że Di i Justine są szczęśliwe, w małżeństwie. Należy im się to. A ty powinienesz je kochać i stawać w ich obronie. Cieszę się nawet z tego, że przyjadą do ciebie na święta, ale nie chcę wystawiać się na ryzyko. One mnie nie chcą. Bariery, jakie nas dzieliły, nadal istnieją.

- Będą istnieć, póki ty będziesz tego chciała. Czy zdajesz sobie sprawę, ile jest w tobie goryczy?

Zrobiło się jej przykro. Skinęła głową.

- Niestety, wiem. Ale postaw się na moim miejscu. Nie wiesz, co to znaczy, kiedy każdego dnia twoja duma zostaje urażona. Ty nigdy tego nie przeżyłaś. Te rany nie chcą się zagoić. Może gdyby udało mi się ściągnąć mamę? Kocham ją, ale ona jest taka oporna. Nie chce się ruszyć z Macumby, zupełnie jakby to było jedyne miejsce, w którym czuje się bezpieczna. A przecież doświadczyła tam tylu cierpień. Nie potrafię tego pojąć. Jest mi tym trudniej, że od śmierci taty, miałam tylko jeden cel: troszczenie się o nią.

Popatrzył na nią ze szczerym współczuciem.

- Rozumiem cię, ale przecież nie byłabyś w stanie jej utrzymać.

- Dałabym sobie radę. Nie potrzebujemy takich luksusów jak wy. Zresztą, gdyby chciała, mogłaby znaleźć sobie jakąś pracę. Ciekawą, na parę godzin.

- Na przykład jaką? - zapytał. - Twoja matka bardzo dobrze sobie radzi z prowadzeniem dużego domu, ale nie ma żadnych innych doświadczeń. Bezrobocie jest coraz większe, a nie zapominaj o jej wieku. Jej życie też nie jest takie jak kiedyś, Rosa. Dużo się zmieniło. Weź to pod uwagę.

- Mimo to. Domyślam się, że potrafisz być dla niej czarujący, ale to nie zmienia faktu, że jest twoją służącą.

- Rosa, już dawno nikt nie używa takich określeń - odrzekł szorstko. - Nie wiesz o tym?

- Może moja mama to docenia. Ale ja nie. - Wzruszyła ramionami. - Znalazłam sobie miejsce w życiu. Mam dom, ciekawą pracę. Czuję się bezpieczna. I całkiem szczęśliwa. Postąpiłabym nierozważnie, decydując się na wyjazd do Macumby i znowu ściągając sobie na głowę dawno przebrzmiałe problemy.

- Kiedyś lubiłaś to miejsce - powiedział w zamyśleniu.

- Byłaś tam szczęśliwa, Nikt tak jak ty nie potrafił docenić uroku Macumby. Znałaś ją jak własną kieszeń, nie miała przed tobą tajemnic. Pociągało cię takie życie. A to są rzeczy, których się nigdy nie zapomina, i które się nigdy nie zmieniają.

Przytłaczała ją jego obecność w niewielkiej kuchni.

- Masz rację, ale muszę oddzielić moje życie od Macumby... Przecież wiesz, że doświadczyłam tam zbyt wielu upokorzeń. Ile razy mam ci to powtarzać? A przede wszystkim muszę oddzielić moje życie od ciebie. Ty skrzywdziłeś mnie najbardziej.

- Rosa, byłaś wtedy dzieckiem! - W jego głosie było wiele żalu i goryczy.

- Ale wystarczająco dorosłą, by dać ci przyjemność.
- Chciałaś tego nie mniej niż ja.
- Ale to ty mnie zostawiłaś!
- Bo musiałem! - rzucił przez zaciśnięte zęby. - To było zupełnie nie w porę. Miałaś zaledwie szesnaście lat, ja też nie byłem dorosły. Co się gwałtownie zaczyna, tak samo się kończy, Rosa. Nie widziałem wtedy świata poza tobą. Wiedziałaś, jak owinać mnie wokół palca.

- No tak! - wykrzyknęła, składając ręce. - Oczywiście to była moja wina. Rzuciłam urok i złamałam twoją wolę! Marsh, wiem, co zrobiłam. Zwariowałam, na twoim punkcie. Ale zapłaciłam za to. Bóg jeden wie, ile mnie to kosztowało. Przestałam dla ciebie istnieć, zaniknęły się przede mną drzwi Macumbry. Ty spotykałeś się z odpowiednimi pannami, posu-
nałeś się nawet do tego, bym została o tym poinformowana. Przeżyłam to, ale moje uczucia do ciebie już dawno umarły, rozwiały się bez śladu. Wykorzystałeś mnie za moim przyzwoleniem. Zdaję sobie z tego sprawę. Pozostały mi tylko wyrzuty sumienia.

- Chyba ogromne - powiedział prowokująco - skoro wolisz nadal mnie nienawidzić, niż pokochać kogoś innego.

To była prawda. Szczera prawda.
Uświadomienie sobie tego wzburzyło ją. Poderwała się z miejsca, niechcący parząc się kawą.

- Poczekaj! - Nie zważając na jej protesty, pociągnął ją do zlewozmywaka i podsunął dłoń pod strumień zimnej wody. - Dlaczego ciągle ze mną walczysz? A może ze sobą?
-Skrzywił się.

- Może mam taką naturę - odrzekła, starając się nie zwracać uwagi na leciutki dreszcz, jaki przeszywał jej skórę pod dotykiem jego dłoni.

- Rosa, daj już spokój, -Delikatnie wytarł jej rękę papierowym ręcznikiem.

Ten gest przypominał jej dawne czasy, najlepsze chwile w życiu. Zateęskniła za jego czułością, za jego szeptem, znów zapragnęła, by było jak kiedyś...

- Rosa?

Już raz złamał jej serce. Może zrobić to znowu. Musi uważać, wziąć się w garść.

- Rosa, popatrz na mnie! - przywołał ją do rzeczywistości. - Zaraz przestanie cię boleć, musisz tylko chcieć.

Jego głos brzmiał wtedy tak samo... nisko i uwodzicielsko. Znów powrócił dawny czar. Z wrażenia nie mogła się poruszyć, nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Moja śliczna Rosa! - Oczy mu błysnęły.

Przyciągał ją do siebie, ramię opierała się. Poczowała na szyi dotyk jego palców, łagodny i jednocześnie stanowczy. Miał dziwny wyraz twarzy. Czyż była dla niego wyzwaniem? A może nadal uważał ją za swoją własność?

Przecież była jego małą Rosą, jego ukochaną. Ten sen prześladował ją po nocach. Wspierała się na nim, bo nogi coraz bardziej odmawiały jej posłuszeństwa.

Ciemny lok przecinał jego opalone czoło, oczy jaśniały błękitem jak niebo nad pustynią.

- Rosa, moja Rosa - wyszeptał.

Nieoczekiwanie wydał się jej bezbronny. Tak długo czekała na tę chwilę. Wyprostowała się, nadszedł czas odwetu.

Kiedyś poddała się jego woli, zatracając się w nagłym olśnieniu, pod niebem usianym gwiazdami. Teraz ona ma władzę,

- Pozwól się kochać - szepnęła błagalnie, próbując jeszcze raz owoładnąć nią, złamać jej wolę. - Zaufaj mi.

Miałaby mu zaufać? Po tym, co jej zrobił? Które z nich straciło rozum? Znów próbował ją podejść. Załkała, ale w tej samej chwili odszukał jej usta.

To szaleństwo, ogień trawiący wszystko, co znajdzie się na jego drodze. Czy zdoła mu się oprzeć? Marsh był jej życiem;

nienawiść, miłość, to wszystko się mieszało, istniało niezależnie od jej woli...

- Rosa! - wyszeptał. - Tak drżysz. Nie chciałem...

Odrzuciła gwałtownie głowę.

- Chciałeś! - Głos się jej łamał. - Od pierwszej chwili, kiedy mnie wzięłeś za rękę! Uważasz, że jestem twoją własnością, że zawsze możesz mnie mieć!

- Nieprawda! - zaprotestował. - Jeśli tak było, to dlaczego przez tyle lat nawet cię nie dotknąłem?

- Bo ci nie dałam szansy! - wypaliła, prostując się tak jak on. - Czy naprawdę nie czujesz, jak bardzo cię nienawidzę?

- Nienawidzisz? To nie ma znaczenia. Kochaj mnie, nienawidź. Rosa, miotasz się cały czas i nawet nie pozwolisz, by ktoś ci pomógł.

- Na pewno nie będziesz to \y! Już raz byłam twoją ofiarą. I to się już nigdy nie powtórzy! Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego...

- Ani słowa więcej! - Oczy błysnęły mu ostrzegawczo.

' - To jeszcze nie koniec - nie mogła przestać. - Powiedziałam ci, że nie chcę przyjechać do Macumby ze względu na twoją rodzinę, która, z pewnymi wyjątkami, zawsze traktowała mnie i mamę jak osoby gorszej kategorii. Ale najważniejszym powodem jesteś ty. Dobrze wiesz, jak bardzo cię kochałam. Byłeś dla mnie objawieniem, jakimś bożkiem! Świat nabierał barw, kiedy się do mnie uśmiechałeś. Miałeś nade mną nieograniczoną władzę. I bez trudu mogłeś mnie zniszczyć.

Powietrze między nimi aż wibrowało od napięcia.

- Uważasz się za ofiarę? - Oczy błysnęły mu niedowierzaniem. - Jesteś silna i mądra, umiesz dążyć do celu. I zawsze byłaś dumna, dopatrywałaś się zniewagi, choć wcale jej nie było. Nie jest tak, że ludzie są źli i nieczuli, że każdy chce cię skrzywdzić. Skoro uważasz, że źle cię potraktowałem, to

co powiedzieć o tobie? Naprawdę, aż trudno cię słuchać. Oboje byliśmy w fatalnej sytuacji. Straciłem dla ciebie głowę, nie mogłem się oprzeć; Też zapłaciłem za to swoją cenę, nie wyobrażaj sobie, że tak nie było. Kochałaś mnie, a ja cię ubóstwiałem. Nic nie było w stanie mnie powstrzymać. Ale to musiało się skończyć.

- Żebyś znów był panem siebie? - Popatrzyła mu prosto w oczy. - Poza tym mógłby wybuchnąć skandal. Dziedzic Macumby, jedyny syn sir Charlesa i lady Faulkner, ma romans z córką gospośi. Szanowani obrońcy tradycji, a tu coś takiego!

Na jego twarzy pojawił się grymas niezadowolenia.

- Możesz mnie poprawić, ale z tego, co pamiętam, nawet Wenus nie mogłaby się równać z tobą, z tą młodą dziewczyną z Macumby. Doprowadzałaś mnie wtedy do szaleństwa. Trzymałaś mnie na sznurku, a jednocześnie robiłaś z siebie tragiczną ofiarę. Przez ostatnie lata broniłaś do siebie dostępu, ale też stałaś w tle. Jak to rozumieć? Sam już nie wiem. Powiedz mi, czego właściwie chcesz, o co ci chodzi? O małżeństwo?

Przez chwilę nie mogła pozbierać myśli.

- Nigdy, nawet w najśmielszych snach, o tym nie marzyłam - powiedziała wreszcie.

- W takim razie, co? - naciskał. - Wieczna kochanka? Pobladała. Całkiem opadła z sił.

- Na początku... niczego więcej nie chciałam. Umierałam z miłości. Byłam taka młoda, szalona. Nie mogłam czekać. Było tak cudownie... potem to minęło. Skrzywdziłaś mnie i nigdy ci tego nie wybaczyłam. Czy to prawda, czy nie, czy to dobrze, czy źle, ale tak po prostu jest. Teraz trudno mi być z tobą nawet w tym samym pokoju.

- A w tym samym łóżku?

Potrząsnęła głową.

- Nigdy nie spaliśmy w jednym łóżku.
- Była tylko pustynia i my dwoje pod niebem pełnym gwiazd... Co chcesz powiedzieć? Że Liv też musi cierpieć?
Dziewczyna odwróciła się, spojrzała na niego.
- Marsh, to już skończona sprawa. Nie zrobię tego nawet dla mojej mamy. Nie wrócę do klatki lwa.
Popatrzył na nią. Miał dziwnie odległy, jakby zamyślony wzrok.
- Nawet jako moja żona?

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Popatrzyła na niego oniemiała. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niej znaczenie tych słów.

- Wiem, że nie zabrzmiało to zbyt romantycznie - powiedział, patrząc na nią prowokująco. - Może to lata, które minęły, wyzuły mnie z sentymentów. Ale moja propozycja jest jak najbardziej poważna.

Z trudem zbierała myśli. Za bardzo była poruszona.

- Mówisz serio? - zapytała z wyraźnym niedowierzaniem.

Zaśmiał się w odpowiedzi.

- Co się tak dziwisz? To kara za moje grzechy.

- Kara za grzechy? Chcesz je teraz odpokutować? Chyba zwariowałeś.

Skinął tylko głową.

- Dobrze to czy źle, ale to ty jesteś właśnie tą kobietą, której chcę.

- To tylko pociąg fizyczny. Nic więcej - powiedziała z goryczą.

- Na twoim miejscu nie umniejszałbym roli tego czynnika - skrzywił się zabawnie. - Z doświadczenia wiem, że to się wcale często nie zdarza. Żadna nie budzi we mnie tylu emocji, co ty. Jesteś bystra, odważna, zdolna do wszystkiego. Masz klasę. Podziwiam cię, naprawdę. I podoba mi się twoja prawdziwa natura, którą niepotrzebnie starasz się ukryć. Ale ja wiem, że pod tą gładką skórą grają dzikie instynkty.

- Trafił swój na swego - odcięła się natychmiast, choć

ciągle jeszcze nie mogła się otrząsnąć. - Marsh, to szaleństwo. Ty już dokonałeś wyboru, ja też. Tak musiało się stać. Gdyby żyli twoi rodzice, nigdy byś nie wystąpił z taką propozycją. Dogryzła mu tym do żywego. Widziała to po jego oczach.

- Zaskakujesz mnie. Dałbym głowę, że kto jak kto, ale ty znasz mnie jak nikt. Widać myliłem się. Do tej pory nikomu się jeszcze nie oświadczałem, ale gdybym chciał to zrobić, nikt nie byłby w stanie mnie od tego odwieść. Sam decyduję o sobie.

- To ty tak sądzisz - zaproponowała. - Czasy może się zmieniły, ale twoja rodzina nie.

- Ros, posłuchaj mnie! - Pochwycił ją za ramiona. - W Macumbie jest teraz zupełnie inaczej. Teraz ja tam rządę.

Odsunęła się.

- Idę do salonu. Tu jest za ciasno dla dwojga.

Poszedł za nią, usiadł w fotelu na wprost niej.

- Nie przypuszczałem, że aż tak bardzo cię zaskoczę

- odezwał się, patrząc na jej pobladłą twarz.

- Naprawdę? - zapytała z nie skrywaną ironią. - A te lata, którą minęły?

- Tego już się nie cofnie - odrzekł, wzruszając ramionami.

- I nic na to nie poradzimy.

- Może powinniśmy wybrać się do psychoterapeuty?

- Uśmiechnęła się wreszcie.

Marsh wyraźnie się rozluźnił.

- Nie mam na to czasu. J nie mam zamiaru dłużej czekać.

Potrzebuję żony, potem potomka. To zrozumiałe, że oboje mamy wątpliwości, ale też oboje lubimy wyzwania. Podejdźmy do tego w ten sposób. Proponuję ci powrót do życia, które kochałaś. Pamiętasz, zawsze mówiłaś, że mamy pokrewne dusze? Może, jeśli oboje się postaramy, tamte czasy powrócą. Obiecuję ci dużo swobody. Będziesz niezależna, będziesz mieć swoje pieniądze.

- Nie próbuj mnie kupić - ostrzegła go cicho. - Nie potrzeba mi twoich pieniędzy.

- Zostawmy te pieniądze! W twoim przypadku to tylko kolejny minus dla mnie. Ale dzięki nim zmieni się życie Liv.

- Ach, więc doszliśmy do tego! To szantaż!

Marsh zacisnął usta.

- Rosa, nie patrz na to w ten sposób. W miłości i na wojnie wszystkie chwytty są dozwolone. Liv jest twoją mamą. Już zapomniałaś, jak ubolewałaś nad jej ciężkim życiem, jak nie mogłaś się pogodzić, że nie ma kosztownych strojów, że brak jej rozrywek? Możesz odrzucać pieniądze, ale ich posiadanie pomaga i rozwiązuje sporo problemów. Liv jest piękną kobietą. Należy się jej coś od życia, powinna mieć szansę. Może los się do niej uśmiechnie? Może jeszcze znajdzie swojego mężczyznę?

Sama o tym marzyła, ale przecież nie przyzna mu racji.

- Dopiero co mówiłaś, że jest niezbędna w czasie świąt.

Popatrzył na nią z lekkim uśmiechem.

- Mpże trochę przesadziłem. W końcu zawsze znajdzie się ktoś do pomocy. Nie tak dobry jak Liv, ale wystarczająco. Szczerze mówiąc, chodziło mi o ciebie.

- Ciekawe, dlaczego? - spytała z westchnieniem.

- Obsesja - powiedział cicho. - Ukryłaś się w tej szkole, zostałam panią nauczycielką. A ja ciągle cię widzę z wymalowaną ochrą twarzą, z papuzimi piórami we włosach. Kto wydusił z Leelyi przepis na lubczyk? Nie dałem się namówić, by go skosztować, ale może ukradkiem dołałaś mi go do czegoś? Wszystkiego można się było po tobie spodziewać. Zawsze szłaś na całość.

Jego słowa przywołały dawne wspomnienia, obudziły tęsknotę za tamtymi dniami... Leelya, aborygenka mieszkająca w osadzie, była jej zaufaną przyjaciółką od dzieciństwa. Ona odkrywała przed nią tajemniczy świat ludzi, zwierząt, ptaków

i ryb, otworzyła jej oczy na tyle rzeczy. Dzięki niej poznała dawne dzieje tych ziem; ona karmiła ją opowieściami ociągających siew nieskończoność, bezkresnych pustyniach pokrytych czerwonym piaskiem, związanych z nimi mitach i legendach. Nauczyła ją, jak zdobywać pożywienie, gdzie znajdować wodę, jak przeżyć na pustyni. Pokazała jej, jak przyrządzać lubczyk; ten przepis pamiętała po dziś dzień. Jakże była rozczarowana, kiedy Marsh kategorycznie odmówił wypicia przyrządzonej mikstury! Miała wtedy jakieś piętnaście lat. Siedzieli nad jeziorem, Wpatrując się w różowe lilie wodne i pływające między nimi czarne łabędzie. Nigdy nie zapomni, jak ją wtedy wyśmiał. Droczył się z nią, zupełnie nie zdając sobie sprawy, że jest w nim po uszy zakochana.

Po tym niepowodzeniu Leelya spróbowała swoich czarów. Znała takie magiczne sposoby. Bardzo starannie wymalowała jej twarz i ciało ochrą, powpinała pióra we włosy. Ale i tym razem ich wysiłki spełzły na niczym, bo na jej widok Marsh wybuchnął dzikim śmiechem.

- Rosa? - Jego głos przywołał ją do rzeczywistości. - O czym myślałaś?

Lekko potrząsnęła głową.

- Przypomniałam sobie Leelyę. Co się z nią dzieje?

- Nie mam pojęcia. Nie widziałem jej już od bardzo dawna. Odeszła od nas.

- Była moją przyjaciółką.

- Wiem, stale coś knułyście! Odprawiała z tobą czary.

- Niektóre się udały. Chociaż czasem nie całkiem tak, jak planowałyśmy.

- Tak to już jest z czarami. Leelya powinna była cię o tym uprzedzić. Rosa, w poniedziałek wracam do Macumby, wybierz się ze mną.

- Zawsze stawiasz na swoim, co? - Zamyśliła się.

- To nie do końca jest tak - poprawił ją. - Zależy mi na

tobie. Proponuję ci małżeństwo. Rozważ tę propozycję. Zwłaszcza że nie zanosi się na to, byś kogoś sobie znalazła.

Powiedział to lekko, ale jego słowa ją ubodły.

- Czy aby nie przesadzasz? - powiedziała chłodno.

- Kotku, czas leci. W styczniu skończysz dwadzieścia pięć lat. Uroda to jeszcze nie wszystko. Nagle może przyjdzie taka chwila, kiedy ze zdumieniem stwierdzisz, że j jesteś sama. A przecież chciałabyś mieć dzieci. Wiem, jak dobrze sobie z nimi radzisz. Można czekać na księcia z bajki, ale co będzie, jeśli minie parę lat i okaże się, że ktoś taki nie istnieje? Poza tym nie jest łatwo ci dogodzić, masz wymagania, którym mało kto może sprostać. Może lepiej wybrać mniejsze zło, wyjść za kogoś, kto może nie jest idealny, ale kogo dobrze znasz i wiesz, czego się po nim spodziewać? Zresztą na mnie też już najwyższy czas, a jak na razie z żadną kobietą nie mogę wytrzymać dłużej niż tydzień, zaraz zaczyna mnie nudzić. Z tobą jest zupełnie inaczej. Wiem, że te ostatnie lata podziały na ciebie fatalnie, ale jestem gotowy wziąć cię z dobrodziejstwem inwentarza.

- Pytanie tylko, czy ja jestem gotowa wziąć ciebie - zareplikowała. - Jak na razie udało mi się całkiem od ciebie odciąć.

- Więc czemu ciągle jest w tobie tyle żalu?

Zbił ją z tropu. Milczała, a on natychmiast był przy niej.

- Rosa, dlaczego mówimy jedno, a myślimy drugie? Dlaczego boimy się otworzyć przed sobą? - Wziął ją w ramiona.

- Przecież nadal ci na mnie zależy. Tak jak mnie na tobie.

- Nie! - zaprzeczyła gwałtownie.

- Słuchaj, mnie też nie było lekko.

Przycisnęła twarz do jego marynarki.

- Znow ważne jest tylko to, czego ty chcesz. Jak wtedy.

- Rosa, nie jest tak. Chciałbym, żeby wróciło to, co było kiedyś, żeby znow było jak dawniej. Taki stan, jaki jest teraz,

może trwać w nieskończoność. Ktoś musi zrobić pierwszy krok, zdecydować za nas oboje. I właśnie robię to, ale nie wyobrażaj sobie, że padnę na kolana. Musimy zamknąć przeszłość i zacząć życie na nowo. Jeśli chcesz, zawrzemy umowę małżeńską. Daję ci czas do namysłu, ale z góry uprzedzam, że jeśli powiesz „tak”, nie będzie dla ciebie odwrotu. Nie pozwolę ci odejść, nie zgodzę się na rozwód. Będziemy zawsze razem, tylko ty i ja, nie pozwolę, aby w twoim życiu był ktokolwiek inny. Mówię to bardzo poważnie. Jeśli się z kimś zwiążesz, zabiję go. Nie dam się zwodzić, nawet o tym nie myśl. Ale jeśli przyjmiesz moje warunki, zrobię co w mojej mocy, by uczynić cię szczęśliwą. Nie zapomniałem, jak trzymałem cię w ramionach i obiecywałem księżyc i gwiazdy.

- To było szaleństwo - szepnęła

- Tak. - Patrzył na nią z napięciem. - I oboje tego nie zapomnieliśmy. Małżeństwo będzie dla nas wybawieniem, skończy naszą udramę.

- Albo okaże się, że jest jeszcze gorzej.

- Ja się nie wycofam - zapewnił ją, pochmurniejąc. - Zastanów się dobrze, przemyśl, co powiedziałem. Nie pozwolę ci odejść. Proponuję ci małżeństwo na całe życie.

Zamrugnęła gwałtownie, bo nieoczekiwanie poczuła łzy w oczach. Oparła głowę o jego ramię.

- I żeby wszystko było zgodnie z tradycją, pewnie zaraz chciałbyś mieć syna?

- Chcę mieć rodzinę. Synów i córkę. Podobną do ciebie, żebym mógł ją rozpieszczać.

- Marsh, czy to wszystko dzieje się naprawdę? Może to tylko sen?

Łagodnie przesunął dłonią po jej włosach.

- Naprawdę.

- To ostatnia rzecz, jakiej mogłabym się spodziewać. Mu-

szę to przemyśleć. Zaskoczyłeś mnie. Już raz zламаłeś mi serce. Nie dopuszczę, by historia się powtórzyła.

- Patrz na świat z większym optymizmem - powiedział cicho. - Nie zmarnujmy szansy. Przyszłość niesie w sobie tyle nadziei. Zresztą przecież wiesz, że przepadam za tobą. Co jeszcze chciałabyś usłyszeć?

- Że kochasz mnie nad życie? - uśmiechnęła się kpiąco. Nieoczekiwanie spoważniał.

- Rosa, nie igra się z miłością. Może uczynić z nas głupców. Przez miłość łatwo stracić głowę. Znasz mnie. Lubię być panem sytuacji i nie znoszę, kiedy cokolwiek wymyka mi się spod kontroli. Poza tym z twojej strony też nie słyszałem żadnych deklaracji. Poprzestańmy na tym, co jest. I tak tyle nas łączy. Zawsze będziesz dla mnie najważniejsza i to niezależnie od mojej woli., Tak po prostu jest i nic na to nie poradzimy. Jedź ze mną do Macumby, zakosztuj życia, które kiedyś kochałaś. Oprócz mnie będziesz mieć Liv. A może za jakiś czas uda mi się przemówić do twego serca.

Popatrzyła mu prosto w oczy, szukając właściwych słów.

- Marsh, ty mnie przerażasz - rzekła wreszcie.

Pochylił głowę i pocałował ją mocno.

- To dobrze. Kobieta powinna się trochę bać swojego mężczyzny.

Oto istota jego przekonań. Została ostrzeżona.

Jeszcze długo po jego odejściu nie mogła pozbierać myśli. Przewracała się z boku na bok, ale sen nie przychodził. Jego propozycja spadła na nią tak niespodziewanie, że do tej pory nie wierzyła, że stało się to naprawdę. Przecież przez te dwa lata robili wszystko, by zejść sobie z oczu! I wystarczyła jedna chwila, by odżyła dawna namiętność, dawne uczucia. Kocha go, musi wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy. Marsh też postawił sprawę jasno. Na pewno się już nie cofnie. Chociaż...

gdyby żyła lady Faulkner, nigdy by się nie ośmielił zaproponować jej małżeństwa. Jego siostry z pewnością ostro zaprotestują, reszta rodziny chyba też. Córka zarządcy i gosposi miałyby wejść do szacownej rodziny z tradycją?

Tylko że lady Faulkner już nie może jej zagrozić, a nikt inny nie sprzeciwi się otwarcie. Westchnęła ciężko. Wypadki potoczyły się tak szybko, że jeszcze nie ochłonęła. Przez lata starała się zapomnieć Marsha, wybić go sobie z głowy. I naraz okazuje się, że to była tylko strata czasu. Wystarczyło znów go zobaczyć, usłyszeć jego głos i wszystko było tak jak kiedyś; spychane w niebyt uczucia wybuchnęły z dawną siłą, a jej chłód i opanowanie rozwiały się bez śladu.

Czy w ogóle powinna zwracać sobie głowę i poważnie rozważać jego propozycję? Dawniej nawet nie dopuszczała do siebie myśli o małżeństwie. A przecież właściwie nic się nie zmieniło. Marsh nie odetnie się od swojej rodziny. A w niej nadal tli się dawna uraza i żal. Przeszłość przyniosła im tyle cierpień, przyszłość może okazać się podobna. Na pewno nieraz usłyszy uszczypliwą uwagę na swój temat czy też jakiś niewczesny żart, ludzka natura już taka jest. I jeszcze jedna istotna sprawa, o której powinna pamiętać - Marsh jest jednym z najbogatszych ludzi w kraju. Kontroluje nie tylko Faulkner Holdings, ale odziedziczył też majątek po matce, liczony na jakieś pięćdziesiąt milionów dolarów.

O jego pozycji finansowej wiedziała w sumie niewiele. Zresztą nigdy się tym nie interesowała, w jej mniemaniu pieniądze nie dawały szczęścia. Wystarczyło popatrzeć na Faulknerów, chociaż trzeba przyznać, że nawet lady Faulkner nigdy nie obnosiła się z bogactwem. Hodowla bydła była tylko marginesem ich działalności, powszechnie wiadomo, że mają większościowe udziały w Mossvale Pastoral Company. Marsh aktywnie uczestniczył w zarządzaniu majątkiem, stale podróżował w interesach i choć nigdy o to nie zabiegał, był

osobą publiczną. Zresztą Faulknerowie zawsze starali się pozostać w cieniu, nie epatowali stylem życia. Za to brali udział w akcjach charytatywnych, łożyli na budowę szpitali, szkół, stoczni, fundowali stypendia i nagrody. Marsh, od dziecka przygotowywany na głównego spadkobiercę i następcę sir Charlesa, skończył prawo i ekonomię. Od najmłodszych lat zdawał sobie sprawę z oczekiwań, jakie z nim wiązano i z czekających go powinności.

Teraz nadszedł czas, by znalazł sobie żonę, założył rodzinę. Żonę z odpowiedniej sfery, nie zwyczajną nauczycielkę. Westchnęła. Kiedyś przez przypadek usłyszała rozmowę lady Faulkner z Elaine Petersen. Ustalały między sobą małżeństwo swoich dzieci. Marsh miał wtedy nie więcej niż szesnaście lat, Kim rok czy dwa mniej. To małżeństwo scementowałyby dwa potężne rody. Pamiętała, jak bardzo była wtedy zszokowana. Czy te kobiety naprawdę uważały, że mają prawo decydować o przyszłości swych dzieci? Marsh nawet nie lubił Kim, sam jej to powiedział.

Tak było. Lady Faulkner jednoznacznie zaaprobowała Kim na przyszłą synową, która od dziecka przyjaźniła się z jej córkami. Była idealną kandydatką i wiedziała o tym. Co będzie, gdy teraz dowie się, że Marsh się jej wymyka? Na pewno nie będzie siedzieć z założonymi rękami. Czy ona, Ros, znajdzie w sobie siłę, by stawić jej czoło? Gdyby chociaż powiedział, że ją kocha. Gdyby....

Nazajutrz rano wybrała się po zakupy, chciała kupić jakiś prezent dla mamy, popołudnie spędziła na pracy w ogródku. Powoli się uspokajała. Marsh się jej oświadczył, zrobił to po raz pierwszy w życiu. Powinna się z tego cieszyć. Postara się obudzić w nim miłość, urodzi mu dzieci. Wszystko się uda, jeśli będzie miała w nim oparcie. Odmieni życie mamy, do Macumby zawita ciepło i serdeczność. Nic, co jest wiele warte, nie przychodzi lekko, lecz wymaga poświęcenia i wysiłku.

Z dumą rozejrzała się po ogródku. Był starannie utrzymany, ale w porównaniu do wspaniałych ogrodów Macumby wydawał się bardzo mały. Lady Faulkner nie miała do nich serca, zajmował się nimi Harry Wallace, Anglik, który niegdyś przyjechał do Macumby grać w polo i już pozostał.

Może stosunek, jaki miała do niej lady Faulkner, po części wynikał z tego, że Roslyn zawsze czuła się wolna i niezależna? W każdej chwili mogła wszystko rzucić i wyjechać. Sir Charles i Marsh przymykali oczy na jej wyskoki, niemal pochwalali jej zuchwałość. Gdyby tylko lady Faulkner była inna, bardziej ludzka! Jakże inaczej wyglądałoby życie ich wszystkich.

R S

ROZDZIAŁ TRZECI

Dopiero gdy już unosili się nad pustynią, Roslyn w pełni uświadomiła sobie konsekwencje kroku, na który się zdecydowała. Przez lata w świadomości mieszkańców Macumbry istniała jako córka dawnego zarządcy, ktoś z niższej sfery, a teraz zanosi się, że przejmie tam rządy, zostanie panią. Kłasy czny mezalians, który zdarza się w romansach, ale bardzo rzadko w życiu.

Zapatrzyła się w bezkresne przestrzenie pokryte czerwonym piaskiem, dalekie wzgórza widoczne na horyzoncie. Rysunki, jakie pierwotni mieszkańcy tych ziem pozostawili w skalnych grotach, oceniano na wiele tysięcy lat. Macumba naprawdę była wyjątkowym miejscem. Nawet w czasie suszy urzekała swoim urokiem. Była tak różna od wszystkiego, odosobniona od świata, zupełnie jak odrębna planeta. W dole załśniły ostre, poszarpane krawędzie skał, zamigotały górskie jeziora o wodzie przejrzystej jak kryształ. Dalej ciągnęły się błota i mokradła, będące ostoją wodnego ptactwa: ogromnych kolonii ibisów, kormoranów i czapli, niezliczonych stad kaczek.

Tu rzeczywiście był ptasi raj. W zaroślach kryły się miliony różnobarwnych papug, strzyżyków, zięb i wielu innych gatunków, napelniające powietrze hałaśliwym gwarem. Jakże często podziwiała wirujące pod niebem ptaki, zachwycała się ich lotem, wsłuchiwała w ich śpiew. To było miejsce najbliższe jej sercu, esencja prawdziwej Australii. Z zamyślnym uśmiechem patrzyła na zmieniające się w dole krajobrazy,

rozpoznając je na nowo i chłonąc każdym nerwem. Otrząsnęła się wreszcie. Byli coraz bliżej celu, musi przygotować się na to, co ją tu czeka. Zerknęła na siedzącego za sterami Marsha. To, co postanowili zrobić, było całkowitym odstępstwem od reguł, burzyło ustalone tradycje. Nie powinna spodziewać się entuzjastycznego przyjęcia. Nie pochodzi z odpowiedniej rodziny, nie wnosi majątku. Może zaoferować tylko siebie. Ale była z innego pokolenia, wychowana w nowym duchu, przekonana, że najważniejszy jest człowiek i to, co sobą reprezentuje. Nie miała o sobie wygórowanego mniemania, jednak znała swoje atuty: jest młoda, ładna, inteligentna i zdrowa. Łatwo zdobywa sympatię, jest ceniona jako nauczycielka. Nie powinna mieć kompleksów. Czasy się zmieniły, a ona zasługuje na lepsze życie niż to, jakie przypadło w udziale jej mamie. Choć jednocześnie cały czas musi się mieć na baczności. Nie powinna się łudzić, że Kim Petersen podda się bez walki. Niech tylko się dowie o jej przyjeździe, z pewnością natychmiast się tu pojawi. Przecież uważa się za naturalną sukcesorkę lady Faulkner.

- No, jesteśmy w domu! - Zadowolony głos Marsha przywrócił ją do rzeczywistości.

To ty jesteś w domu, pomyślała, ale nie wypowiedziała tego głośno.

- Wiesz co, poczekajmy jeszcze z oficjalnym ogłoszeniem zaręczyn - poprosiła gorąco. - Muszę się do tego przygotować. Wstrzymajmy się, aż twoja rodzina oswoi się z moją obecnością.

- Nie wychodzisz za nich tylko za mnie - obruszył się.

- To ty do końca tak - westchnęła. - Jesteście ze sobą zżyci, tyle was łączy: więzy krwi, interesy, wspólne dziedzictwo. Jesteś głową rodu i uwielbiają cię. Za mną, mówiąc oględnie, nie przepadają. Zresztą nie liczę na ich ciepłe uczucia, ale chcę być traktowaną jak ktoś, kto ma swoje prawa. Nie jak dziecko, które się za tobą ugania.

- Kotku, przesadzasz - próbował złagodzić napięcie.
- Niczego więcej nie chcę. Ale muszę walczyć o swoją pozycję.

- Akurat w tym nie masz sobie równych - mruknął żartobliwie. - Nigdy nie ustąpiłaś ani na krok. Ale teraz powinnaś nieco zmienić taktykę, iść czasem na kompromis. Gdybyś nie była tak przewrażliwiona na swoim punkcie, już dawno byś się zaprzyjaźniła z moimi siostrami. One cię podziwiają... twoją urodę, inteligencję, to, jak dzielnie sobie radzisz i idziesz do przodu. Zresztą one też nie są takie jak dawniej, małżeństwo je odmieniło. Inaczej patrzą na wiele spraw. Nie to, co ty!

- To twoją ocena! Z innymi ludźmi jakoś nie mam problemów. I mógłbyś już sobie darować tę ciągłą krytykę!

Ujął jej dłoń i pocałował.

- Wybacz mi, o pani! Oboje powinniśmy zdobyć się na trochę więcej tolerancji. Tak jak Aggie - wspomniał swoją cioteczną babcię, dostojną starszą panią, zajmującą się historią i pisanie książek. - Zawsze się lubiłyście.

Roslyn uśmiechnęła się szeroko.

- To prawdziwa dama, potrafi z każdego wydobyć to, co jest w nim najlepsze. Bardzo lubiłam, kiedy przyjeżdżała do Macumby. Zawsze wypytywała, co porabiam. Jest zagorzałą feministką, broni praw kobiet. Pamiętasz, to ona powiedziała, że jestem muzykalna, że mam talent. Zawsze chciała, żebym coś dla niej zagrała.

- Z prawdziwą przyjemnością wróć do tego zwyczaju, kochanie - uśmiechnął się. - Już to sobie wyobrażam: ty pochylona nad fortepianem, a ja w ulubionym fotelu ze szklaniczką whisky w ręku. Pełen spokój i harmonia. Bardzo lubię, jak grasz.

- A zawsze mówiłeś, że nie możesz wytrzymać, kiedy ćwiczę, że to prawdziwe tortury - przypomniała mu.

Nie patrzył na nią, ale dostrzegła iskiereki, jakie zamigotały w jego oczach.

- Kłamałem. W głębi duszy zawsze zazdrościłem ci talentu. - Podchodzili do lądowania. - Rosa, spróbuj być szczęśliwa. To nasz wielki dzień.

Roslyn znów popatrzyła w dół. Lady Faulkner była miłośniczką koni i w młodości sama brała udział w zawodach. Dzięki niej nadal funkcjonowała hodowla koników do gry w polo. Starannie prowadzone, cieszyły się doskonałą opinią i ich sprzedaż przynosiła niezły dochód. Roslyn uwielbiała konie, ale lady Faulkner konsekwentnie zabraniała jej wstępu do stajni; czasami wprowadzał ją tam sir Charles. Kiedyś powiedział, że usłucha jej każdy koń; ten dar miała po ojcu.

Z góry dostrzegła niewielki cmentarz, tam był grób ojca. Znów stanął jej przed oczami dzień pogrzebu i błada jak papier twarz mamy. Było to na dwa dni przed Bożym Narodzeniem, właśnie przyleciała na ferie. Za wszelką cenę próbowała się trzymać, zrobić to dla ojca. Zawsze ją chwalił, że jest taka dzielna. Marsh przygarnął ją wtedy do siebie; gładził po włosach, kiedy wstrząsana szlochom wtuliła się w niego. Traktował ją jak młodszą siostrę. Nie odstępował jej na krok, wysłuchiwał jej marzeń, był świadkiem niepowodzeń. Łączyło ich podobne poczucie humoru. Byli przyjaciółmi na dobre i na złe.

Mijało dzieciństwo, wchodzili w wiek młodzieńczy. Odkrywali nowe potrzeby, budziły się w nich nowe uczucia. Wszystko zaczęło się zmieniać. Inaczej patrzyła teraz na Marsha, najlepszego kumpla i powiernika. Dostrzegła jego urodę, zobaczyła w nim mężczyznę. Przelotne pocałunki w policzek, którymi czasem obdarzał ją na powitanie, nabrały innego znaczenia i wagi. Teraz tęskniła za nimi, za dotykiem jego rąk; chciała, by ją przytulał, traktował jak kobietę, którą

powoli się stawała. Ślepo w niego zapatrzona, podziwiała go bez zastrzeżeń. Mógł z nią zrobić, co chciał.

Taka sytuacja, mogła się skończyć tylko w jeden sposób. I tak się stało. A kiedy Marsh się od niej odwrócił, zapłonęła żądzą zemsty. Nawet teraz, kiedy zastanawiała się nad wyjściem za niego, to uczucie jeszcze się w niej tliło.

Z uwagą patrzyła na coraz bliższe zabudowania, znajome domy pracowników; budynek szkolny, kantinę, stajnie. Wszystko w absolutnym porządku, zadbane, świetnie utrzymane. Otoczona wspaniałym ogrodem siedziba Faulknerów wynurzała się z zieleni. Strumyk, który w czasie powodzi przekształcał się w prawdziwą rzekę, wił się wokół głównego budynku, rozlewając się przed nim w spore jezioro i kilka mniejszych ozdobnych oczek z obu stron domostwa. Urządzenie ogrodu zapoczątkowała prababcia Marsha, Charlotte, Angielka bywała w świecie. Kiedy tu osiadła, nie szczędziła wysiłków, by na tym kawałku pustyni stworzyć choć namiastkę prawdziwego ogrodu. Efekt przerósł oczekiwania, a jej sława rozeszła się szeroko. Zbiegiem lat ogród rozbudowano, dodano tarasy, fontanny, ozdobiono go rzeźbami, a nad brzegiem jeziora postawiono letni domek.

Ogród był imponujący, ale największe wrażenie zawsze robił na niej sam dom. Jako dziecko podziwiała go bez zastrzeżeń. Kochała to miejsce, zresztą nadal tak było. Na jego widok krew szybciej krążyła w jej żyłach. Obramowany zielenią, otoczony zielonym trawnikiem, przywodził jej na myśl białego ptaka zrywającego się do lotu. Centralna część, wspierająca się na obrośniętych ukwieconym bluszczem kolumnach, przechodziła w dwa długie skrzydła. Z uwagą popatrzyła na prowadzące do środka wejście. Wzdrygnęła się. W cieniu zamajaczyła znajoma sylwetka. .

Lady Faulkner. Jej wizja ją prześladowała. Znow miała wrażenie, że w nikłym świetle padającym ze środka, widzi jej

postać. Wysoka, w stroju do konnej jazdy, ze szpicrutą, której uderzenie tak mocno wryło się w pamięć Roslyn.

„Nie waż się przestąpić tego progu - zabrzmiały w uszach Roslyn jej słowa. - Nigdy nie będziesz warta mojego syna”.

Zadrżała mimo woli. Jak wielką władzę miała ta kobieta!

- Co się stało? - Marsh dostrzegł jej minę.

- Wydawało mi się, że widzę na progu twoją matkę.

- Och, ta twoja wyobraźnia! - powiedział, celowo lekceważąco. - Tu nikt nie zrobi ci nic złego.

- Wiesz, zawsze czułam się trochę nieswojo, kiedy wchodziłam do waszego domu.

- A ja myślałem, że go lubisz.

Potrząsnęła głową.

- Nie powiedziałam, że go nie lubię. Tylko że on mnie... niekoniecznie.

- Bzdura! - Zatrzymał auto. - Sama nie wiesz, ile jest w tobie siły - zapewnił ją żarliwie.

Wysiadł i zaczął wystawiać bagaże, zadowolony, że są na miejscu. W tej samej chwili z domu wybiegł ubrany w zielony strój mężczyzna.

- Proszę to zostawić, panie. Marsh! Ja wszystko zabiorę! Roslyn obróciła się w jego stronę, wyciągnęła rękę.

- Ernie! Jak miło cię widzieć!

- Cała przyjemność po mojej stronie, Roslyn! - Ernie, półkrwi aborygen, błysnął białymi zębami.

- Przywiozłam ci coś - powiedziała z uśmiechem.

- Tylko nie mów, że ostatnią płytę Slim Dusty? -. To był jego ulubiony zespół country.

- Już ją masz?

- Nie, ale bardzo chciałem. Dzięki, Roslyn!

- To za serce, jakie zawsze dla mnie miałeś.

- Fakt, że kilka razy dzięki mnie ci się upiekło! - roześmiał się, - Jako dziecko nieźle rozrabiałaś!

Oboje odwrócili się, bo już biegła ku nim Olivia Earnshaw, „Pani E.”, jak ją tu nazywano. Roslyn rzuciła się jej naprzeciw i już po chwili przypadły do siebie w czułym uścisku. Olivia z trudem wstrzymywała łzy.

- Czulałam, że ją przywieziesz! - zawołała do Marsha.

- On nie przyjmuje odmowy - odparła Roslyn i uważnie przyjrzała się mamie. - Wspaniale wyglądasz! - ucieszyła się.

Rzeczywiście, nikt nie dałby Olivii tylu lat, ile miała. Mimo pięćdziesiątki wydawała się z dziesięć lat młodsza. Zachowała szczupłą sylwetkę i świeżą cerę, jedynie wokół oczu miała parę drobnych zmarszczek. Gęste, krótko przycięte czarne włosy lśni-

ły zdrowym blaskiem, tylko gdzieniegdzie srebrzyry się jasne pasemka. Między matką i córką istniało uderzające podobieństwo, z tym że twarz dziewczyny zdradzała skrywane pasje, a twarz matki rozjaśniała naturalna łagodność.

Marsh przyglądał się obu kobietom, ale z wyrazu jego twarzy trudno było coś wyczytać. Patrzył na nie i myślał: Roslyn jest uparta jak osioł, ale nie ma rzeczy, jakiej by nie zrobiła dla matki: Liv świata nie widzi za córką. Obie wiele wycierpiały przez lady Faulkner, jego matkę. I choć kochał matkę i starał się zrozumieć jej motywy, widział zło, jakie wyrządziła. Teraz tylko od Roslyn zależy, czy dawne rany uda się zaleczyć.

Wieczór okazał się bardzo przyjemny. Towarzyszył im Harry Wallace, zachwycony przyjazdem Roslyn i perspektywą kolacji z Olivia. Kremowy strój safari i jedwabny krawat, który założył na tę okazję, dodawały mu uroku. Posiedzieli na werandzie, popijając drinki i pogryzając małe kanapeczki. Potem zasiedli do kolacji, którą Olivia postanowiła podać nie w oficjalnej jadalni, ale w nieco mniejszym pokoju stołowym, przytulnym i zaskakująco odmienionym, ponieważ Marsh kazał wyburzyć tylną ścianę i wstawić szerokie szklane

drzwi wychodzące na ogród. Nowe, kameralne oświetlenie stwarzało miły nastrój.

Przez otwarte na oścież drzwi do wnętrza wpadał chłodniejszy powiew, niosący ze sobą przesycony kwiatami zapach nocy.

- Cudowne jedzenie, Liv! - zachwycił się Harry, a jego orzechowe oczy popatrzyły na Olivię z nie ukrywanym podziwem. - Gotowanie również jest sztuką.

- Podobnie, jak urządzenie ogrodów. A ty jesteś w tym doskonała, Harry.

- Dziękuję.

Harry był bardzo interesującym mężczyzną po pięćdziesiątce. Szczupły, o gładkiej cerze, opalony teraz na brąz. Wspaniałe wąsy rekompensowały lekko przeredzoną czuprynę. Należał do mężczyzn, na których kobiety zwracają uwagę. Spokojny, wyważony, pełen ciepła i humoru głos był jego ogromnym atutem. Od samego początku nawet lady Faulkner traktowała go bardziej jak przyjaciela domu niż pracownika. Z pewnością dużą rolę odegrał w tym właśnie jego głos, nienaganne manieri i sposób bycia; w każdym razie Roslyn zawsze była o tym przekonana. Minęło sporo czasu nim uświadomiła sobie, że to nie poło zatrzymywało Harry'ego w Macumbie. W równej mierze wpłynęła na to jej mama.

- Wiesz co, Liv - uśmiechnął się Harry. - Zawsze myślałem, że kiedyś otworzę sobie restaurację w jakimś pięknym miejscu. Na przykład w North Queensland. Tam są wspaniałe tereny. Urwisty klif, w dole błękitny ocean i dalekie wyspy. Założyłbym tam cudowny ogród, ty miałabyś pieczę nad kuchnią. Oczywiście, najpierw musiałabyś za mnie wyjść.

- Daj spokój, Harry! - roześmiała się Liv. - Znowu te bzdury!

- Ja myślę, że on mówi poważnie - odezwał się Marsh,

Olivia znów się roześmiała.

- Za każdym razem opowiada co innego.

- Ale przyznasz, że zawsze ma to związek z małżeństwem? - łagodnie sprostował Harry. - Zobaczysz, wcześniej czy później postawię na swoim.

Roslyn ukradkiem zerknęła na Marsha, mrugnął w odpowiedzi. Widać przywykł do ich przekomarzań. Spojrzała na mamę. Od wina i żartów jej jasna twarz zaróżowiła się lekko. Wygląda pięknie, pomyślała z dumą. Miała na sobie sukienkę, którą dała jej dziś w prezencie: z delikatnego białego jedwabiu, malowanego w kwiatowy wzór. Była droga, ale mama zasługiwała na najlepsze rzeczy. Zarzuciła ją dziś prezentami, ale najważniejszy zostawiła na gwiazdkę. Przywiozła też sporo kosmetyków i sama zrobiła jej makijaż. Obie zaśmiewały się przy tym jak nastolatki, ale efekt był naprawdę rewelacyjny.

Jaka szkoda, że mama ciągle jest sama! - któryż to już raz przemknęło jej przez myśl. Jest piękną kobietą, powinna kogoś mieć. Kto wie, może jeszcze nie wszystko stracone? Jeśli wyjdzie za Marsha, wiele rzeczy się zmieni. Zapewni mamie spokojne życie. Skończy z pracą, będzie mogła podróżować, robić to, na co jej przyjdzie ochota.

Byli tak pochłonięci rozmową, że kiedy zaczęli zbierać się do odejścia, dochodziła północ. Roslyn i Marsh postanowili jeszcze się przejść. Ruszyli ścieżką nad jezioro. Ogromny, miedziany księżyc wisiał tuż nad horyzontem, w jego słabym blasku stojąca nad brzegiem altanka wydawała się jeszcze bardziej tajemnicza i nierealna.

- Harry ma poważne zamiary - odezwał się Marsh. - Od wielu lat kocha się w Liv.

- Ale mama nie patrzy na niego pod tym kątem - z żalem stwierdziła Roslyn. - Nikogo nie można nakłonić do miłości.

- Jednak Harry jest jej bardzo bliski. Mogłoby coś z tego wyjść, gdyby tylko zechciała spróbować.

- Jako wasza gosposia, w dodatku wdowa, pewnie jest zobowiązana żyć jak zakonnica?

- Nie możesz przestać, co? - zapytał spokojnie.

- Przepraszam. - Chwyliła głęboki oddech, żeby się opamiętać. - To był bardzo miły wieczór. I mama była taka zadowolona.

- Tylko na nieszczęście Harry'ego wcale nie w związku z jego propozycją.

- Miłość jest cierpieniem - powiedziała zadumana Roslyn. - Może mama, tak jak i ja, też wzdycha do gwiazd.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Popatrzył na nią.

- Nie wiesz?

W milczeniu czekała na to, co powie.

- Zostawmy to - powiedział, przerywając przeciągającą się ciszę. Szli ramię w ramię.

- To żadna odpowiedź, Marsh. Przecież wiesz, że sir Charles był gwiazdą na jej firmamencie.

- Z tego, co pamiętam, Liv była zdruzgotana śmiercią twojego ojca.

- Mówię o czasach późniejszych. Mama była zdana tylko na siebie, samotna i pogrążona w rozpacz. Nie miała nikogo. I czuła się jak sierota. I wtedy pojawia się twój ojciec. Prawdziwy mężczyzna, objawienie. Nie mogę mieć do niej pretensji. W jednej chwili nasze życie się zmieniło, on stał się gwiazdą, wokół której zaczęłyśmy krążyć. Ale nie mógł jej niczego zaoferować. Miał żonę, dzieci. Był ostoją tradycji. Raz dokonał wyboru i pozostał wierny danemu słowu. Cenię w nim to. Ale nasze życie, moje i mamy, zostało zrujnowane. Mama usunęła się w cień, zrezygnowała i uznała, że nic więcej się jej nie należy, a moje życie upłynęło pod znakiem niepewności i żalu.

- Tak to już jest - przyznał jej rację. - Nikt z nas nie jest aniołem. Twoja mama tęskniła za czymś, co nigdy nie miało

się ziszczyć, ale mój ojciec też miał swoje złe dni. I nikt nie otworzył oczu mojej matce. Ona też szybko się przekonała, że ich małżeństwo nie jest takie, jakiego pragnęła.

Odwrociła głowę, popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- O czym ty mówisz?

Wzruszył ramionami.

- Każda rodzina ma swoje tajemnice, Rosa. A nieszczęśliwi ludzie czasami bywają okrutni.

- Ale twoja mama była niedobra nawet dla własnych córek! - przypomniała mu, bo nieraz była tego świadkiem.

- Może dlatego, że za bardzo przypominały jej ją samą.

- Przez chwilę milczał. - Miała świadomość, że są dokładnie takie jak ona. Uważasz, że moja matka nie kochała ojca.

Mylisz się, było zupełnie inaczej. I nigdy nie mogła pogodzić się z tym, że on nie zdołał pokochać jej tak, jak ona jego. Nie odtrącał jej, ale czuła się nieszczęśliwa i musiała to na kimś odreagować. A tuż pod ręką była Liv i jej śliczna córeczka.

W dodatku nie mogliście się bronić.

- To było okrutne z jej strony.

- Tak.

- Ale nie było mowy o żadnym romansie! - Głos jej zadrdzał. - Moja mama nigdy w życiu nie zrobiła czegoś, czego mogłaby się wstydić!

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że mój ojciec przyczynił się do jej cierpień? - rzucił szorstko.

No tak, jego ojciec nigdy by źle nie postąpił. Jego matkę też dawało się usprawiedliwić.

Szarpnęła się, szybkim krokiem ruszyła w stronę jeziora.

- Ależ skądże! - wykrzyknęła z drwiną.

Podszedł do niej, obrócił do siebie.

- Czy choć raz nie możemy podejść do tego spokojnie?

- Widać nie. I tylko mi nie mów, że jesteś opanowany. Aż cię ponosi. Rzecz w tym, że mama nie była właściwą osobą.

Była służącą. O to chodziło... - Urwała, bo dławilo ją w gardle.

- Nie możesz machnąć na to ręką, co?

Poczuła wzbierającą w niej złość.

- To nie jest zależne ode mnie - wydusiła przez zaciśnięte zęby. - Myślisz, że mi z tym dobrze? Ale nic nie mogę poradzic, nie potrafię odciąć się od przeszłości. Ty masz zupełnie inne podejście. Udajesz, że to zamknięta sprawa, ale tak wcale nie jest: to stale gdzieś się w nas tli. I nie powinniśmy zamykać oczu.

- Żeby wszystko popsuć? Zobacz, już i tak zmarnowaliśmy tyle lat. Moi rodzice nie żyją.

Poczuła lzy w oczach, potrząsnęła głową.

- Przepraszam cię, Marsh. Naprawdę chcę, żeby między nami było jak najlepiej, ale nie jest mi lekko. Boję się, że nie pójdzie nam łatwo, że spotka mnie wiele przykrości. Gdybyśmy mogli wziąć cichy ślub, tylko my dwoje! Ale z pewnością nie obędzie się bez wielkiej gali. Rozdmuchają moją historię, zaczną grzebać w przeszłości, nie zostawią w spokoju naszych rodziców. Znajdą się plotkarze, którzy nie poskapią informacji.

- Nie obchodzi mnie, co myślą inni. - Popatrzył na rozciągającą się przed nimi spokojną taflę jeziora. - Ci, na których mi zależy, i tak wiedzą swoje. Postaraj się spojrzeć na to w taki sposób. A jeśli wolisz cichy ślub, to nie widzę przeszkód. Będzie, jak zechcesz.

- Wtedy natychmiast zaczną się domysły, że jestem w ciąży.

Nie, to nie jest wyjście. Zresztą nie chcę się przed nikim kryć.

- To rozumiem! - Pocałował ją we włosy. - Masz charakter! Poza tym chcę pochwalić się moją narzeczoną, niech cały świat ją zobaczy!

Odetchnęła, poczuła się lepiej. Jakże potrzebowała jego wsparcia!

Weszli do oplecionej pędami jaśminu altanki. Roslyn oparła ręce na barierce, zapatrzyła się w migoczącą wodę, zasłuchała w dźwięk cykad.

- Jak tu pięknie! - szepnęła.

- Pięknie! - Stanął za nią i objął ją mocno.

Zadrżała pod jego dotykiem. Nie odrywała oczu od jeziora. W miedzianej poświacie księżycy majaczyły ciemne sylwetki unoszącej się na wodzie pary łabędzi. To pewnie Sirius i Bella. Reszta ptaków musiała być przy brzegu. Jezioro było głębokie. Kiedyś odważyła się zanurkować i Sirius, największy i najbardziej agresywny, zaczął ją ścigać.

- Pamiętasz, jak...

- Jak Sirius cię zaatakował? Jasne, że tak. A tyle razy cię ostrzegałem - powiedział, odgarniając na bok jej włosy.

- Marsh, obiecałeś - przypomniała mu.

Przybliżył usta do jej szyi srebrzącej siew światle księżycy. Delikatnie dotknął jej piersi.

- Nie obiecywałem, że cię nie obejmę. - Czowała wzbierający w niej żar. - Zresztą z tobą jest tak inaczej. Umiesz mnie zaczarować - zamruczał, wodząc ustami po jej skórze.

- Już późno - protestowała.

- Wiem.

Jeszcze próbowała się cofnąć, ale nie miała sił. Owionął ją znajomy zapach, który zawsze tak ją upajał. I już nie mogła oprzeć się pokusie, by przytulić się do niego, poczuć dotyk jego ciała, oddawać mu pocałunki. Piękno tej chwili odurzało, migotanie tysięcy gwiazd rozjaśniało czarny aksamit nieba, odległa przestrzeń zdawała się nierzeczywista i tajemnicza, nabierała innych barw, przechodziła w fiolet, lawendę. Tylko tutaj było takie niebo, takie przejrzyste powietrze. Wydawało się, że wystarczy wyciągnąć rękę, by dotknąć gwiazd.

Westchnęła błogo, cichutko.

- Marsh, musimy przestać.

- Czy choć raz zrobiłem coś wbrew twojej woli? - spytał szeptem.

Nie mogła myśleć. Oboje nie mogli, czuła to. Ale musi się przed nim bronić. Póki nie usłyszy, że ją kocha.

Jaśmin pachniał oszałamiająco, od jeziora szedł delikatny powiew.

- Pocałuj mnie. - Marsh ujął w dłonie jej twarz. - Tak długo na to czekałem.

Dotknęła jego ust; powoli, niemal tanecznym ruchem, przytuliła się do niego. Przygarnął ją mocno.

- Rosa, zostań dziś ze mną, proszę. Nie chcę, żebyś odeszła - szepnął żarliwie.

Opamiętała się. Już raz uległa jego prośbom i wszystko przepadło. Już więcej tak się nie stanie. Odepchnęła go.

- Chodzi ci tylko o seks! - rzuciła mu prosto w twarz.

- Nie, o znacznie więcej - odrzekł szorstko.

- Więc powiedz mi, chcę to wiedzieć, proszę. Powiedz mi, co takiego się stało, że nagle chcesz się ze mną ożenić?

- W takim razie powiedz, czemu od razu nie odrzuciłaś mojej propozycji? - odpowiedział pytaniem. - Wydawało mi się, że już to sobie wyjaśniliśmy.

Odgarnęła gałązkę jaśminu, która wczepiła się jej we włosy.

- Mylisz się. Dlaczego wtedy miałaś inne zdanie?

- Rosa, daj spokój - zniecierpliwził się. - Byłaś wtedy uczennicą.

- Ach, więc to o to chodzi! No tak, teraz mam doskonałe wykształcenie. To zmienia postać rzeczy -[^] dodała drwiąco.

- Owszem. Ale to nie wszystko. To, jak wyglądasz, sposób, w jaki mówisz, twój promienny uśmiech... Żaden mężczyzna nie oprze się urokowi pięknej kobiety, Roslyn, tacy już jesteśmy. Erotyzm ma nad nami ogromną władzę. Dlatego nie mogę ci obiecać, że w nieskończoność będę cię trzymać

w wieży z kości słoniowej, za bardzo cię pragnę. A z drugiej strony, zawsze będziesz mieć pewien niedosyt, dopóki nie padnę przed tobą na kolana.

- No wiesz co! - oburzyła się.

- Taka jest prawda. Nie chcesz się przyznać, ale nadal płonie w tobie żądza zemsty. Byłem w tobie po uszy zakochany, ale ty, czułaś kię urażona. Dziewczyno, miałaś wtedy dopiero szesnaście lat!

- Ale już byłam kobietą. I znałam smak cierpienia. Przeżyłam dramat - powiedziała cicho, z żalem. - Nie widzisz tego? A tacy ludzie bywają niebezpieczni.

- Rosa, nie ty jedna cierpiałaś. Ja też nie miałem lekkiego życia. W naszym domu nie było miłości i ciepła, wiesz o tym. Wiele po mnie oczekiwano, miałem być ucieleśnieniem marzeń i ambicji rodziców. A byłem zwyczajnym chłopakiem. Ileż bym wtedy dał, żeby się zamienić z którymś z kolegów! Po co mi to wszystko, skoro nie mogę być szczęśliwy?

W jego głosie było tyle gorczy, że zamknęła oczy.

- Wiem, że nie było ci łatwo - przyznała.

- Więc nie szarp się już ze mną. Rosa, chcę się z tobą ożenić - oświadczył z przekonaniem. - I zrobię to. Jesteś tylko moja!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Później, kiedy już znalazła się w swojej sypialni, usiadła na łóżku i zaczęła się zastanawiać nad tym, co ją czeka. Przede wszystkim musi przekonać do siebie rodzinę Marsha. Do tej pory postrzegano ją przez pryzmat uprzedzeń lady Faulkner. Kiedyś ledwie dopuszczano ją do stołu, a teraz niewiele brakuje, by została żoną Marsha. Może sprawiłoby jej to satysfakcję, gdyby nie świadomość przeżytych upokorzeń i zmarnowanego czasu.

Aż podskoczyła, kiedy ktoś zastukał do drzwi.

- Przepraszam, kochanie. - Na progu sypialni stanęła Olivia. - Przestraszyłam cię. Chciałam ci tylko powiedzieć dobranoc. Tak się cieszę, że przyjechałaś.

- Wejdz, mamó. - Gestem zaprosiła ją do środka. - Porozmawiajmy.

- Ale tylko chwileczkę - zastrzegła się z czułym uśmiechem. - Pewnie jesteś okropnie zmęczona po podróży.

- Powinam być, ale nie jestem. Za dużo myśli kłębi mi się w głowie. Wspaniale dziś wyglądałaś, mamó - powiedziała z dumą. - Świetnie ci w tej sukience. Harry nie mógł odebrać od ciebie oczu.

- Harry lubi kobiety - zbagatelizowała Olivia, ujmując córkę za rękę.

- I bardzo dobrze. Ale ty, mamó, nie powinnaś chować głowy w piasek. On jest tobą urzeczony.

- Bo czuje się przy mnie bezpiecznie - powiedziała jak to ona. - Był kiedyś żonaty. Wiedziałaś o tym?

Zaskoczyła Roslyn.

- Nie. Nigdy nie pisał ani słowa.

- To smutna historia - westchnęła Olivia. - Żona zostawiła go dla jego najlepszego przyjaciela. Jej przyznano opiekę nad dwoma synami. Jeden miał wtedy sześć, drugi osiem lat. Harry bardzo się starał, ale udało się jej nastawić chłopców przeciwko ojcu. Zawsze, kiedy wypadały jego wizyty, wynajdowała im jakieś zajęcia, zatajała jego telefony, utrudniała mu dostęp do dzieci. Młodszy zaczął mieć ataki hysterii. Miarła się przebrała, kiedy dzieci zaczęły mówić do jego dawnego przyjaciela „tatusiu”. Wtedy stwierdził, że nic tam po nim, że powinien pomyśleć o sobie. „Był w mieście kimś”, tak mi powiedział, a ja nie dociekałam szczegółów. W każdym razie zapewnił chłopcom odpowiednie środki, a sam wyjechał. Podróżował po całym świecie, był chyba wszędzie, nawet na Antarktyce. Nim przyjechał do Australii, sporo czasu spędził w Kenii. Lubi duże, otwarte przestrzenie.

- Biedny Harry - ulitowała się nad nim Roslyn. - Pewnie był załamany.

- Nadal jest. Mimo upływu tylu lat. Na szczęście ich związki nie zerwały się zupełnie. Chłopcy dorośli i nawiązali z nim kontakt. Widuje się z nimi, kiedy przyjeżdża do Anglii. Jeden zajął się prawem, drugi pracuje w banku. Żaden nie pali się do małżeństwa.

- To się często zdarza dzieciom z rozbitych domów.

Olivia popatrzyła na nią uważnie.

- Masz coś na myśli, prawda?

- Tak łatwo mnie rozszyfrować? - uśmiechnęła się.

- W końcu jestem twoją matką, znam cię.

- Moją śliczną mamusią! - Ucałowała jej dłoń. - Nie wiem, jak to przyjmiesz, ale Marsh poprosił mnie o rękę.

- Roslyn! - wykrzyknęła, mimowolnie pochmurniejąc.
- Tego właśnie się spodziewałam - westchnęła dziewczyna. - To stara historia.

- Jakbym nie wiedziała! - zachmurzyła się Olivia. - Wariowaliście za sobą, aż się bałam. Tylko czekałam, kiedy lady Faulkner z hukiem wyrzuci nas na pustynię.

Roslyn uśmiechnęła się zjadliwie.

- Nie miała odwagi. Sir Charles z pewnością by się jej przeciwstawił. Z nim nie było dyskusji.

- Mimo to martwił się. Byłaś taka młoda. Trzeba było położyć temu kres.

- Oczywiście! - Skrzywiła się cynicznie. - Wiadomo. Te stare, powiązane ze sobą rody. Żaden nuworysz nie jest wśród nich dobrze widziany, a co dopiero córka pracowników.

- Bez względu na jej urodę i wykształcenie - ze smutkiem dokończyła Olivia. - Musisz wziąć pod uwagę, że Marsh jest bardzo zżyty ze swoją rodziną. Są powiązani na wszelkie możliwe sposoby. Macumba jest tylko częścią ich majątku. Faulknerowie wcześniej niż inni zorientowali się, że warto inwestować wielokierunkowo. Mają Mossvale, większościowe udziały w Wesfield Mines. A to z pewnością nie wszystko. Są bardzo dyskretni, jeśli o to chodzi.

- Nie wychodzę za niego dla pieniędzy - obruszyła się.
- To mnie zupełnie nie interesuje.

- A powinno! - stwierdziła stanowczo Olivia. - Teraz to będzie ciebie dotyczyć: spadną na ciebie nowe obowiązki, będziesz musiała przestawić się na inny tryb życia. Nie wiem, czy będzie ci to odpowiadać. Nie licz na spokojne życie w zaciszu Macumby, ponieważ staniesz się osobą publiczną. Byłoby ci łatwiej, gdyby Marsh czyjego ojciec samodzielnie doszli do swojej pozycji, sami się dorobili. Niestety, tak nie jest. Ich rodzina jest znana i bogata od pokoleń. Tacy jak oni trzymają się razem, niechętnie dopuszczają kogoś nowego do

swojego grona. A zobaczysz, co będzie, gdy tylko ogłosicie zaręczyny... wszystkie gazety będą się rozpisywać!

- Przecież nie mamy nie do ukrycia. Nic złego nie zrobiliśmy.

- Poczekaj, niech tylko zaczną grzebać w przeszłości, wyciągną stare dzieje. Rosa, nie będzie nam lekko, wiedz o tym.

- Chcesz powiedzieć, żebym za niego nie wychodziła?

- Mówię tylko, że najbardziej zależy mi na twoim szczęściu. Już i tak tyle przeszłaś.

- Myślałam, że lubisz Marsha.

- Oczywiście, że go lubię! - wykrzyknęła. - Nigdy nie zrobił mi najmniejszej przykrości, chronił nas przed swoją matką i jej złośliwościami. Dziewczeta trzymały jej stronę...

- Chyba bały się postąpić inaczej.

- Możliwe. Ale zdajesz sobie sprawę, że Marsh zawsze był traktowany jak udzielny książę. Miał wszystko, czego tylko zapragnął. Nie uznaje kompromisów. Wiem, że oboje okupiliście cierpieniem wasze zerwanie; wiele cię kosztowało, żeby się otrząsnąć i zapomnieć o nim. Marsh też się starał. Zaczął spotykać się z Kim Petersen, popieraną przez lady Faulkner. A jednak nic z tego nie wyszło i znów jesteście razem! Jakbyście nie mogli bez siebie żyć!

- Chyba tak musi być, mamo. Próbowałam wybić go sobie z głowy, umawiałam się z innymi, ale to wszystko okazało się nieskuteczne. Nie mogłam go zapomnieć.

- Myślisz, że będziesz z nim szczęśliwa? - zatroskała się Olivia.

- Musimy tylko odsunąć od nas jego rodzinę. Jesteśmy oboje z jednej gliny.

- Nie chodzi tylko o rodzinę, Rosa. Są jeszcze ich znajomi, przyjaciele. Jestem oszołomiona, ale nie mogę powiedzieć, że się cieszę. Znajdą się ludzie, którzy postarają się nie dopuścić do waszego ślubu.

- Myślisz, że się odważą?
- Zrobią to za plecami Marsha. Wiesz, w jaki sposób. Boję się, że czeka cię dużo przykrości - powiedziała ze smutkiem.
- Bo doświadczyłaś tego na własnej skórze, prawda? Mamo, dlaczego wtedy nie wyjechałyśmy?
- Rosa, ty masz inny charakter niż ja, potrafisz walczyć o swoje. Ja nigdy taka nie byłam. Dlatego nic nie zrobiłam.
- A potem zaczęło ci zależeć na sir Charlesie?
- Przestań! - Powstrzymała ją gestem.
- Mamo, powinnyśmy być ze sobą szczerze.
- Kochałam twój ojca.
- Wiem. Mówię o tym, co było później. Mamo, przecież ja to rozumiem. Nasze życie kręciło się wokół Faulknerów. Byłaś młoda i piękna, ich małżeństwo nie było udane. Sir Charles był wspaniałym mężczyzną, wszyscy tak uważali. Ale powinien dać ci wybór!
- To była moja decyzja. - Olivia podniosła na córkę oczy pełne smutku i cierpienia. - Chciałam zostać. Wmawiałam sobie, że muszę mieć pracę. Ale to nie była cała prawda. Sir Charles zaproponował mi posadę. Zrobił to z najszlachetniejszych pobudek. Oplakiwałam twój ojca, zresztą nigdy nie przestałam. Żyje w mojej pamięci, podobnie jak Charles. Między nami nic nie było, Rosa. Uwierz mi.
- Wierzę.
- To była wzajemna fascynacja, ale zbyt wiele nas dzieliło.
- Mamo, sir Charles był żonaty. Marsh nie jest.
- Nie jest, ale to na nim opiera się cała rodzina. Powtarzam ci to jeszcze raz: jeśli tylko znajdą jakiś sposób, żeby zapobiec temu małżeństwu, przed niczym się nie cofną!
- W takim razie chyba się zdziwią - oświadczyła. - Wiem, że w przyszłości nie zawsze wszystko będzie się układać jak po różach, ale Marsh poprosił mnie o rękę, a ja się zgodziłam.

- Jeśli taka jest twoja decyzja, to masz moje całkowite poparcie. - Śliczne oczy Olivii wypełniły się łzami. - Jesteś sto razy mądrzejsza i silniejsza ode mnie.

Wzruszyło ją to przyznanie się matki do słabości.

- Och, ale bym chciała dopaść tę twoją macochę! - wycedziła. - Powiedziałabym jej, co o niej myślę!

- Ty byś się jej nie dała - stwierdziła Olivia. - Nie jest łatwo cię złamać. Poszłaś w ojca.

- Dorosłemu nietrudno stłamsić dziecko - miękko powiedziała Roslyn.

- To prawda. - Olivia zamyśliła się. - Moja macocha była bardzo sprytna. W obecności ojca odgrywała rolę kochającej matki, ale gdy tylko go nie było... Wyrobiła w nim przekonanie, że to ja się nie staram, że ją odtrącam. Uwierzył jej wreszcie, przeszedł na jej stronę. Ludzie już tacy są, zwłaszcza kobiety. Będziesz musiała mieć się na baczności.

- A jak myślisz, dlaczego jeszcze nie śpię? Obmyślam właśnie najlepszą taktykę.

- Nie zostało ci dużo czasu. Rodzina zjedzie w przyszłym tygodniu. Im bliżej świąt, tym więcej gości. Przypuszczam, że Petersenowie też się pokażą. Kiedy chcecie oficjalnie ogłosić zaręczyny?

- Poprosiłam Marsha, żebyśmy się jeszcze trochę wstrzymali. Chcę zobaczyć, jak zareagują na mój przyjazd.

- Czy aby dobrze robisz? Nie lepiej zagrać w otwarte karty?

- Nie. - Potrząsnęła głową..- Już to sobie przemyślałam. Chociaż wiem, że nie ominą mnie komentarze.

- A co będzie ze mną? Przecież Marsh nie zechce, żeby teściowa kręciła mu się po domu.

- Dlaczego? - Popatrzyła na matkę zaskoczona.

- No wiesz! - roześmiała się Olivia. - Nowożeńcy powinni być sami. Nie potrzeba im nikogo.

- Ale ja chcę, żebyś była z nami! To jest ogromny dom! Jeśli zechcemy, to miesiącami możemy się nie widywać.

- Och, córeczko! - Olivia potrząsnęła głową. - Tak czy inaczej przestanę być gosposią, prawda?

- Oczywiście! - Poderwała się i ucałowała ją w policzek.

- Już i tak dostatecznie długo pracowałaś dla Faulknerów. Należy ci się coś od życia. I musisz być niezależna finansowo. Marsh zamierza przekazać mi część pieniędzy. Jako żona będę mieć do tego prawo. A co moje, to twoje. Zawsze marzyłaś, by razem z Ruth wybrać się do Europy. Teraz to będzie możliwe. Będiesz mogła robić wszystko, co tylko zechcesz!

- O mój Boże! - jęknęła Olivia. - Ja jestem taka spokojna, a szykuje się tyle zmian!

- Tak, mamusiu. W ciągu jednej nocy musimy przemienić się w wielkie damy! - Jej śmiech był tak zaraźliwy, że nawet Olivia go podchwyciła. - Chociaż wydaje mi się, że niewiele musimy zmieniać, parę nowych ciuchów całkowicie nam wystarczy.

- Rosa, ale czy to przypadkiem nie z mojego powodu?

- Olivia zniżyła głos, spoważniała.

- Mamo, co też ci chodzi po głowie! To tylko dodatkowo plus. Przecież wiesz, że zawsze kochałam Marsha. I zawsze będę. To jest coś, na co nikt z nas nie ma wpływu.

- Czasami tak bywa. No to, kiedy mam przestać pracować?

- Póki nie znajdziemy kogoś odpowiedniego, będę ci pomagać. Dziewczyny w domu mnie znają, nie będzie więc problemów.

- Ale teraz już nie będziesz małą Roslyn. Będziesz panią Faulkner. Będą musieli się do tego przyzwyczaić. Harry'emu przyjdzie to bez wysiłku; zawsze powtarzał, że dasz sobie radę w każdej sytuacji. Ale ja wolę nadać być „Panią E.”, zwłaszcza kiedy przyjdzie rodzina. Nie będzie mi łatwo się przestawić.

Znają mnie jako gosposię. Chciałabym pomówić o tym z Marshem.

- Oczywiście! - przystała bez wahania. - Liczymy na twoje błogosławieństwo.

- Gdyby to mogło coś pomóc! - westchnęła Olivia.

- Mamo, nie bądź taka skromna - oburzyła się Roslyn.

- Jesteś prawdziwą damą i dla mnie jesteś najlepsza, najważniejsza na świecie!

- Dziecino! - Olivia przytuliła ją mocno. - Tak się cieszę, że ciebie mam. No to, kiedy ogłosisie zaręczyny? Znając Marsha, dziwię się, że zgodził się czekać.

- Chce to zrobić w Wigilię.

Olivia nie wypuszczała córki z objęć. Milczała, dopiero po dłuższej chwili rzekła:

- Przygotuj się, że nie przejdzie to łatwo.

Dni, które upłynęły przed przyjazdem rodziny, należały do bardzo szczęśliwych. Roslyn i Marsh byli ze sobą od rana do nocy. Po kolei wprowadzał ją w bieżące sprawy i rodzinne interesy, zapoznawał z opracowanymi przez siebie planami rozwoju poszczególnych firm hodowli koni, zarządzania majątkiem. Były to dla niej zupełnie nowe rzeczy, ale Marsh potrafił przekazać jej to tak klarownie, że bardzo szybko zaczęła się wciągać. Chłoneła fakty i liczby, zasypywała go pytaniami, co sprawiało mu widoczną przyjemność. Pieniądze, z jakimi mieli do czynienia, były dla niej wprost niewyobrażalne. Zastanawiała się, w jaki sposób ktoś mógłby je wydać? Marsh miał do tego zupełnie inne podejście: fortuna, którą zarządzał, miała służyć przyszłym pokoleniom. Poza tym duża jej część była przeznaczona na działalność charytatywną, o której już coś niecoś wiedziała, ale do końca miała poznać ją dopiero z czasem.

Marsh bardzo poważnie traktował zarządzanie majątkiem.

Jeśli chce dotrzymać mu w tym kroku, powinna sporo się nauczyć. Nie zaszkodzi zapisać się na roczny kurs zarządzania i handlu. Studia skończyła bez problemu, więc i z tym sobie poradzi. Wtedy będzie mogła zaangażować się w pracę-na równi z Marshem. Któregoś dnia ich dziecko przejmie tę rolę. Może to będzie dziewczynka? Zmieniły się czasy, uwierzone w możliwości kobiet. Córka nie będzie gorsza. Sama nie chce być jedną z tych kobieciatek, co to na niczym się nie znają, których poważne sprawy nie interesują. Nie da się zepchnąć do kąta. Siostry Marsha były inaczej wychowane, nikt nie zachęcał ich do działania. Ale ani ona, ani jej córka nie będą takie. Musi zdobyć wiedzę, by się liczone z jej zdaniem. Na Marsha może liczyć. To inni spróbują podstawić jej nogę, ale da sobie radę. Wiele przykrości spotkało ją w życiu. Przez to odnalazła w sobie nie tylko dumę, ale i siłę.

Byli na porannej przejażdżce, kiedy Marsh poruszył sprawę zbliżającego się przyjazdu sióstr. Jechali ramię w ramię, wzdłuż mieniącej się srebrzyście Mali Creek. Łagodny powiew marszczył zieloną taflę, poruszał liśćmi drzew, szemrały trawy. Obsypane białymi kwiatami drzewa odbijały się w wodzie. Oboje zwolnili zachwyceni tym widokiem.

- Nie jestem pewien, Rosa - zaczął Marsh, opuszczając kapelusz, by osłonić oczy od słońca - czy rzeczywiście dobrze robisz, upierając się przy swoim. Może byłoby lepiej...

- Mówisz jak mama - przerwała mu. - Chcesz im od razu powiedzieć, prawda?

- Nie potrzebuję ich zgody, żeby się ożenić.

- Jednak chcesz ich poparcia.

- Oczywiście, że chcę. Ale i tak zrobię swoje, nawet jeśli nie będą zachwycone.

- Spójrz prawdzie w oczy. Nie będą.

Kiedy Di oświadczyła, że wychodzi za Chrisa, byłem

zdruzgotany. Przy mężu Justine umieram z nudów. Ale musiałem pogodzić się z ich wyborem.

- Tylko że oni są z odpowiednich domów.
- Rosa, czasy się zmieniają.
- Dla tych, którzy żyją w prawdziwym świecie.

Marsh zamyślił się.

- Chyba masz rację, że wiele spraw jest dla nich zamkniętych, że znają życie tylko z jednej strony. Tak to już jest.

Dlatego staramy się pomagać innym.

- To moralny obowiązek ludzi bogatych - przyznała.
- Więc okaż nam trochę zaufania.
- Przecież to robię! - wykrzyknęła, płosząc stado różnobarwnych papug. - Nie oczekuję, że pozbędziesz się wszystkiego.

- Nie mam zamiaru. Nawet dla twojej satysfakcji - odrzekł spokojnie i zerwał dziką śliwkę. - Czy to nie śliczny poranek? - Oczy błysnęły mu spod ronda. - Proszę, spróbuj.

Wbiła zęby w dojrzały, złocisty owoc.

- Myślisz, że ściągną tu Kim Petersen?
- Jeśli nawet.. .to co? Przyjaźnią się od lat. - Pochylił się w siodle, dotknął jej twarzy. - Masz sok na policzku.

- To go zliż.

- Właśnie mam taki zamiar. - Musnął jej policzek, odszukał usta. - Kiedy pójdziemy do łóżka?

- Po ślubie.

Puścił ją i wybuchnął śmiechem.

- A jeśli stracę panowanie nad sobą?
- To wykluczone! - Popatrzyła na niego wyzywająco.

Nie odrywał od niej oczu.

- Obiecujesz?
- Nie ma mowy!

Poczuła, że policzki zaczynają jej płonąć.

- Kim będzie niepoczyszona, kiedy się o nas dowie..

- Nic na to nie poradzę! - Wyprostował się na koniu.
- Tak już w życiu bywa. Zresztą to dawno zakończona historia. Powinna wyjść za Craiga McDonalda, nim nie znajdzie sobie innej dziewczyny. To najlepsza partia, jaka się jej trafia. Nigdy jej nie mówiłem, że ją kocham. Ani że chcę się z nią ożenić.

- Ale ona jest o tym przekonana.
- To przez te nasze bezmyślne matki - zniecierpliwiał się.
- Powiedz mi, co chcesz osiągnąć przez to opóźnienie? Ściągnęła wodze, by ominąć fioletowo-kremowe lilie.
- Już ci mówiłam. Chcę zobaczyć ich reakcję na mój widok. I jak mnie będą traktować.
- Z pewnością będzie dobrze, chyba że zaczniesz przeciągać strunę.
- Jak mam to rozumieć? - Jej oczy błysnęły groźnie.
- Rosa, uspokój się. Powściągnij swoją agresję-powiedział tonem łagodnej perswazji. - Jeszcze jedno: kiedy Liv przestanie pracować?

- Trudno jej tak od razu się przestawić. Czuje się nieswojo. To ci przeszkadza?

- Och, ty! - Popatrzył na nią z czułością. - Powiedz mi, gdzie się podziała ta surowa nauczycielka?

- Spróbuj zaczeplić mnie, a zobaczysz, że nadal jest.
- Bardzo chętnie. - Uśmiechnął się, a ona znów poczuła przemożne pragnienie, by nie poprzestać tylko na jego słowach, na dotyku rąk. Coraz trudniej było jej się opierać, ale Marsh nigdy nie przekroczył wyznaczonej granicy.

Kwiaty nad ich głowami pachniały tak słodko, tak upojnie... Marsh poprawił kapelusz, płosząc kolorowe motyle, które obsiadły rondo.

- Rosa, nie będę długo czekać. - Oznajmił to z taką stanowczością, że aż poczuła dreszcz. Jak zwykle doskonale potrafił ją rozszefrować. - Już i tak zmarnowaliśmy mnóstwo

czasu. Pobierzemy się nie później niż w dwa miesiące po oficjalnych zaręczynach.

Przeraziła się na tę myśl, ale zaraz przepeliło ją podniecenie.

- Ale jak ja zdążę zorganizować wszystko w tak krótkim czasie?

- Nie mam pojęcia. Chcesz mieć huczne wesele?

- Jasne, że tak! - Głos jej leciutko zadrżał.

- Będziesz przesliczną panną młodą! - Jego błękitne oczy popatrzyły na nią z rozmarzeniem.

- To chyba sen, powiedz? - Nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

- To coś więcej: małżeństwo - poprawił ją. - Dwa miesiące to wystarczający czas dla tak bystrej i dobrze zorganizowanej osoby jak ty.

Skinęła głową, już uśmiechając się do czekającej ich przyszłości.

- Trzeba będzie zaplanować mnóstwo rzeczy, ale skoro wiemy, czego się trzymać...

- Przynajmniej koszty nie będą cię ograniczać - zażartował. - Myślałem sobie, że moglibyśmy wziąć ślub w Macumbie, oczywiście jeśli ci to odpowiada. Dla tych, którzy by nie mogli przyjechać, urządzimy przyjęcie w Sydney.

- Świetny pomysł - odrzekła i jednocześnie przyszło jej na myśl, czy ktoś zaprosi ducha lady Faulkner. - A gdzie pojedziemy na nasz...-Umilkła speszona.

- ...miesiąc miodowy? - dokończył za nią łagodnie. - Nie wstydź się. Gdzie tylko zechcesz. Ślub i miesiąc miodowy będą dla nas bardzo ważne.

- W takim razie pojedźmy na jakąś samotną tropikalną wyspę. Tylko my dwoje.

Spojrzał na nią badawczo. Oczy mu błysnęły..

- Mówisz poważnie?

Skinęła głową.

- Tylko ciągle nie mogę uwierzyć, że to nie sen.

- Ja też! - roześmiał się radośnie. - Skoro tak sobie życzysz, będzie bezludna wyspa. Ale chciałbym zapewnić ci trochę komfortu. Go byś powiedziała na rejs po wyspach Wielkiej Rafy Koralowej? To przepiękne strony. Moglibyśmy zwiedzać bezludne wysepki, przybijać do brzegu w turkusowych lagunach, kochać się na plaży, a wieczorem chodzić na romantyczne kolacje w wytwornych restauracjach na zamieszkałych wyspach. To brzmi jak bajka, ale z tobą równie dobrze mógłbym wybrać się na trekking po Wielkiej Pustyni Piaszczystej.

Przepelniła ją fala radości.

- Więc będziesz kapitanem?

- Tak jest! - Zasalutował jej zabawnie, patrząc na nią z czułością. - Biorę na siebie załatwienie wyjazdu. Tobie zostanie tylko zabrać jakąś ładną sukienkę na wieczór w restauracji.

- Wezmę też kostium kąpielowy.

- I seksowną pizamkę! - uśmiechnął się. - Z przyjemnością będę ją zdejmował.

- Nigdy nie mogłam ci wierzyć.

- Teraz już będziesz. Po ślubie. - Patrzył na nią z napięciem. - Nie wątp w to. Tylko nigdy, przenigdy nie spojrzysz na innego mężczyznę.

- A jeśli to zrobię?

- To pożałujesz - zagroził.

- Żartowałam - szepnęła. - Zawsze liczyłeś się dla mnie tylko ty.

- Ja też zawsze byłem opętany tylko przez ciebie. Rosa, zobaczysz, że się nam uda. To będzie małżeństwo na wieki.

- Zabrzmiało to tak poważnie, że, chcąc to osłabić, dodał:

- Pora na śniadanie. Sok, owoce, befsztyk i jajka, do tego

może trochę smażonych kartofli. I dużo grzanek i kawy.
Idziesz?

Oczy jej jaśniały jak topazy.

- Jeszcze cię wyprzedzę!

- Tak sądzisz?

- Postaram się! - zawołała, chwytając wodze.

Znienacka objął ją, gdy zeskakiwała na ziemię i zamknął usta gorącym pocałunkiem. Po chwili razem ruszyli do domu.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Marsh pierwszy dostrzegł ciemną plamkę na bezchmurnym niebie.

- To one! Ale punktualne! - Podekscytowany poderwał się z fotela na werandzie. - Jadę po nie! Rosa, na pewno nie masz ochoty jechać ze mną?

Poczuła znajomy skurcz w żołądku, ale głos jej nawet nie zadrżał.

- Nie, dzięki. Jedź sam, będą zadowolone. Poczekamy na was tutaj. - Podniosła się i oparła na metalowej barierce werandy.

- No dobrze! - Pochylił się i pocałował ją. Zaróżowiła się, widząc blask w jego oczach. - Wspaniale wyglądasz, wiesz? - uśmiechnął się do niej.

- Cieszę się, że zauważyłeś.

- Czy choć raz zdarzyło mi się nie zauważyć? - Przeciągnął delikatnie dłonią po jej szyi.

- Hejże, wy tam! - Olivia przywołała ich do porządku. Marsh zasalutował jej zabawnie.

- Dobrze, już mnie nie ma! Spotkamy się za dziesięć minut - dodał i zbiegł ze schodków.

- Ileż on ma uroku! - westchnęła Olivia, podnosząc się i podchodząc do córki. Dżip Marsha przemknął obok i zniknął w oddali. - Czy naprawdę muszę przy tym być? Już czuję złe wibracje.

- Mamo, powinnyśmy myśleć pozytywnie. - Starła się, by zabrzmiało to przekonująco.

- Łatwo ci powiedzieć - zaśmiała się gorzko Olivia. - Ty może potrafisz, ale mnie to nie bardzo wychodzi. Z wyjątkiem Marsha i pani Agathy, Faulknerowie przysporzyli mi tylko zmartwień. - Uśmiechnęła się. - Marsh bardzo się cieszy z ich przyjazdu. Mów sobie, co chcesz, ale oni są bardzo zżyci.

- Nie musisz mi o tym przypominać - skrzywiła się i westchnęła. - Mamo, jeśli się za bardzo denerwujesz, to idź.

- Mam zostawić moją dziewczynkę samą? - Objęła córkę ramieniem. - Marsh ma rację. Wyglądasz prześlicznie. Masz wrodzony wdzięk i swój styl - stwierdziła, patrząc na nią z uśmiechem.

Roslyn miała na sobie prostą bluzkę z jedwabnej dzianiny i szerokie lejące się spodnie, wszystko utrzymane w delikatnym złotym odcieniu, podkreślającym barwę jej oczu. Z powodu upału upięła włosy w węzeł. Odślonięta twarz zachwycała doskonałością rysów.

- Przydaje się mieć ładną mamusię - zażartowała Liv.

- Najpiękniejszą mamę na świecie! - z emfazą potwierdziła Roslyn.

- Och, jak to wspaniale być razem! - Olivia oparła głowę na ramieniu córki. - Koisz moje biedne serce.

- Nadal? - Popatrzyła jej prosto w oczy.

- Och, tylko mi się tak wyrwało, córeczko. Czyż mogłabym chcieć od życia czegoś więcej?

- Jasne, że tak!

- Może to już tak jest, że jeśli źle zaczniesz, to już zawsze nie będzie się udawać. Wiesz, nawet dzisiaj śniła mi się moja mama. W snach widzę tyle osób! Już żadna z nich nie żyje.

- Nadszedł czas, byś znów była szczęśliwa. - Ucisnęła jej dłoń. - Tak bardzo tego pragnę.

- Ale nie chcę, żebyś robiła coś ze względu na mnie.

A wiem, że jesteś zdolna do wszystkiego.

Roslyn przez dłuższą chwilę milczała.

- Ten ślub to nie jest poświęcenie, mamó. Wiem, że nie będzie łatwo, ale udowodnię im, ile jestem warta!

- Za to oni niczego nie muszą udowadniać!

- Niestety, tak już jest. Pierwsze starcie zaraz się zacznie. Niech tylko pojawią się jego siostry.

- Nastaw się z góry, że spotka cię z ich strony sporo przykrości. Nie zauważałaś tego, ale zawsze były o ciebie zazdrosne. Dorastając, robiłaś się coraz ładniejsza. Na wygląd nie ma się wpływu, a one musiały walczyć z tobą o względy nie tylko ich ojca, ale również ubóstwianego brata.

- Współczułam im i nadal współczuję. Ale one nigdy nie chciały mojej przyjaźni. Może teraz, kiedy obie są mężatkami, łatwiej się dogadamy.

- Oby tak było! - westchnęła Olivia. - Najbardziej obawiam się przyjazdu Chrisa. Już raz tak się zachował...

- To dlatego, że go nie zauważałam, To go zabolalo.

- Ale uważaj na niego.

Samolot już dotykał ziemi. Nie minęło dziesięć minut, jak dżip podjechał pod dom. Obie siostry przytrzymały kapelusze, chroniące je przed słońcem.

- Chodźmy, mamó. - Roslyn uśmiechnęła się do Olivii.

- Miejmy to już za sobą.

- Założę się, że mają mnóstwo bagaży... co najmniej na pół roku.

- Pewnie tak. Ernie nieźle się nadźwiga. O, już jest!

Marsh zatrzymał auto, siostry zaczęły wysiadać. Dianne pierwsza ruszyła w stronę domu. Naraz zatrzymała się jak wryta.

- Wygląda na to, że Marsh nie powiedział im o twoim przyjeździe - z ironią zauważyła Olivia.

- Prosiłam go, żeby nic nie mówił. Chciałam je zaskoczyć.

- No to masz, czego chciałaś. Justine zawsze była mil-

sza... Idź, przywitaj się. Ja poczekam tutaj, nie powinnam wyjść z roli dobrej gospośi.

- Mamo, zaczynasz robić się zgryźliwa!

Z uśmiechem na ustach zaczęła schodzić po schodach w stronę podjazdu.

- Roslyn! Co za niespodzianka! - Justine wyciągnęła rękę na powitanie.

- Miło cię widzieć, Justine. - Roslyn uściśnęła jej dłoń i uśmiechnęła się do obu sióstr. Dianne stała z ponurą miną.

- Di, jak się masz? Miałyście udaną podróż?

- Cześć, Roslyn! - wycedziła Dianne. - Nie za bardzo.

Nie rozumiem, jak to się dzieje, że Jock Bannister uchodzi za dobrego pilota. Co najmniej trzy razy robiło mi się słabo - poskarżyła się.

Rzeczywiście nie wyglądała dobrze. Miała na sobie elegancką lnianą sukienkę tabaczkowej barwy, w której powinno jej być do twarzy, ale nie było. Gęste, układające się włosy, będące jej głównym atutem, upięła gładko z tyłu.

- Filiżanka herbaty zaraz postawi cię na nogi - uspokajająco odezwał się Marsh. - Zejdźcie ze słońca. Ja pomogę Erniemu nosić walizki.

- Może ja coś wezmę? - zaproponowała Roslyn, z nieukrywanym zdumieniem wpatrując się w górę багаży.

- Ernie się tym zajmie - przesłodziłym głosem powiedziała Dianne.

Justine, próbując zatrzeć wrażenie wywołane słowami siostry, wzięła Roslyn pod rękę.

- Przyjechałaś do mamy na ferie? - zapytała, kierując się w stronę domu.- Marsh nic nie powiedział, że tu jesteś.

- To miała być niespodzianka.

- Rzeczywiście! - Justine uśmiechnęła się blado. - Muszę ci powiedzieć, że świetnie wyglądasz. Za każdym razem, kiedy cię widzę, jesteś coraz ładniejsza.

- No właśnie! - niegrzecznie mruknęła Dianne.
- Dianne, zachowuj się - pouczyła ją siostra.
- Dlaczego nam się to nie zdarza? - niemal wybuchła Dianne. - Marsh jest najprzystojniejszym facetem, jakiego w życiu widziałam, a my zmieniłyśmy się w brzydkie kaczątka.
- To po co tak ściągnęłaś do tyłu włosy? - zaatakowała siostrę Justine. - Powinnaś się nimi szczyścić. Nie sądzisz tak, Roslyn?
- Oczywiście! - podchwyciła od razu. - W dodatku mają bardzo oryginalny kolor. Zresztą obie macie wzrost i rysy twarzy odpowiednie do rozpuszczonych włosów. A mężczyźni przepadają za długimi włosami.
- No tak, ty się na tym znasz! - zaśmiała się Dianne.
- Bardzo dawno u nas nie byłaś. Aż się dziwię, jak wytrzymałaś tyle czasu bez Marsha.
- Jemu chyba też nie było łatwo to przeżyć - uprzejmie odpowiedziała Roslyn, starając się za wszelką cenę zachować spokój.
- Dobrze ci tak, Di! - Justine popatrzyła na Roslyn ze szczerym podziwem. - Nie przejmuj się jej humorami. Od tygodni ma muchy w nosie.
- To miało znaczyć, że jestem w ciąży - oznajmiła Di.
- Och, to wspaniale! - ucieszyła się Roslyn.
- Byłoby tak, gdybym nie czuła się tak fatalnie.
- Niedługo ci przejdzie.
- Znasz się na tym, co? - rzuciła niegrzecznie Di.
- Powszechnie wiadomo, że najgorsze są pierwsze dwa miesiące. Na kiedy masz termin?
- Jeśli wierzyć lekarzowi, przypadnie na sierpień.
- Chris pewnie jest zachwycony?
- Owszem - poświadczyła z dumą. - Dla mnie stało się to nieco za szybko, chciałam trochę poczekać, ale on koniecznie chce mieć syna i następcę.

- Miejmy nadzieję, że to nie dziewczynka - z goryczą powiedziała Justine. - To musi być chłopiec, wiesz o tym, prawda?

Dianne westchnęła.

- Dla mnie liczy się tylko, by dziecko było zdrowe.

Podeszły do werandy. Olivia, w białym bezrękawniku i w płóciennej, zapinanej na guziki spódnicy, uśmiechnęła się do przybyłych.

- Dzień dobry, pani Earnshaw! -już od schodów powitała ją Justine. - Pewnie się pani cieszy, że Roslyn przyjechała na święta?

- Oczywiście - uśmiechnęła się Olivia. - Jak się macie?

- I tak tego się nie ukryje, więc powiem od razu: jestem w ciąży - oznajmiła Dianne z taką miną, jakby nikt poza nią nigdy nie doświadczył tego stanu.

- Och, bardzo się z tego cieszę! - życzliwie powiedziała Olivia. - Podróż pewnie cię trochę zmęczyła. Może napijecie się herbaty?

- Bardzo prosimy! - Justine ściągnęła z głowy kapelusz ozdobiony masą suchych kwiatów. - Może tutaj, za jakieś dziesięć minut? - Wskazała na wyplatane białe fotele na werandzie.

- Chciałabym pójść do siebie. - Ton, jakim odezwała się Dianne, do złudzenia przypominał głos lady Faulkner. - Proszę dopilnować, żeby Ernie przyniósł mi moje walizki.

Sposób bycia Dianne zupełnie wytrącił Olivie z równowagi. Marsh musiał długo ją namawiać, by zechciała wziąć udział w kolacji.

- Nie możesz sama się podkładać - przekonywał ją w kuchni, gdzie obie, Olivia i Roslyn, przygotowywały potrawy. - Jestem zły na siebie, że zgodziłem się na tę grę. Trzeba było od razu im powiedzieć - dodał z zaciętą miną.

- Dianne jest w ciąży. - Olivia wstawiła do piekarnika czekoladowy tort. - Nie chcę jej rozdrażniać.

To tylko dołało oliwy do ognia.

- Jest w domu zaledwie od paru godzin, a już zdążyła wszystkim zaleźć za skórę.

Olivia popatrzyła na niego stropiona.

- Marsh, nie widzisz, że ona nie życzy tu sobie naszej obecności?

- Nic się nie zmieniło - mruknęła Roslyn. - Chociaż nie, Justine naprawdę się stara być dla nas miła.

- Nie mogę pojąć tej zazdrośnicy. - Marsh nadal był zachmurzony. - Może to cecha wrodzona i nie da się nic na to poradzić. Ale nie potrafię jej zrozumieć! Choćbym nie wiem jak chciał! - Oczy błysnęły mu gniewem.

Roslyn podeszła do niego, dotknęła jego ramienia.

- Nie denerwuj się, Marsh. Justine mówiła, że Dianne chciała się jeszcze wstrzymać z tą ciążą, ale Chris nalegał. Może dokuczają jej poranne nudności.

- Więc powinna brać leki, jakie dał jej lekarz! - wybuchnął Marsh. - Przecież to specjalista, wie co robi. Ale Dianne zawsze lubiła robić wokół siebie dużo hałasu i komplikować życie sobie i innym. Poprosiłem Harry'ego, żeby nam dziś towarzyszył. Mam nadzieję, że pomoże nam rozładować niepotrzebne spięcia.

Ale nawet obecność Harry'ego nie na wiele się zdała.

Zebrali się w przestronnym, wykładanym kunsztownie ułożoną, dębową boazerią gabinecie, używanym teraz przez Marsha, pełnym książek, obrazów i trofeów. Pod ścianami stały wygodne fotele i sofy, obite jasną tkaniną kontrastującą z ciemnymi płaszczynami ścian.

- Dla mnie nic, Marsh, dziękuję - z emfazą odezwała się Dianne. - Postanowiłam stosować się do zakazów.

- Di, czy naprawdę musisz tak przesadzać? - jęknęła Ju-

stine. - Przecież Marsh chciał ci nalać wody mineralnej. To ci chyba nie szkodzi?

Dianne zmarszczyła długi nos.

- No dobrze, nalej mi odrobinę. - Popatrzyła na milczącą Roslyn siedzącą w fotelu. Światło stojącej obok lampy łagodnie oświetlało jej jasną cerę, kładło się ciepłym blaskiem na rozpuszczone włosy. Ten widok znów obudził w niej dawną zawiść. - Roslyn, przyłączysz się do nas, czy jesz kolację ze swoją mamą?

Poczuła znajomy ucisk w gardle. To przerażające, jak bardzo Dianne upodabniała się do lady Faulkner.

- Jemy kolację wspólnie - Marsh ubiegł jej odpowiedź. Przez chwilę karcącym wzrokiem wpatrywał się w siostrę.

- Liv i Harry bardzo często dotrzymują mi towarzystwa, kiedy jestem sam. Nie widzę powodu, by teraz miało być inaczej. Łatwiej się żyje, kiedy człowiek ma przyjaciół, nie sądzisz?

Dianne przez chwilę milczała. Roslyn wstrzymała dech.

- To twój dom, Marsh. - Powiedziała to takim tonem, jakby brat ogromnie ją zawiódł. - Ja tylko pytałam.

- Roslyn, może zagraasz nam coś po kolacji? - Justine pośpiesznie próbowała zatrzeć wrażenie, jakie wywołał incydent z Dianne. - Zawsze zazdrościłam ci talentu. Nasza matka była nami rozczarowana. Za każdym razem, kiedy siadałam do fortepianu, palce robiły mi się sztywne. Di też ledwie wydobywała właściwy ton, a przecież prababcia Marshall pięknie grała. Jej dwaj bracia też koncertowali. Rodzina Faulknerów była muzykalna. Aggie miała przed sobą przyszłość, jej nauczyciele byli tego pewni, tylko ojciec nie chciał jej puścić na naukę do Europy. I zamiast pianistką została pisarką.

- Roslyn powinna podziękować Aggie, że potrafi grać - nieprzyjemnym, władcym tonem stwierdziła Dianne.

- Dlaczego? - Roslyn popatrzyła na nią ze szczerym zdumieniem. Nawet jak na Dianne była to zaskakująca uwaga.

- Zachęcała cię do gry. Zawsze, kiedy do nas przyjeżdżała, prosiła, żebyś coś dla niej zagrała.

Marsh piorunującym wzrokiem spojrział na siostrę.

- Tak, to prawda - rozluźniła się Roslyn, choć pozostało w niej ziarno wątpliwości. - Zawsze była dla mnie bardzo miła.

- Mówisz to tak, jakby cała reszta traktowała cię zupełnie inaczej. - Dianne zmierzyła ją zimnym spojrzeniem.

- Tak to odbierałam, Dianne.

- Wstyd mi to mówić, ale Roslyn ma rację - z żalem w głosie powiedziała Justine. - Musiałyśmy być takie, żeby przypodobać się matce. Nieraz się nad tym zastanawiałam. Tak naprawdę, to wcale tego nie chciałam, ale bałam się jej przeciwstawić. Potrafiła być bezwzględna.

- Jak możesz w ten sposób mówić o mamie! - oskarżycielko zawołała Dianne.

- Czyżbym cię zaskoczyła? - z przekąsem spytała Justine.

- Przecież wszyscy dobrze wiemy, jak mama traktowała Roslyn.

- To już przeszłość, Ju-Ju - Marsh zwrócił się do siostry jej dziecięcym imieniem. - Tego, co się stało, już nie da się odwrócić, ale możemy zacząć od nowa. I tak chcę zrobić. Harry, co byś powiedział na jeszcze jedno martini?

- Nie powiem nie. - Podniósł się z wyraźną ulgą i podsunął swoją szklaneczkę. - Wiesz, jak je przyrządzać!

Podczas kolacji Dianne nie dała się wciągnąć do rozmowy. W połowie jedzenia niespodziewanie wyprostowała się na krześle.

- Wybaczcie - odezwała się cierpko - ale źle się czuję. Nie jestem przyzwyczajona do tak ciężko strawnego jedzenia.

Olivia natychmiast odłożyła sztucce, twarz się jej zmieniła.

- Tak mi przykro, Dianne. Jeśli coś ci zaszkodziło, to jedynie sos. Staram się gotować bardzo lekkie potrawy.

- Liv, jedzenie jest doskonałe - zapewnił ją szybko Marsh. - I wcale nie jest ciężkie - dodał.

Rzeczywiście kolacja była bardzo wyszukana: delikatna przekąska z owoców morza, kruchy filet z jagnięcia i bukiet surówek. Olivia zadała sobie dodatkowy trud, by przygotować dla Dianne specjalny deser: leciutki jak mgiełka morelowy suflet, ale było jasne, że jej wysiłki spełzły na niczym.

- Di, chcesz, żeby cię odprowadzić? - zapytał troskliwie Marsh. - Jeśli źle się czujesz, ściągnę lekarza.

- Nie chcę nikogo! - Zaciśnęła zęby, wzmacniając nieprzyjemne wrażenie, jakby nieoczekiwanie wśród nich znalazła się lady Faulkner. - Idźcie sobie! Widać, że dobrze wam razem! - Powiedziawszy to, ostentacyjnie wybiegła.

- Pójdę za nią. - Justine odsunęła krzesło. - Ostatnio wszystko ją denerwuje, ciągle jest rozdrażniona. Cięża wyraźnie jej nie służy.

Żadna z pozostałych przy stole osób nie przerwała ciszy. Po kilku minutach Justine zeszła na dół.

- Nic jej nie jest. - Usiadła na krześle. - Niech się pani nie denerwuje, pani Eamshaw. Nie ma powodu. Jedzenie było naprawdę pyszne. To Di ciągle marudzi i nie wiadomo, o co jej chodzi.

Wszyscy świetnie wiemy, pomyślała w duchu Roslyn.

Po kawie przeszli do sąsiedniego saloniku i Marsh otworzył wieko steinwaya. Po przyjeździe Roslyn grała już parę razy, ale nigdy nie była w takim stanie ducha jak teraz. Zaczęła zdawać sobie sprawę, że jej pomysł poczekania z ogłoszeniem zaręczyn okazał się całkowitym niewypałem. Powinna powitać siostry u boku Marsha, z zaręczynowym pierścionkiem na palcu. Nic dziwnego, że Marsh zaczął tracić cierpliwość. Dobrze, że przynajmniej spojrzeniem dodawał jej otuchy.

- Zagraj „*Lover i Nightingale*” - poprosił. - Dla mnie.

Harry usiadł obok Olivii, oparł głowę i z wyrazem oczekiwania na twarzy przymknął oczy. Koneser.

Była spięta, ale ledwie dotknęła klawiszy, spłynął na nią cudowny spokój. Grała w skupieniu. Lubiła wyobrażać sobie, że kompozytor przemawia do niej. Czasami miała wrażenie, że widzi jego twarz. Miała doskonale opanowaną technikę, a bogactwo i różnorodność przeżyć, jakich doświadczyła w swym młodym życiu, dodawały wykonaniu przejmującej głębi i potęgowały nastrój.

Grała bez mała czterdzieści minut. Najpierw utwory kompozytorów hiszpańskich, potem arabeski Debussy'ego, na koniec ulubiony przez Harry'ego nokturn D-dur Chopina.

Kiedy skończyła, słuchacze, oczarowani muzyką, trwali w milczeniu. Dopiero po dłuższej chwili Justine przerwała ciszę.

- To musi być cudowne uczucie, kiedy przeżywa się coś tak głęboko! Z całej duszy ci tego zazdroszczę! Och, Roslyn, oby choć jedno z twoich dzieci okazało się tak muzykalne!

- Wznoszę toast w tej intencji! - Marsh uniósł swój kieliszek i wychylił jego zawartość.

Olivia i Harry pozostali w salonie, a Justine przyłączyła się do Roslyn i Marsha, którzy postanowili jeszcze trochę się przejść. Wieczory w Macumbie miały w sobie niepowtarzalny urok, ciemne niebo jaśniało tysiącami gwiazd. Roslyn pamiętała mnóstwo związanych z nimi legend, które w dzieciństwie opowiadała jej Leelya.

- Wiesz co? - zapaliła się Justine, kiedy Roslyn skończyła opowieść o Gwieździe Porannej. - Powinnaś spisać te historie. Ludzie stąd tylko ,się ucieszą. Tak żałuję, że nie byłam zżyta z Leelyą: Prawdę mówiąc, wcale nie miałam kontaktu z tymi, którzy przewinęli się przez Macumbę. A w tobie, Roslyn, w białej dziewczynce, Leelya widziała bratnią duszę.

- Byłam z tego dumna. - Roslyn zapatrzyła się na wiszący nad nimi Krzyż Południa. - Ciekawa jestem, co się z nią stało.

- Myślę, że dołączyła do swoich przodków. - Marsh wskazał na migoczącą Drogę Mleczną. - Była już bardzo stara. Muszę się popytać. Jakiś czas temu któryś z chłopaków mówił, że poszła w góry. Były z nią inne kobiety. Może szła do miejsca, w którym chciała umrzeć: To by było zgodne z jej wierzeniami.

- W takim razie wiem, gdzie to jest - powiedziała Roslyn.

- Tam, gdzie tęcza styka się z ziemią.

Rozstali się przed jedenastą. Justine i Roslyn miały iść spać, Marsh chciał jeszcze przejrzeć jakieś papiery.

- Wiesz co, Ros? - zagadnęła ją Justine, kiedy wchodziły na górę. - Może byśmy wybrały się rano na przejażdżkę?

Zastanowiła się szybko. Wprawdzie szkoda jej było porannej jazdy z Marshem, ale skoro Justine okazywała jej przychylność, nie powinna jej odtrącać.

- To może z samego rana? Będzie jeszcze dość chłodno.

- Świetnie. - Uśmiech złagodził nieregularne rysy Justine. - Myślisz, że Marsh się do nas przyłączy?

- Z całą pewnością. To co, ruszamy o szóstej rano?

- Zgoda! - Justine odwróciła się do niej. - Zawrzyjmy przyjaźń, Ros. Co ty na to?

Nie zastanawiając się, Roslyn objęła ją serdecznie.

- Zawsze tego chciałam.

- Ja też. I to od lat. Nie byliśmy dla ciebie zbyt miłe, co?

- Byłyście okropne. Po prostu straszne.

- Za to Marsh ci to wynagradzał. - Puściła do niej oko.

- Kiedyś wariował na twoim punkcie.

- Oboje wariowaliśmy za sobą.

- Powiem ci coś. - Popatrzyła jej prosto w oczy. - On jeszcze nikogo nie znalazł.

Kotłowało się jej w głowie, kiedy wchodziła do swojego pokoju. Olivia czekała na nią. Wystarczyło na nią spojrzeć, by domyślić się, że coś ją dręczy.

- Co się stało, mamó?
- Usiądź, kochanie. Musimy o czymś porozmawiać.
- Chodzi o Dianne? - zaniepokoiła się Roslyn. - Myślałam, że się położyła.
- Chodzi o to, co powiedziała. - Opadła i ukryła twarz w dłoniach. - Marsh wybrnął z sytuacji i uciszył ją, ale nie wiem na jak długo. Lepiej już sama ci powiem.
- Poczuła skurcz w żołądku.
- No to już, mamó! Wyduś to wreszcie!
- Chodzi o twoje lekcje muzyki. - Popatrzyła na nią bezradnie.
- Wiem, że o to! - Roslyn rzuciła się na łóżko. - Były na koszt Faulknerów.
- Płaciła za nie pani Agatha. Chciała utrzymać to w tajemnicy. Uważała, że masz talent, którego nie można zmarnować. - Popatrzyła na córkę. - Justine mówiła o swojej rodzinie. Ja też mogłam opowiedzieć o mojej mamie. Pięknie grała i uczyła mnie muzyki. Kiedy umarła, nie mogłam się przemóc, by grać. Nie chciałam nawet dotknąć fortepianu. Zresztą dla mojego ojca to też byłoby nie do zniesienia... Wiedziałam, że masz talent. Odkryłam to jeszcze przed panią Agathą. Ale co mogliśmy z ojcem zrobić? I tak każdy grosz szedł na twoją naukę.
- Mamó, ale dlaczego mi nie powiedziałaś?
- Przez chwilę patrzyła na nią w milczeniu.
- Bo wtedy odrzuciłabyś jej pomoc - powiedziała wreszcie. - I dzisiaj nie potrafiłabyś tak pięknie grać. Popatrz na to w ten sposób!
- I oni wszyscy wiedzieli? - wydusiła z trudem, bo upokorzenie dławilo ją w gardle.
- Charles wiedział - ostrożnie odrzekła Olivia. - Może później powiedział Marshowi. Jestem pewna, że żaden z nich nie zdradził tego dziewczętom, a tym bardziej lady Faulkner.

Obaj świetnie zdawali sobie sprawę z jej niechęci i nie chcieli zaogniać sytuacji.

- W porządku, ale teraz Di już wie. To o to jej chodziło? Dla mnie jej uwaga była bardzo dziwna.

- Najbardziej dziwne jest to, jak bardzo upodabnia się do swojej matki! - ostro rzuciła Olivia. - Liczyłam, że małżeństwo i bliskie macierzyństwo wpłyną na nią łagodząco, że stanie się bardziej wyrozumiała. Justine chyba się zmieniła, a ona robi się coraz gorsza.

- Za co jeszcze oni płacili? - dociekała Roslyn, mając nieodparte przeczucie, że nie wszystko zostało powiedziane.

- Za nic. Aż do śmierci twojego ojca. Robiłam, co było w mojej mocy, resztą zajął się Charles. Bardzo cię kochał.

- To ciebie kochał, mamó! - Poderwała się z miejsca, jak kiedyś, przepełniona żalem i poczuciem krzywdy.

- Córciu, uspokój się, proszę! - błagalnie prosiła Olivia.

- Możliwe, że tak było. Może nawet raz to powiedział. Raz jeden. Ale oboje mieliśmy związane ręce. A co do twojego fortepianu, to kupiłam go wyłącznie za swoje oszczędności.

- Och, mamó! - jęknęła z rozpaczą Roslyn.

- Wiem, ile cię kosztowało przebrnięcie przez uniwersytet. Skoro przyjąłam ofiarowaną ze szczerego serca pomoc, zrobiłam to tylko dla ciebie, Byłaś wyjątkowym dzieckiem. Twój ojciec był z ciebie taki dumny. Charles też zawsze mówił, że jesteś prawdziwym skarbem. To nie było nic złego, chciałam dla ciebie jak najlepiej.

- I przez te wszystkie lata Marsh nie powiedział mi o tym ani słowa.

- Masz mu to za złe? - zdumiała się tonem córki. - Chronił cię, jak tylko umiał.

- Obie byliśmy przez nich chronione. Jak ich własność.

- Jak możesz w ten sposób na to patrzeć? - Olivia była wyraźnie dotknięta. - Zawsze miałaś skłonność do dramaty-

zowania. Zostałam sama, zdana tylko na siebie. Potrzebowałam pomocnej ręki, a Faulknerowie od lat fundują stypendia dla obiecującej młodzieży. Uznaj, że otrzymałaś takie właśnie stypendium.

- Ale nie od Faulknerów!

- I to wszystko, co masz mi do powiedzenia? Więc następnym razem nic ode mnie nie usłyszysz. Rosa, musisz przełamać swoją nienawiść do Faulknerów, sama znaleźć rozwiązanie. Jeśli tego nie zrobisz, jaka czeka cię przyszłość u boku Marsha?

- Może w ogóle nie ma żadnej przyszłości! - Ze złością złapała poduszkę i rzuciła nią.

- Kochanie, niepotrzebnie przesadzasz. - Olivia podniosła poduszkę i podłożyła ją sobie pod głowę. - To dlatego pani Agatha chciała zachować całą rzecz w tajemnicy.

- Myślisz, że wiedziała, jak cierpię z powodu urażonej dumy?

- Rosa, córeczko, wszyscy świetnie wiedzieli. Nawet lady Faulkner wiedziała... Ale nie udało jej się ciebie złamać, choć tak bardzo się starała. Nie miej pretensji do pani Agathy, a już tym bardziej nie wyrzucaj jej tego, że była dla ciebie życzliwa i szcudrobliva. Chciała jak najlepiej, podobnie jak Charles. Żadne z nich nie chciało, byś czuła się zobowiązana.

- Nie wiem, jak to możliwe. Bo, niestety, teraz tak właśnie się czuję.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Odczekała, aż mama położyła się spać, i cicho zeszła na dół. Była wzburzona, ale nie mogła czekać: musi porozmawiać z Marshem, ostatecznie wyjaśnić parę spraw. Czowała się wściekła i oszukana, ale nie to było najgorsze. Najtrudniejsza była świadomość, że mama zawsze była na przegranej pozycji, że od razu po śmierci męża musiała pogodzić się z utratą niezależności. Roslyn nigdy nie mogła tego zaakceptować; starała się przemóc, ale to tkwiło w niej jak zadra. Możliwe, że mimowolnie identyfikowała się z matką, stawiała na jej miejscu; zapewne często tak się dzieje, kiedy zostaje tylko dziecko i jedno z rodziców. Może nawet bezwiednie starała się zastąpić ojca, przejąć jego rolę. Przecież nieraz, wprawdzie bez szczególnych efektów, próbowała dodać jej otuchy, nakłonić do konkretnych działań, wykazać się zdecydowaniem. Gdyby nie sir Charles, może wyniosłyby się z Macumby, może ich życie wyglądałoby inaczej. Nie miała do mamy pretensji, ale jej niezdecydowanie skazało je obie na życie podporządkowane Faulknerom. Nie bez powodu długi czas byli dla niej synonimem wroga. Pewnie byłoby jej łatwiej, gdyby była spokojnym, ugodowym dzieckiem, ale zawsze, od najmłodszych lat, wytyczała sobie kolejne cele, stale dążyła naprzód, nie ustawała w wysiłkach. Chciała dorównać siostrze Marsha. Była od nich bystrzejsza, więc ironia stała się jej orężem. Drwiną maskowała dręczące ją kompleksy. A Marsh? Był częścią jej życia. Tylko czy dzielące ich różnice dzięki małżeństwu przestaną istnieć?

Zastukała do gabinetu Marsha i nie czekając na odpowiedź, weszła do środka.

- Rosa, kochanie! - Odłożył długopis. Błękitne oczy popatrzyły na nią z czułością. - Wiesz, któregoś dnia schowam cię do kieszeni i zabiorę do łóżka.

- Możemy porozmawiać? -. zapytała, podchodząc ku niemu tak szybko, że delikatna tkanina sukienki aż zafalowała.

- No wiesz! A ja myślałem, że przyszłaś pocałować mnie na dobranoc -- powiedział, podnosząc się zza biurka i wyciągając do niej ręce.

- Nie traktuj- mnie tak! - Ostrzegawczo uniosła głowę.

- Aha, znów to samo! - pokiwał głową. - O co chodzi tym razem, kwiatuszku?

- Dlaczego przez tyle lat nic mi nie powiedziałeś?

- Ach, więc to ta sprawa!

- Przynajmniej nie udajesz, że. nic .nie .wiedziałeś.

Puścił ją i usiadł na biurku.

- Dlaczego robisz z tego problem? Rosa, przecież nie stało się nic złego. Chodzi ci o lekcje muzyki, prawda?

Popatrzył jej prosto w oczy.

- To nie Di ci powiedziała - stwierdził. - Ktoś inny.

- Żadna z twoich siostrzyczek. Mama. Czekala na mnie w sypialni.

- Biedna Liv! - zaśmiał się Marsh- - Ale ma córeczkę!

- Masz o mnie takie zdanie, a mimo to chcesz się ze mną ożenić?

- Ja sobie z tobą poradzę, Rosa. Trafił swój na swego.

Chociaż to bynajmniej nie znaczy, że nie przewiduję trudnych momentów. No więc Aggie płaciła za twoje lekcje. I nie musisz się w tym niczego dopatrywać. Stać ją było na to, a twoich rodziców nie.

- Ale powinnam o tym wiedzieć!

- Z tym mogę się zgodzić, ale nie zapominaj, że byliśmy pod jednym dachem, a nie wszystko układało się świetnie.

- Masz na myśli swoją matkę?

- Mogłaby użyć tego przeciwko tobie.

Zagryzła wargi. Milczała.

- Masz rację - powiedziała wreszcie. - W takim razie przejdźmy do roli, jaką odegrał twój ojciec w opłaceniu mojego wykształcenia.

- Słuchaj - powiedział, pochmurniejąc i patrząc na nią poważnie..- Twoja mama została zupełnie sama, bez żadnej rodziny. Nikt nie przejmował się jej losem. Jak miał zachować się mój ojciec? Twój tata zginął jako nasz pracownik. Mój ojciec kierował się jedynie współczuciem i życzliwością. Zwłaszcza że wcale nie byłaś ujmującym dzieckiem, chyba że wyjątkowo sama tego chciałaś. Wtedy potrafiłaś nas obu owinać sobie wokół palca. Ale zazwyczaj byłaś jak nieufne zwierzątko, gotowe w każdej chwili pokazać pazurki.

- Musiałam się bronić.

- Zawsze pierwsza do ataku, co? - Wyciągnął rękę i pogładził ją po policzku.

- Marsh, ale dlaczego to ukrywałaś? Przecież był taki czas, kiedy mogłeś powiedzieć mi absolutnie wszystko.

- Szkoda, że mówisz w czasie przeszłym - zachmurzył się. - Bardzo długo o niczym nie miałem pojęcia. Ojciec nie wprowadzał mnie we wszystko. To była jego prywatna umowa z twoją mamą. Zaslugiwałaś, by stworzyć ci wszelkie szanse. Cieszył się, że może ci pomóc.

Oczy jej błysnęły, głos zabrzmiał ostro.

- Czy nie zrobił tego, by zaciągnąć mamę do łóżka?

- Przestań! - uciął szorstko.

- Co my możemy o tym wiedzieć?

- Oboje byli ludźmi honoru.

- Mama też tak mówi.

- Więc dlaczego nie chcesz tego przyjąć do wiadomości?
- Nie wiesz, jak to jest, kiedy się dorasta. Kochałam mamę, ale widziałam, co się dzieje. Uważałam, że marnuje życie, że woli się łudzić, liczyć na coś, co się nigdy nie spełni. Nie mogłam tego zrozumieć. Chwilami było mi tak źle, że chciałam krzyczeć.

- No to krzycz - Przyciągnął ją do siebie niemal brutalnie. - Wykrzycz to wreszcie, skoro musisz!

Korciło ją, by go usłuchać. Może w końcu odzyskałaby spokój? Zaciśnęła pięści, zaczęła tłuc go po piersi.

- Nienawidzę cię!

Wcale tak nie było i świetnie o tym wiedziała, ale pojawiać się Dianne wyzwoliło w niej stare, agresywne reakcje.

- Może masz rację! - powiedział, jakby nagle czymś tknięty. Oczy mu błysnęły. Jeszcze chwilę pozwolił się atakować, wreszcie pochwycił jej zaciśnięte dłonie. - Potrzeba ci miłości - powiedział cicho. - Tyle miłości, by zapomnieć ból.

Był tak blisko niej. Zadrżała. Przygarnął ją mocniej, musnął ustami wycięcie dekoltu. Jego dotyk rozpałał ją, burzył krew. Tak wiele ich łączyło, i to od tyłu już lat. Miłość mieszała się z nienawiścią, zapiekła uraza z szaleńczą fascynacją. Nie było początku, nie było kresu. Pocałunek, który mu oddała, kruszył ostatnie opory...

- Rosa, przyjdź dzisiaj do mnie. - Marsh zanurzył palce w jej włosach, nie odrywał od niej oczu. - Proszę cię!

Tak jakby nie marzyła o tym dziesiątki razy!

- Tak po prostu pójdziemy do ciebie? - zapytała, siląc się na drwinę.

- Przecież ty też tego chcesz - powiedział, patrząc jej w oczy. - Myślisz, że o tym nie wiem?

- Zawsze tak było. To żadną tajemnicą.

- Jesteś jak różany pąk rozkwitający w wiosennym de-

szczy. - Przeciągnął palcem po linii jej ust. - Rosa, nie mogę tyle czekać. Jestem mężczyzną!

- Więc ucz się panować nad sobą. - Potrząsnęła głową.

- Nie chcę... nie przyjdę do ciebie, póki nie będę twoją żoną!

Przez chwilę wpatrywał się w nią płonącym wzrokiem, wreszcie zaśmiał się cicho.

- Dla ciebie to też nie będzie łatwe, Rosa – rzucił. - Przekonasz się jeszcze. A ja naprawdę nie wiem, jak to wszystko przetrzymam.

- Bez problemu, Marsh. Nie pamiętałeś o mnie całe lata.

- Wydawało mi się, że tego chciałaś. Ile razy mi wbijałaś do głowy, że już mnie nie kochasz.

- Miłość to jeszcze nie wszystko!

- Chodziło o ślub. No i będziesz mieć ślub. Dlaczego ciągle jeszcze w to wątpisz?

- Taką już mam podejrzliwą naturę. Musisz mi wybaczyć.

- A ja mam wrażenie, że to celowa gra.

- No pewnie! Dostałam nauczkę, że lepiej udawać kobietę niezdobytą. Sam mnie tego nauczyłeś.

Pochwycił jej dłoń, podniósł ją do ust.

- Jesteś jak dziki kociak! Sam nie wiem, po co chcę wziąć sobie ciebie na głowę. Znam przynajmniej tuzin dziewczyn, które mógłbym mieć na skinięcie palca. Łącznie z Kim Peters.

- Myślałam, że już z nią spałeś.

- Przespanie się z kimś to nie problem, ale miłość to zupełnie co innego. Zwariowałam na twoim punkcie. I na nic zda się rozum, kiedy w grę wchodzi uczucia. Popelnilem ogromny błąd, pozwalając ci odejść.

Oparła ręce na jego ramionach.

- I tak się dziwię, że nie na zawsze.

- Rosa, czy zdołasz mi to wybaczyć? - Głos mu złagodniał. Nie był już taki pewny siebie jak zwykle.

Mogła powiedzieć: nie: Ale nieoczekiwanie poczuła łzy

w oczach. Nie próbowała ich wytrzeć. Wilgotne smugi zalśniły na jej policzkach.

- Rosa... kochanie! - Przytulił ją czule i ta tkliwość jeszcze bardziej ją wzruszyła, - Skończmy Wreszcie tę wojnę. Przecież było nam razem tak dobrze, aż do dzisiaj, do przyjazdu Dianne. Ta dziewczyna zawsze musi wywoływać niepotrzebne spięcia. Ale ukróć to, zobaczysz. A z drugiej strony, czemu od razu nie powiedzieć im o naszych planach? Powinniśmy skończyć tę maskaradę.

- Wiem... - Nie protestowała, kiedy zaczął ocierać jej łzy.
- Tylko że twoja rodzina budzi we mnie tyle sprzecznych uczuć.

- Kiedy więc ta skrzywdzona dziewczynka zaakceptuje własną kobiecość, doceni swoją wartość?

- Kiedy twoja rodzina zacznie mnie normalnie traktować.

- Przecież Justine już wyciągnęła do ciebie rękę. To jakiś początek. Choć, mówiąc szczerze, wydaje mi się, że nie potrzebujesz niczyjego wsparcia poza moim. A to ci gwarantuję.

- Ale i tak nie będę z tobą spać - powiedziała już z lekkim uśmiechem. Przyjemna była świadomość, że jest dla niego tak ważna, że może na niego liczyć.

- Mam tylko nadzieję, że nie widzisz się w roli Anny Boleyn? - zapytał z żartobliwą ironią.

- Ona kiepsko skończyła. Powiedz mi tylko, skąd Dianne dowiedziała się, że to pani Agatha płaciła za moje lekcje?

- Di zawsze była nadmiernie ciekawa, zresztą sama wiesz - odrzekł, wzruszając ramionami. - Aggie z pewnością jej nie powiedziała, mój ojciec też nie. Tym bardziej nie ja. Ale dlaczego tak bardzo się tym przejmujesz?

- To nie jest przyjemne, czuję się mniej warta. Może byłoby inaczej, gdyby Dianne nie była dla mnie taka niemiła.

- Więc ktoś musi nią potrząsnąć. I ja to zrobię!

- Odbierze to jak zdradę. Lepiej, żebyś nic nie mówił,

chyba że się nie opamięta. Sama muszę sobie poradzić, to mnie dotyczy. Pora, by wreszcie określić granice, do których może się posuwać. Wiesz, dlaczego tak poderwała się od stołu? Bp była wściekła, że moja mama przy nim siedzi.

- To tylko znaczy, że jest okropną snobką. Nie mam zamiaru stawać w jej obronie. Ale ty też nie daj sobie w kaszę dmuchać. To Dianne musi się dostosować. Byłoby dużo łatwiej, gdybyśmy ogłosili zaręczyny jeszcze przed przyjazdem Chrisa. Za bardzo na niego działał.

- Ale ja nic nie robię! - oburzyła się. - To nie moja wina. Jeśli o mnie chodzi, to Chris...

- Dobrze już - przerwał jej stanowczo. - Dasz sobie z nim radę.

- Oczywiście. Jest tylko jedna osoba, z którą nie umiem sobie poradzić, Z tobą - sprecyzowała, przysuwając się bliżej i lekko muskając jego usta.

Były w domu, kiedy niespodziewanie okazało się, że właśnie przyleciała Kim Petersen. Wylądowała swoją cesną, prezentem urodzinowym od ojca.

- Pomyślałam sobie, że może zatrzymam się u was dzień czy

dwa - rzuciła ód niechcienia, podczas gdy objuczony dwiema walizkami Ernie ledwie wchodził po schodach.

- Och, to świetnie! - Dianne rozplywała się z zachwytu na widok przyjaciółki. - Tak mi ciebie brakowało! - zawołała rzucając się jej na szyję.

- Miło cię widzieć, Kim! - powitała ją Justine. - Jest u nas Roslyn. - Odwróciła się nieco, włączając w ten sposób Roslyn do rozmowy.

- Tak, wiem - z naciskiem powiedziała Kim. - Cześć, Roslyn! - dodała, obrzucając ją taksującym spojrzeniem zielonych oczu.

Kim była wysoka jak siostry Faulkner, ale znacznie od nich

ładniejsza. Ciemnoblonde, rozjaśnione pasemkami włosy, miała starannie przycięte na pazia. Nie miała makijażu, a złocistą opaleniznę podkreślał jedynie różowy błyszczek na ustach. Biała płócienna bluzka i szerokie spodnie eksponowały jej szczupłą, wysportowaną sylwetkę. Stroju dopełniały kosztowne skórzane sandały i wymyślny pasek. Wystarczyło jedno spojrzenie, by wiedzieć, że ma się do czynienia ze świadomą swoich walorów dziewczyną z bogatego domu. W przeciwieństwie do siostr Marsha, Kim zawsze żywo interesowała się prowadzeniem rodzinnych interesów.

- Cześć! Jak się masz? - Roslyn postąpiła krok do przodu, ale Kim nie podała jej ręki.

- Bardzo dobrze! - skrzywiła się w uśmiechu, ale jej oczy, jak zawsze, patrzyły na nią z pogardą.

- Chodźmy, pokażę ci pokój - powiedziała rozpromieniona Dianne. - Tym razem dostaniesz inny. Z jakiegoś powodu Roslyn zajęła twój dawny pokój, ale już przygotowano ci nowy.

A więc intuicja jej nie zawiodła. To było z góry ukartowane.

- Może są jeszcze jakieś zmiany, o których powinnam wiedzieć? - zaśmiała się Kim, podążając za Dianne do holu.

- Pójdę z nimi... Muszę zobaczyć, czy wszystko w porządku - przepraszająco powiedziała Justine. - Cieszę się, że Kim nas odwiedziła. Zawsze się przyjaźniłyśmy.

- Wiem - uśmiechnęła się Roslyn, ale w głębi duszy poczuła ukłucie żalu. Nie ma co marzyć, że kiedykolwiek zostanie dopuszczona do świata, w którym przyjaźń rodzin trwa od pokoleń. Lepiej nie robić sobie złudzeń, tylko wzmacniać swoją siłę. I budować własną dynastię.

Została na werandzie. Nie da się zepchnąć na bok. Musi działać. Kwadrans później dziewczęta dołączyły do niej.

- Nadal tu jesteś? - niby obojętnie zapytała Kim, dając do zrozumienia, że jej miejsce jest w kuchni.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

- Ależ skąd! - obruszyła się Justine.

Dianne w milczeniu usadowiła się w wyplatany fotelu.

- Nadal dokuczają ci poranne nudności? - z troską zapytała Kim, opadając niezgrabnie na fotel obok Dianne.

- Dziwne, ale ostatnie dwa dni miałam całkiem dobre. To chyba za sprawą tutejszego powietrza. Jest takie cudownie czyste, aż pachnie. - Popatrzyła na Roslyn, jeszcze ubraną w elegancki strój do konnej jazdy, w którym było jej tak do twarzy. - Ros, mogłabyś poprosić twoją mamę, żeby przyniosła nam herbatę i kawę?

Justine poderwała się z miejsca.

- Siedz spokojnie, Ros. Ja to zrobię. I tak idę do domu.

Kim nie ukrywała zdumienia.

- W takim razie pogadaj z nami - zwróciła się do Roslyn.

- Muszę ci powiedzieć, że świetnie wyglądasz. Co cię sprowadziło do Macumby? Chyba nie byłeś tu od lat.

Roslyn przysunęła się bliżej.

- Przyjechałam do mamy. Poza tym Marsh nalegał. - Ze spokojem wytrzymała wzrok Kim.

- Marsh! - obie wykrzyknęły z niedowierzaniem.

- Czyżby to was dziwiło? - zapytała chłodno, z wyszukaną uprzejmością.

- No cóż, raczej tak. - Kim przeciągnęła palcami po gęstej czuprynie. - Tym bardziej że Marsh nigdy nawet o tobie nie wspomniał.

- Wątpię, by interesowało cię, co u mnie słychać.

Kim niemal tupnęła nogą.

- Oczywiście, że tak! Nie pozwolę, by ktoś wchodził mi w drogę, zwłaszcza gdy chodzi o mojego wybranka. Dotyczy to również ciebie, panno. Earnshaw. Choć ty i tak nie wchodzisz w grę - dokończyła z typową dla siebie zjadliwością.

- To miał być żart? - zapytała Roslyn.

- Żart? - Kim popatrzyła na nią jak na osobę niespełna rozumu, - To jasne stwierdzenie faktu.

- Taka jest twoja ocena sytuacji?

- Już ci powiedziałam! - Z determinacją popatrzyła na Dianne, jakby szukając jej poparcia.

- W takim razie pozwól, że powiem ci, jaki jest mój punkt widzenia. Masz nadmiernie wysokie mniemanie o sobie. Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że jesteśmy sobie równe.

Kim zmierzyła ją pogardliwym spojrzeniem.

- Daj spokój, Ros. Liczy się pochodzenie. Chyba nie sądzisz, że nie mam powodu do dumy?

- Są rzeczy znacznie ważniejsze niż pochodzenie. Sposób, w jaki się prezentujesz, charakter, jeśli tak wolisz to nazwać. Ludzie z klasą zazwyczaj wierzą w egalitaryzm.

- Tu jest okropnie gorąco- niespodziewanie odezwała się Dianne.

- Zawołaj swoją mamę - kategorycznym tonem zażądała Kim.

- Zaraz tu będzie. Di, może podać ci wachlarz?

- Chcę, żebyście przestały na siebie napadać.

- Przepraszam - skruszonym głosem powiedziała Roslyn.

- Też bym to wołała, ale nie mogę spokojnie siedzieć, kiedy Kim mnie atakuje. Już i tak za dużo nasłuchiwałam się tego dawniej. Teraz tak nie będzie. Nie wymagam wiele, jedynie trochę zwykłej uprzejmości. Epoka kolonializmu już się skończyła, pamiętaj o tym..- Uśmiezek Kim wyprowadził ją z równowagi. - Poza tym jestem tu jako gość Marsha. A może nawet jako ktoś więcej - dodała i w ostatniej chwili ugryzła się w język.

Dianne wydała cichy okrzyk, Kim spięła się.

- Zaskoczyłaś nas. Jak mamy to rozumieć?

- Że sytuacja się zmieniła. - Roslyn odzyskała spokój.

- Ciekawe! - Kim nagle spochmurniała. - Miałam przeczuć, że coś się szykuje.
- A więc czym prędzej tu przyleciałaś.
- Zostałam ostrzeżona.
- To ja jej powiedziałam! - Dianne po raz pierwszy zdawała się odczuwać wyrzuty sumienia.
- Zawsze pociągałaś Marsha, nie myśl, że nikt tego nie widział. - Kim uniosła brwi. - Jesteś dość ładna, to prawda, ale w taki natrętny sposób narzucać się innym swoją... urodą.

Dianne popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- Kim, ty chyba bredzisz! - wykrzyknęła. - Jak możesz tak mówić? Ros jest jak bukiet świeżych róż! Zawsze chciałam wyglądać jak ona, zawsze jej zazdrościłam. I jeszcze z tego do dziś nie, wyrosłam.

- Di, co z tobą, co ty opowiadasz? - zawołała Kim.

- To ta ciąża - uśmiechnęła się blado Dianne. - Ros, bądź człowiekiem, zawołaj swoją mamę. Tak bym się napiła herbaty - dodała prosząco.

- Już lecę! - Roslyn poderwała się z miejsca.

- Twoja mama nie za bardzo się stara... - zaczęła Kim, ale w tej samej chwili rozległ się odgłos wtaczanego stolika.

Roslyn, rozeźlona uwagą Kim, już miała coś powiedzieć, ale uprzedziła ją Justine:

- Przepraszam, że to tak długo trwało, ale biedny Harry skaleczył sobie rękę i pani E. musiała się nim zająć. To było okropne, wszędzie pełno krwi!

- Justine! - jęknęła pobladła Dianne.

- Och, przepraszam! - uśmiechnęła się Justine. - Okazało się, że nie jest tak źle, jak wyglądało. Pani E. świetnie sobie poradziła.

- Dlatego jesteś taka zadowolona? - zdziwiła się Dianne.

- Nie powiedziałam wam jeszcze wszystkiego!

- I każesz nam czekać. - Kim wzięła od niej filiżankę kawy, podczas gdy Roslyn nalewała herbatę Dianne.

- Popatrzcie tylko na te rożki - zachwyciła się Justine.

- Mnie jeszcze nigdy się tak nie udały. A wydaje się, że to takie proste.

- No więc? - Dianne popatrzyła na siostrę pytająco.

Justine usadowiła się wygodnie.

- Przygotujcie się na bombę.

- To coś w związku z Ros? - ostro zapytała Kim.

Justine potrząsnęła głową.

- Harry się skaleczył z powodu szoku. Otóż okazuje się, że lada moment odziedziczy tytuł barona, a do tego niezły majątek. Jego krewny w Anglii jest umierający. Lord Marchmont... czy Mortimer... no, jakoś tak.

- O Boże! - Kim wyprostowała się w fotelu. - Chociaż prawdę mówiąc, nie jestem zaskoczona. Harry zawsze miał klasę.

- Ale w formularzu podatkowym podał, że jest ogrodnikiem - zauważyła Roslyn. - Kiedy się dowiedział?

- Dziś rano. Dostał faks od syna. Musi jechać do Anglii.

- Czy to znaczy, że przyjmie tytuł? - żarliwie spytała

Dianne.

- Wszystko po kolei. Najpierw tamten musi umrzeć. Harry bardzo jest z nim związany.

- Więc chyba musiał się spodziewać, że będzie jego spadkobiercą? - zapytała Roslyn.

- Twoja mama będzie wiedzieć. Przyznam, że się nie zdziwię, jeśli się okaże, że Harry już poprosił ją o rękę.

- Co też ci przyszło do głowy? - obruszyła się Dianne.

- Wiesz co, Di, czasami jesteś niemożliwa. Odkąd pamiętam, Harry zawsze kochał się w pani E. Zgadza się, Ros?

- Myślę, że tylko dlatego tu pracuje.

- W Macumbie? - dopytywała się Dianne.

- Tak.
 - Ale teraz będzie baronem - oznajmiła z kamiennym wyrazem twarzy Dianne.
 - Ciekawe, do czego zmierzasz. - Oczy Roslyn błysnęły.
 - Trudno wyobrazić sobie kogoś bardziej dostojnego niż pani E..- Justine dotknęła ramienia Roslyn, jakby chcąc dodać jej otuchy. - A więc niedługo będziemy mieć u siebie barona, chyba że Harry już tu wcale nie wróci.
- Roslyn pozostawiła je pogrążone w rozpamiętywaniu wydarzeń związanych z Harrym i pchając przed sobą wózek, skierowała się do kuchni. Harry i Olivia siedzieli przy stole i, zaabsorbowani sobą, popijali kawę.
- Jak się pan miewa, panie baronie? - żartobliwie zapytała Roslyn, spoglądając na jego zabandażowaną rękę.
- Harry podniósł na nią uśmiechniętą twarz.
- Jestem zszokowany. Justine wszystko wypaplała, co?
 - Uhm.
 - Chciałem sam to zrobić, ale ona akurat weszła w takim momencie. Chodź, przyłącz się do nas.
 - Harry poprosił mnie o rękę. - Olivia popatrzyła na córkę nieśmiało, ale oczy jej błyszczały.
 - Och, ty! - Roslyn objęła Harry'ego i ucałowała go w policzek. - Biorąc wszystko pod uwagę, macie moje całkowite błogosławieństwo! Bardzo się cieszę!
 - Kotku, ale ona jeszcze się nie zgodziła - roześmiał się Harry.
 - Ale też nie powiedziałam nie - uśmiechnęła się Olivia.
- Potrzebuję trochę czasu na zastanowienie.
- Tak, kolejne dziesięć lat? - zaprotestował. - O nie, moja droga, nie ma mowy. Albo teraz, albo wcale!
 - Masz rację, Harry! Z mamą tak właśnie trzeba.
 - Ale to poważna decyzja - opierała się. - A mnie zawsze tak trudno się zdecydować.

- Nie musisz mi tego mówić - westchnął Harry i trochę posmutniał. - Liv, Faulkner istniał jedynie w sferze marzeń. To był sen bez szans na spełnienie.

- Harry! - Olivia była poruszona. - Dlaczego mówisz o Charlesie? I to w dodatku przy Roslyn?

- Dlatego, iż ona dobrze o tym wie, lepiej niż ktokolwiek inny - powiedział cicho, ale stanowczo. - Liv, musisz pogrzebać duchy przeszłości. To ja cię kocham. Od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem. Zostałem w Macumbie, żeby być bliżej ciebie, ale przyszła pora, bym zajął się moim dziectwem.

- Czy to znaczy, że chcesz osiąść w Anglii? - zapytała Roslyn.

- Tak, moja droga. Wprawdzie kocham Australię i wyniosę stąd jak najlepsze wspomnienia, ale moje korzenie są w Anglii. I tam chciałbym umrzeć.

- Rozumiem cię, Harry - odrzekła Roslyn - ale w ten sposób zabierzesz ode mnie mamę.

- Ależ skąd! - Pochylił się do niej przez stół i poklepał ją po ręce. - Wiem od Liv, że ty i Marsh macie zamiar się pobrać. Nie bój się, nie puszczę pary z ust. Bardzo się cieszę, uważam, że świetnie do siebie pasujecie. Ale po ślubie powinniście być sami. Jeśli twoja mama zaszczyci mnie i zechce zostać moją żoną, zabiorę ją do Anglii. W końcu ona również jest Angielką, chociaż zdaje się, że wszyscy o tym zapomnieliśmy. Mam nadzieję, że ty i Marsh będziecie wpadać do nas przynajmniej raz w roku, jeśli nie częściej. Nie powinno być z tym specjalnych problemów. Marsh dużo jeździ po świecie, zresztą sam ma rodzinę w Anglii, którą często odwiedza.

- Ale...-zaczęła Olivia.

- Żadnych ale, kochanie - przerwał jej od razu. - Serce mi mówi, że będziemy razem szczęśliwi. Tobie też zależy na mnie bardziej, niż sama się do tego przed sobą przyznajesz.

Kto się tak okropnie przejął, kiedy podczas ostatniego meczu polo zleciałem z konia?

- Uważam, że powinieneś przestać grać. Już i tak wiele - osiągnąłeś.

- Przrzekam, że przestanę, jeśli obiecasz mi, że za mnie wyjdiesz. - Ujął jej dłoń i uniośł do ust. - Potraktuj to jak sposób na uratowanie mi życia.

Nazajutrz rano Marsh odwiózł Harry'ego na najbliższe lotnisko, skąd miał samolot do Brisbane, a stamtąd do Londynu. Olivia i Roslyn pożegnały się z nim w ostatniej chwili, gdy zaczęto wzywać spóźnionych na pokład.

- Kocham was! - zawołał jeszcze, nim zniknął.

- Mam jakieś dziwne przeczucie, że Harry się oświadczył.

- Marsh z uśmiechem spojrzał na zapatrzoną w dal Olivie, jeszcze powiewającą jedwabną chusteczką.

- Chciałam ci o tym powiedzieć, ale mama się jeszcze nie zdecydowała - wyjaśniła Roslyn.

- To mnie nie dziwi - mruknął.

- Wydaje mi się, że ona go kocha.

- Tak by pewnie było, gdyby się odważyła. Są przecież starymi przyjaciółmi. Wiem po sobie, ile to znaczy!

- Kiedyś i my byliśmy dobrymi przyjaciółmi.

- Też to pamiętam. - Popatrzył na nią tak, że zadrżała.

Olivia dołączyła do nich dopiero po dłuższej chwili.

- Mam nadzieję, że doleci szczęśliwie - powiedziała, nie kryjąc niepokoju. - To taka długa podróż! Biedaczek będzie zupełnie wykończony!

Marsh wzruszył ramionami.

- Nie martw się, Harry jest w doskonałej formie. Mam tylko nadzieję, że doleci na czas.

- Już sama nie wiem, co się dzieje - odezwała się Olivia.

- Ty i Rosa macie się pobrać, a teraz Harry chce się ze mną zenić - powiedziała, spoglądając Marshowi w oczy.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz, Liv? Czyżbyś czekała na moją zgodę? Masz ją. Ty i Harry jesteście dla mnie rodziną. Bez problemu będę się do ciebie zwracać lady Mortimer - zażartował.

Olivia nie uśmiechnęła się. Z napięciem patrzyła na jego twarz, tak bardzo przypominającą jej twarz Charlesa.

- Jesteś taki podobny do ojca. Przy tobie nie potrafię o nim zapomnieć.

Nie tylko Roslyn stała oniemiała. Marsh również był zaskoczony. W milczeniu popatrzył na Oliwię.

- Liv, tata by poparł twoją decyzję. Należy ci się coś od życia. W jakimś sensie uciekasz przed nim. Doceniam cię i jestem ci wdzięczny, ale zasługujesz na więcej. Harry to porządny facet. Kiedy do nas zawitał, był bliski załamania. Macumba go uleczyła. Teraz jedynym jego problemem jest namówienie cię na małżeństwo. Chyba wiesz, że on cię naprawdę kocha?

- Och, wiem! - powiedziała z rozpaczą. - Robiłam wszystko, by tego nie widzieć, choć sama nie wiem dlaczego. Ja też go kocham, jako człowieka. Tak mi szkoda, że wyjechał. Wolę nie myśleć, że może już nigdy go nie zobaczę. Tylko że...

- Trudno ci to wytłumaczyć? - dopowiedział Marsh.

- No właśnie. - Oczy miała pełne łez.

Marsh otoczył ją ramieniem, ruszyli do wyjścia.

- Liv, tak to już bywa z naszymi marzeniami. Nie zawsze spełniają się w życiu. Z Harrym będzie ci dobrze, przy tobie i on poczuje się dopełniony. Wydaje mi się, że popełnisz życiowy błąd, jeśli go odrzucisz.

- Tak myślisz?

- Ten spadek przyspieszył bieg wydarzeń. Harry nie należy do ludzi, którzy się łatwo poddają, ale oczekuje na konkretną odpowiedź.

Olivia zaśmiała się blado.

- Marsh, tak to przedstawiasz, że mam ochotę natychmiast wsiadać do pierwszego samolotu.

- W takim razie wystarczy, byś powiedziała słowo.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Roslyn zatrzymała konia na krawędzi porośniętego drzewami wzniesienia, wychodzącego na rozciągającą się niżej szeroką nizinę i płynącą po niej rzekę. Przecięta tamą, rozlewała się szeroko. W drgającym od upału powietrzu unosił się czerwony kurz, ale tu, z góry, dobrze było widać stado dzikich koni, które zazwyczaj przychodziły tu do wodopoju.

Roslyn zerknęła na siedzące nie opodal dwa kangury. Trwały nieruchomo, przyglądając się jej zgodnością. Zawsze miała do nich słabość, choć uważano je za utrapienie. Na ich temat istniało mnóstwo opowieści, były bohaterami dawnych legend i mitów. Zwierzęta zdawały się zupełnie nie przejmować ani jej obecnością, ani dochodzącym z dołu zgiełkiem.

Wiele się zmieniło od czasów kiedy chwytanie dzikich koni było prawdziwym hazardem. Teraz do akcji wkroczyły motory i helikoptery. Cztery ogromne hony, zaganiające stado, napępiały powietrze przeraźliwym hukiem. Praca jak dawniej była niebezpieczna; zdarzało się, że ogier w obronie swoich klaczy atakował. Wystarczył drobny błąd i jeździec lądował w szpitalu.

„Lucky” Redding uchodził za szczęściarza, bo już cztery razy udało mu się wyjść cało z poważnych perturbacji, choć nie obyło się bez wzywania „latającego doktora”. W dzisiejszej akcji też brał udział. Miała nadzieję, że nie zapomniął swojego talizmanu, wypolerowanego przez pustynne wiatry kamyka, podobnego do tych, które w dzieciństwie dostawała od Marsha.

Powiew gorącego wiatru uderzył ją w twarz. Konie, a było ich pewnie ponad pięćdziesiąt, prezentowały się świetnie, napięte mięśnie grały pod błyszczącą skórą: Przewodzący im potężny, czarny ogier z pewnością miał w żyłach krew rasowego rumaka. Czasem któryś z hodowanych w Macumbie koni odłączał się od stada. Według ostrożnych ocen w Australii jest ponad pół miliona dzikich koni. To stado przebyło długą drogę, akcja rozpoczęła się już o świcie. Z pewnością i ludzie i zwierzęta byli porządnie zmęczeni. Zresztą ona też chętnie napije się herbaty. Marsh miał spotkanie z ważnym hodowcą koni, a dziewczęta zostały na basenie. Wprawdzie Justine zaproponowała, by się przyłączyła, ale wystarczyło jej pochwycić spojrzenie, jakie wymieniły między sobą Dianne i Kim, by natychmiast zrezygnować. Zresztą teraz czuła się zupełnie inaczej niż kiedyś, znacznie pewniej. Inni ludzie nie byli już tak ważni, liczył się tylko Marsh. Niech sobie myślą, co chcą.

Zaczęła ostrożnie zsuwać się w dół i nagle aż wstrzymała dech. Stado zwierząt w dole zafalowało, popłynęło w jedną stronę, a kilka koni przebiło się przez strzegących je ludzi. Na szczęście udało się je zapędzić za ogrodzenie.

- Cześć, Ros! - Ledwie dotarła na dół, a jasnowłosy Lucky zahamował tuż obok niej. Ściągnął z głowy hełm i non-szalancko strzepnął z ubrania czerwony pył. - Mieliliśmy dziś niezłą akcję. Nie było lekko.

- Dobrze,, że przynajmniej jesteś cały! - roześmiała się, zeskakując na ziemię i machając ręką do pozostałych osób.

- Bo mam ze sobą mój talizman - wyjaśnił, kuśtykając nieco. Zraniona noga była pamiątką po niedawnym wypadku.

- A gdzie boss? - zapytał, wspierając się o pień.

- Ma ważne spotkanie. Poczestujecie mnie herbatą?

- Jasne! - Odwrócił się i wrzasnął na całe gardło: - Bla-

cky! Przynieś tu herbatę, dobra? Roslyn chce się napić. Reszta pewnie też.

- Już idę! - odrzyknął Blacky. Najwyraźniej po całym dniu na motorze mieli problemy ze słuchem.

- Powiedz, co tam u ciebie? - zagadnął ją Lucky. - Kopę lat sienie widzieliśmy. Chyba jesteś jeszcze ładniejsza niż dawniej.

Roslyn usiadła, popatrzyła na niego z uśmiechem.

- Daj sobie spokój, Lucky! Patrzysz na mnie przez ten różowy kurz.

- Akurat - roześmiał się.

W przyjacielskiej atmosferze popijali drugą filiżankę herbaty, kiedy w oddali pojawił się dżip Marsha. Ktoś siedział obok niego.

- Nić tylko jej wysokość panna Petersen raczyła nas zaszczycić! - mruknął pod nosem Lucky. - Zobaczysz, jak nas potraktuje.

Nie mylił się. Kim zauważyła ich i pozdrowiła królewskim skinieniem głowy, ale nie wysiadła z auta.

- Co ona sobie wyobraża? - Warknął Lucky, zaczynając się podnosić. - Że jest angielską królową?

- No wiesz, Lucky, i tak powinieneś się cieszyć, że raczyła cię pozdrowić - zażartowała Roslyn.

Marsh już szedł w ich stronę; Nasunięty na czoło kapelusza osłaniał mu oczy. Poruszał się pięknie, z wrodzonym wdziękiem. Przyglądała mu się w zachwycie.

- Cześć, Rosa! Tak myślałem, że cię tu spotkam. Jak leci, Lucky? - Gestem pozdrowił pozostałych mężczyzn, którzy odpowiedzieli mu podobnie.

- Nie mogłam tego przepuścić! Bardzo mi się podobało!

- Niezła zabawa; Dziwię się, że się nie przyłączyłaś.

- Muszę najpierw nauczyć się jazdy na motorze.

- Nie ma mowy - stwierdził stanowczo. - I żebym cię na tym nie przyłapał. Lucky, słyszałeś, co mówię?

- Jasne, szefie, ale to najbardziej odważna dziewczyna, jaką znam.
- To przypomnij sobie o swoich obrażeniach, dobra? Jak tam noga?
- Sam nie wiem, jak to się dzieje, że jeszcze chodzę!
- roześmiał się Lucky;
- Czas, żebyś z tym skończył - spowaźniał Marsh.
- Zrobię to, kiedy dobiję trzydziestki - obiecał Lucky.
- Ale czy znajdzie się dla mnie jakaś praca?
- Z tym nie będzie problemu. - Popatrzył na konie stłoczone za ogrodzeniem. - Chyba trzeba będzie podwyższyć to ogrodzenie. Ten ogier jest niespokojny. I ogromny, znacznie większy niż reszta. Nie można mu ufać. Zwierzęta potrafią zaskoczyć. Niektóre nawet lubią przeszkody. Lucky, zajmiesz się tym?
- Jasne, szefie! - Lucky pokuśtykał, wydzierając się jednocześnie na Blacky'ego.
- Ten Lucky niedługo ogłuchnie - mruknął Marsh.
- Tak samo Blacky - potwierdziła Roslyn. - Masz rację, że trzeba podnieść ogrodzenie. Popatrz tylko na oczy tego ogiera! Diabeł wcielony! Wiesz co, on mi przypomina Blazera - wspomniała legendarnego rumaka sir Charlesa.
- Masz oko - potwierdził skinieniem głowy. - Dokładnie to samo pomyślałem. Kiedyś Blazer zniknął gdzieś na pół dnia. Kto wie, może to jego potomek? Jest spore podobieństwo. Może pójdziesz teraz pogadać z Kim, a my przez ten czas podwyższymy płót?
- A jeśli nie zechce ze mną rozmawiać?
- To znaczy, że nie wie, ile traci - uśmiechnął się. - Wracaj z nami dżipem. Ktoś zajmie się twoim koniem.
- Roslyn zdjęła kapelusz, poczuła wiatr we włosach.
- Boisz się wracać sam?
- Już dawno nauczyłem się jednego: nigdy, pod żadnym warunkiem, nie wierzyć kobietom.

- Mimo że nie dawały ci spokoju, od kiedy tylko skończyłeś czternaście lat?

- Miałem więcej niż piętnaście - poprawił ją.

Kiedy podeszła do auta, Kim powitała ją chłodnym spojrzeniem.

- Sądzisz, że dobrze robisz, bratając się z pracownikami?

- A co w tym złego? Są bardzo mili,

- Mój ojciec zawsze powtarza, że nie powinno się zniżać do ich poziomu.

- Wychował się w innych czasach. Ale większość jemu podobnych już dawno musiała się przestawić.

Kim wzruszyła ramionami.

- Zresztą możesz sobie robić, co chcesz, twoja sprawa. To była dobra rada. Ale ty zawsze musisz postawić na swoim.

Roslyn popatrzyła na nią w zamyśleniu.

- Dlaczego zawsze traktujesz mnie tak niegrzecznie?

Przecież robisz to celowo.

- Bo doskonale się do tego nadajesz; W pewnym sensie jesteś dla mnie zagrożeniem - uśmiechnęła się zjadliwie. - Ale nie wyciągaj z tego daleko idących wniosków, bo odpadasz w przedbiegach. To raczej ostrzeżenie.

- Znowu się zaczyna! - jęknęła Roslyn.

- Jeszcze nie masz powodów do narzekań. Na razie. Cieszę się, że tu przyszłaś. Czekałam na taki moment, w którym mogłabym porozmawiać z tobą na osobności. Nie chciałam tego robić przy Dianne i Justine.

- O czym? - zapytała, odganiając od siebie owada.

Kim wbiła w nią ostre spojrzenie.

- Chcę wiedzieć, na co ty liczysz? - powiedziała po chwili milczenia.

- Możesz to sprecyzować? - Oczy Roslyn błysnęły.

- Nie udawaj takiej mądrej, niepotrzebnie się silisz - parsknęła ze złością Kim.

- Kim, ja jestem mądra. Natomiast słyszałam, że tobie nie udało się skończyć studiów.

- Bo nie są mi do niczego potrzebne. Nie muszę szukać pracy.

- A szkoda! - od niechcienia rzuciła Roslyn. - Może wyszłoby ci na zdrowie, gdybyś musiała o coś zawalczyć.

Kjm zaśmiała się nieprzyjemnie, zmrużyła oczy.

- Słuchaj, takie teksty wcale mnie nie ruszają. Uważasz, że jesteś bystra? W takim razie wykaż się inteligencją i nie wchodź mi w drogę.

- Nadał nie wiem, o co ci chodzi.

- O Boże! - westchnęła Kim. - Doskonale wiesz, o czym mówimy. Zdaję sobie sprawę, że Marsh wcale nie byłby od tego, żeby cię popchnąć na siano. Masz w sobie coś, co go bierze. Ale nie wyobrażaj sobie, że namówisz go na małżeństwo. To nie wchodziło w grę ani wtedy, ani teraz. Ty chyba po prostu jesteś masochistką.

- A tobie najwyraźniej sprawia przyjemność wyzywanie się na mnie. Co do tego siana, to wydaje mi się, że Marsh jest bardziej wyrafinowany.

- Och, to prawda - wyrwało się Kim. - Czy to znaczy, że wy nadal...?

Roslyn popatrzyła na dwie barwne papużki, które właśnie przysiadły na gałęzi,

- Myślę, że tak jest cały czas.

Kim zacisnęła usta.

- I odpowiada ci rola stojącej w cieniu?

- Nie. To nie jest rola, jaka by mnie zadowoliła.

Kim gwałtownie pochyliła się do przodu, jakby miała zamiar uderzyć stojącą obok dziewczynę. Roslyn lekko cofnęła się.

- Moja droga, przecież wiem, jak on cię traktuje - powiedziała z przekąsem.

- Tak traktuje nas obie. Ciebie też. Wie, że jesteśmy na kiwnięcie palcem. Wprawdzie ma podstawy, ale ja już więcej tego nie zrobię.

- Chyba jednak nie sądzisz, że pójdzie z tobą do ołtarza?

- prowokacyjnie zapytała Kim, choć twarz jej pobraźla.

- Pracuję nad tym - odparła, wzruszając ramionami.

- Chyba oszalałaś! - wybuchła. - I na co liczysz? Nikt cię nie zaakceptuje! Wystawisz się na pośmiewisko.

- Ależ z ciebie snobka! - ostrzejszym tonem odezwała się Roslyn. - Uważasz, że ktoś ośmieli się wystąpić przeciwko żonie Marsha Faulknera? Tylko głupiec by się na to odważył. Zresztą, jaki miałby powód? Wprawdzie nie pochodzę z establishmentu, ale mam się czym pochwalić. Jestem młoda, wykształcona, dobrze się prezentuję. Nie tak, jak ta twoja koleżanka, Suzanne Crawley.

- To świetna dziewczyna - ucieła Kim. - Ona z pewnością nie zawracałaby sobie głowy kimś takim jak ty. Nie wystarcza ci świadomość, że lady Faulkner cię nie znosiła?

- Lady Faulkner w ogóle mało kogo lubiła. Doświadczyły tego nawet jej własne córki.

- Czula się nimi rozczarowana. - Kim za późno ugryzła się w język. - Ale mnie lubiła, miałam u niej dobrą opinię.

- Znając ją, trudno się spodziewać, by brała pod uwagę kogoś z innej sfery. Możliwe, że to właśnie ona niepotrzebnie zamieszała w głowie tobie i twojej matce. Straciłaś wiele lat, by usidlić Marsha, i w sumie sporo cię to kosztowało. A raczej nie zanoszą się, żeby coś z tego wyszło, co?

- Jak śmiesz tak do mnie mówić! - Głos się jej zmienił.

- Są rzeczy, o których nie masz pojęcia.

- Wiem, że kiedyś chodziliście ze sobą, ale to już przebrzmiała sprawa.

- Bardzo się mylisz! - Oczy Kim pałały złością.

- Nie wydaje mi się - zaprzeczyła spokojnie. - Zresztą zostawmy to, ta rozmowa do niczego nie prowadzi.

- O nie, wyjaśnijmy to sobie do końca... - Urwała nagle, bo w tym samym momencie rozległ się gwałtowny hałas.

Obie popatrzyły w tamtą stronę. W kłębach wzbitego kurzu widać było gorączkową bieganicę ludzi, próbujących uspokoić wzburzone konie. Dwóch pracowników pośpiesznie mocowało dodatkowy drąg podwyższający ogrodzenie, ale wystarczył rzut oka na ogiera, by zorientować się, że zwierzę dostrzeżło szansę ucieczki.

Potężny koń zarżał gromko, stado cofnęło się w popłochu, i a on wybił się wysoko, bez wysiłku przeskoczył ogrodzenie i puścił się galopem przed siebie.

- O Jezu! - przeraziła się Kim, bo koń pędził prosto na nie. Jednym skokiem znalazła się za kierownicą. Natychmiast przekreśliła kluczyk i gwałtownie cofnęła auto. Stało się to tak szybko, że Roslyn, która stała oparta o samochód, straciła równowagę i upadła na ziemię.

To już koniec, przemknęło jej przez myśl. Nie zdąży uciec, a on zaraz mnie zmiążdży. Naraz poczuła, że ktoś rzuca się na nią. Lucky.

- O Boże, ale to potwór! - jęknął tylko, osłaniając ją swoim ciałem.

I tylko szybka reakcja Marsha, który w sekundę ocenił groźną sytuację i pochwyił zwierzę na łąso, uratowała ich przed najgorszym. Koń tak go szarpnął, że ledwie utrzymał się w siodle, ale już po chwili ogier spotulniał i uznał jego dominację. Wszyscy stali oniemiali, niezdolni uczynić ruchu.

- Ale rzut! - zawył z zachwytu Lucky prosto do ucha Roslyn.

Ogier niespokojnie zataczał koła, ale nie mógł przełamać władzy Marsha. Powinna wstać i pogratulować mu, ale nie miała sił. Za to Lucky aż się rozplęwał.

- Ty też zachowałeś się bohatersko - podziękowała mu żarliwie. -Przeze mnie okropnie się naraziłeś.

- Przecież jesteśmy kumplami - uśmiechnął się. - Zresztą to szef nas ocalił. Dzielny facet. Chodzą słuchy, że dla ciebie gotów jest w każdej chwili ryzykować życiem.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Kto tak powiedział?

- Ludzie to mówią! - roześmiał się: - To dla ciebie pochwyił tego ogiera. Spokojnie i szybko. Moja mama by powiedziała, że to przez miłość. Chodź, pomogę ci wstać. Ta panna Petersen pięknie się zachowała. Można to różnie nazwać, ale na pewno nie zrobiła tego z miłości. O, zobacz, już tu idzie! Pewnie zaraz zacznie się tłumaczyć.

- Lepiej nie - mruknęła, bo wołała tego nie słuchać. Kim chyba też nie była z siebie zadowolona.

- Roslyn, nic ci nie jest? - zapytała z niepokojem. - To stało się tak szybko, nie było czasu na zastanowienie. Po prostu musiałam usunąć mu się z drogi. Rozumiesz?

Roslyn potarła zadrapany łokieć.

- Brak mi słów.

- Jeszcze jestem w szoku. Tak się przeraziłam.

- Mogłaś przynajmniej zawołać, żebym się odsunęła.

- Nie było czasu. Byliśmy na jego drodze.

- Ja byłam- uściśliła Roslyn. -I gdyby nie Marsh, z Lucy'ego i mnie zostałyby tylko mokra plama.

- Marsh wspaniale się zachował - potwierdziła. - Wystawił się dla nas na takie niebezpieczeństwo.

- Tylko że ty odjechałaś dziupem dziesięć metrów w tył, a gdyby nie to drzewo, pewnie wcale byś się nie zatrzymała.

- Przynajmniej pogratuluj mi refleksu. Dla ciebie nic nie mogłam zrobić. I bardzo mi przykro z tego powodu.

- Dobrze sobie! - mruknęła Roslyn.

- Chyba poproszę Marsha, żeby mnie odwiózł do domu.

- Kim otarła twarz chusteczką, - Konie potrafią być takie groźne, zwłaszcza te dzikie. Powinny być izolowane.

- Czy ten ogier nie przypomina ci Blazera?

- Blazera? - zmarszczyła brwi. - Konia sir Charlesa? Co ty opowiadasz! A podobno masz dobre oko.

- Mam dobre oko. Marsh też tak uważa. O, idzie tu do nas. Ale ma minę!

Zbliżał się dużymi krokami, zachmurzony. Obrzucił je spojrzeniem błękitnych oczu i nie wypowiadając ani słowa, objął Roslyn i przytulił mocno do siebie.

- Na Boga, Rosa! - Jeszcze był spięty, słychać to było w jego głosie. - Gdybym nie pochwylił tego ogiera...

- Ale zrobiłeś to. - Wspięła się na palce i dotknęła ustami policzka Marsha, poddając się jego uściskowi.

Nie zwracali uwagi na Kim, która stała jak przymurowana, nie wierząc własnym oczom. Głośno wciągnęła powietrze, wypuściła je gwałtownie.

- Nie przejmuj się mną, Marsh - wydusiła przez zęby. - Nią się zajmuj... ale przecież nic jej nie jest - wycedziła. - Wspomniałaś schwytałaś tego potwora - dodała już innym tonem,

Marsh odwrócił głowę, popatrzył na Kim.

- Dzikie konie nie poddają się bez walki - stwierdził. - Za to ty myślałaś tylko o sobie. Nie patrzyłaś, że narażasz Roslyn na ogromne niebezpieczeństwo. Mogłyście obie schować się za dżipem. Zostawiłaś ją na pastwę losu.

Kim zaczerwieniła się mocno.

- To był przypadek, nie zrobiłam tego specjalnie!

- Popisałaś się! Nie ma co!

- Już powiedziałam Roslyn, że jest mi przykro! - Chyba niewiele brakowało, by zaczęła płakać.

- Przeprosiła mnie - pośpiesznie wtrąciła Roslyn.

Wprawdzie Kim dręczyła ją przez całe lata, ale nie miała ochoty się mścić. - Nie było czasu, musiała działać szybko.

- No właśnie. Tak właśnie było. - Popatrzyła na nią z wdzięcznością. - To była chwila. Naprawdę żałuję- dodała.

- Zapomnijmy o tym. - Roslyn lekko ścisnęła dłoń Marsha. - Kim... a może spróbujemy zostać przyjaciółkami, chcesz? - Wyciągnęła rękę.

- Dobrze! - Uścisnęła jej dłoń. - Cieszę się, że tak na to patrzysz.

- Mam powody - z lekką ironią uśmiechnęła się Roslyn.

- Chyba wrócę do domu. - Kim spojrzała na dziapa. - Jeszcze nie doszłam do siebie.

- Łyknij sobie trochę brandy-poradził jej Marsh. Już się trochę rozluźnił. - Poproszę, żeby ktoś cię odwiózł. Muszę tu jeszcze zostać, dopatrzeć wszystkiego.

- Płot jest za niski. - Kim próbowała zmienić temat.

- Byłby dobry, gdyby nie to, że ten ogier jest zupełnie wyjątkowy. Przypomina Blazera.

- Też to zauważyłam. - Kim odzyskała swój normalny ton. -Zwłaszcza kiedy Roslyn zwróciła mi na to uwagę. Ros, jedziesz ze mną? Nie ma potrzeby, żebyś tu zostawała.

- Zostanie - stanowczo oświadczył Marsh. - Nie mam zamiaru spuszczać jej z oczu, póki nie ochłonę. - Popatrzył na kręcących się przy płocie pracowników. - Lucky! -zawołał.- Chodź no tutaj!

- Powinniśmy mu podziękować - szepnęła Roslyn.

- Właśnie chcę to zrobić. Pora, by przestał nadstawiać karku, już i tak dostał za swoje. Trzeba mu to wynagrodzić,

- To nie jest konieczne - pouczyła go Kim.

- Chodź, odprowadzę cię do auta, a Marsh sobie z nim pogada - zaproponowała Roslyn pociągając ją za sobą.

Uśmiechnięty Lucky z pewnością nie spodziewał się czegoś więcej niż przyjaznego klepnięcia po plecach, pomyślała Roslyn, patrząc na kuśtykającego chłopaka. Czeką go duża niespodzianka.

- Dzięki, że stanęłaś po mojej stronie - cicho powiedziała Kim, kiedy podeszły do samochodu. - Marsh był na mnie wściekły. Pierwszy raz go rozczarowałam.

- Nie przejmuj się tym.

- Nie mogę; - Uciekła wzrokiem. - Myślisz, że opowie siostrze? To zabrzmi gorzej, niż naprawdę było. Wpadłam w panikę. Niby znamy konie, ale czasami bywają nieobliczalne.

Nie miała zamiaru puścić jej tego tak łatwo.

- Kim, gdyby nie Marsh, ten koń przebiegłby po nas.

- Wiem, nie musisz mi tego mówić. Zastanawiałam się, czy ten Lucky jest taki dzielny, czy też może stracił rozum.

- Najważniejsze, że przynajmniej próbował coś zrobić.

- Uhm. - Uśmiechnęła się cierpko. - Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Mam nadzieję, że Dianne i Justine też okażą tyle zrozumienia, co ty. Znienawidziłyby mnie, gdyby Marshowi coś się stało.

- Nie zapominaj o Luckym i o mnie! Jeśli chcesz, możemy powiedzieć, że jeden z koni przeskoczył płot i Marsh złapał go na łące. Znamy Marsha, więc powinny uwierzyć.

- Och, świetnie! - Przeciągnęła dłonią po włosach i z obrzydzeniem popatrzyła na czerwony kurz, jaki został na palcach. - Muszę zaraz wejść pod prysznic i umyć głowę. Ty zresztą też. Marsh zachował się jak bohater, ale czasami potrafi być przykry, nie uważasz?

- Owszem - potwierdziła, uświadamiając sobie, że był to pewnie pierwszy raz, kiedy Kim na własnej skórze doświadczyła jego ciętego języka. I dobrze jej tak!

Podczas kolacji stało się oczywiste, że Kim przedstawiła Dianne i Justine własną wersję wydarzeń, ale Marsh i Roslyn pominęli to milczeniem.

- Potrafi się wybielić! - skomentował Marsh, kiedy cze-

kali na werandzie na Justine, by iść razem na spacer. - Dziwię się, że nie zrobiła z siebie głównej bohaterki. .

- Pewnie dlatego, że ją tak potraktowałeś. Nie przywykła do tego, że ktoś może jej w oczy powiedzieć, iż zrobiła źle.

- Ale sama nie ma oporów, by każdemu przyczepić łatkę. Pewnie daje jej to poczucie władzy. Co byś powiedziała na małego buziaka, nim przyjdzie Ju-Ju? Chyba sobie zasłużyłem?

- Jasne! - Musnęła jego policzek, ale on objął ją mocno i pociągnął w cień rzucany przez obrośniętą winem kolumnę.

- Marsh, jeszcze ktoś przyjdzie.

- Mam się tym przejmować? - Oczy mu lśniły. - Twoje miejsce jest w moich ramionach i wcale cię nie puszcę.

- Niedługo im powiemy - obiecała. - Nie chcę przy Kim. Po co ma cierpieć.

- Taka zadziorna, a taka wrażliwa! - Pocałował ją w policzek. - Masz taką jedwabistą skórę... taką chłodną. Jest jak atlas... Nie mogę się doczekać, kiedy będę mógł całą cię całować! - szepnął, odnajdując jej usta; - To czyste szaleństwo! - westchnął, czując, że drży pod jego dotykiem.

- Mój ty bohaterze!

- Uhm. A niedługo także będę twoim mężem...

- Ciekawe, jakim będziesz mężem?

- Tylko nie licz, że nieśmiały!

- Och, tego jestem pewna! - szepnęła, topniejąc w jego objęciach, uszczęśliwiona jego bliskością, przepełniona radością.

- Rosa, jestem tylko człowiekiem - ostrzegł ją.

- Przykro mi, ale jestem związana słowem z pewnym mężczyzną...

- A ja z pewną kobietą, więc...

- Powiedz, byłeś zakochany w Kim?

- Dlaczego pytasz? - Podniósł głowę.

- Z ciekawości, nic więcej.
- Nie jestem papłą - uciął,
- Ja też nie, ale to mnie dotyczy.
- Skoro chcesz znać prawdę - zanurzył palce w jej włosach - to jesteś jedyną, do której wzdychałem.
- Ale to ci nie przeszkodziło spotykać się z innymi?
- Przecież musiałem coś robić, żeby nie zwariować.
- Każdy mężczyzna to wcielony diabeł! - wymruczała, nie radząc sobie z rozpaczliwym, spalającym ją pragnieniem.
- Wykorzystam to. - Łagodnie musnął jej piersi, przygar-
nął mocniej do siebie i pocałował w usta. Płonęła w jego ob-
jęciach.

Oto jej Marsh, ten, który może ją zniszczyć.

RRS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Był późny ranek i słońce już zaczynało palić. Roslyn, jeszcze w butach do konnej jazdy, weszła do domu, by wziąć sobie coś zimnego do picia. Nie uszła kilku kroków, kiedy na schodach pojawiła się Kim. Miała twarz wykrzywioną złością.

- Ach, jesteś! - wykrzyknęła, zbiegając w dół. Roslyn stała zde gustowana. Kiedyż to się wreszcie skończy? - A więc tak można ci zaufać! Twoje pochodzenie wyszło jak szydło z worka! Jak mogłam spodziewać się po tobie szlachetności? Trzymaj się z dala ode mnie i więcej nie próbuj swoich sztuczek, ty zmijo!

Roslyn spięła się, ale zmusiła się, by zachować spokój.

- Jakim prawem mówisz do mnie w ten sposób? - zapytała ostro. - Przeszkadza ci moje pochodzenie? A co powie dzieć o twoim wychowaniu?

- Musiałas im wszystko wypaplać, co?

- O co ci chodzi?

- Nie udawaj niewiniątka! Niedobrze mi się robi, kiedy na ciebie patrzę! - oświadczyła żarliwie. - Jak mogłaś to zrobić, skoro dałaś słowo? Jak mogłaś mnie tak upokorzyć? Przez ciebie mogę stracić najlepsze przyjaciółki.

- Kim, albo zaraz przejdiesz do rzeczy, albo idę do kuchni po picie - stanowczo stwierdziła Roslyn.

- Do cholery! Stój i słuchaj, co mam ci do powiedzenia!

- Szarpnęła ją za ramię, wbijając paznokcie w skórę.

- Weź ode mnie ręce. Inaczej nie będę z tobą rozmawiać.

- O Boże! Jak ja cię nienawidzę! - wybuchnęła Kim. - Po

co tu przyjechałaś? Już tak się cieszyliśmy, że pozbyliśmy się ciebie na zawsze! - zawołała, puszczając jej ramię.

Roslyn cofnęła się parę kroków.

- Jednak jestem i nie zamierzam się stąd ruszać - oświadczyła z godnością.

- To zapamiętaj sobie, że nikt cię tu nie chce!

- Dla mnie ważne jest jedynie zdanie Marsha.

- No jasne! - zaśmiała się nieprzyjemnie. - Ale czy jeszcze do ciebie nie dotarło, że nie masz na co liczyć? Że on nie traktuje cię poważnie? Wbij to sobie do głowy! On nie ma dla ciebie szacunku ani... - Urwała, bo dobiegł do nich odgłos hamującego samochodu i niemal zaraz potem na progu pojawił się Marsh.

Jednym spojrzeniem ocenił sytuację i zatrzymał się w miejscu.

- Co tu się dzieje? - zapytał lekko, przenosząc spojrzenie z jednej na drugą.

- Nic takiego - uspokoiła go Roslyn, chcąc zakończyć całą sprawę.

- Nic takiego? - zaatakowała ją Kim. -Nieważne, w jakim świetle mnie postawiłaś? To twoja krecia robota!

- No nie! - Marsh spochmurniał. Wszedł do środka.

Roslyn wyciągnęła do niego rękę. Bała się, że Kim zaraz urządzi scenę i chciała załagodzić sytuację.

- Kim się czymś zdenerwowała. Nie wiem czym.

- W takim razie dowiedzmy się. Kim, o co chodzi?

Kim popatrzyła na niego z przejęciem.

- Marsh, nie powinieneś jej ufać. Zresztą sam się o tym niedługo przekonasz. Igrasz z ogniem, ostrzegam cię. Ona nie jest z naszej sfery.

- Kim, może zajmiesz się swoimi sprawami - uciął.

- Jak możesz do mnie tak mówić! - Widać było, że czuje się głęboko dotknięta..- Po tym, co nas łączyło.

- Kim, od tamtej pory minęło wiele lat - przypomniał.
- Kochałeś mnie!

Marsh rozłożył ręce.

- Przykro mi, ale tak nie było. I dobrze o tym wiesz.
- To były cudowne chwile! - Wpatrzyła się w niego żarliwie. - Zawsze je będę pamiętała. Zawsze!
- To byłoby bardzo nierozsądne - odparł.

Roslyn nie mogła już dłużej tego znieść.

- Przepraszam, ale muszę wziąć sobie coś do picia. Zaszło mi w gardle. .
- O nie! - wykrzyknęła Kim i zablokowała jej przejście.
- To przez nią, prawda? Córeczkę twojej pracownicy, co? Oczy błysnęły mu gniewem.
- Ależ z ciebie snobka! I chyba wiem dlaczego!
- W takim razie, co powiesz o swoich siostrach? - zawołała prowokująco. - Wiesz, jak one to odbierają?

- Miałem nadzieję, że dotrze do nich, iż kończy się dwudziesty wiek i jakoś przestawią się na dwudziesty pierwszy - odrzekł, wruszając ramionami. - Najwyższy czas. Ale jeśli chodzi o Rosę, moje siostry nie mają nic do powiedzenia. Skoro chcemy się pobrać, zrobimy to.

Kim pobladła.

- Pobrać? Komu to przyszło do głowy? Przecież nawet Roslyn nie posunęłyby się tak daleko.

- Mnie - oświadczył Marsh. - Rosa chciała utrzymać to przed tobą w tajemnicy, ale ja ci powiem. Poprosiłem ją o rękę, a ona się zgodziła.

Kim nie mogła się pozbierać.

- Żartujesz sobie ze mnie - powiedziała w końcu. - To tylko okrutny żart. Chcesz mnie pognać.

- To by nie było łatwe! Ale nie, Kim, tym razem ani przez chwilę nie myślałem o tobie.

- Ach tak! - Ciągle jeszcze nie mogła mu uwierzyć.

- Marsh, dlaczego jej powiedziałaś?
- Bo już była na to najwyższa pora! - zniecierpliwiał się.
- Już i tak za długo to trwało.
- Nie wierzę! - Kim patrzyła to na jedno, to na drugie.
- Twoja mama nigdy by się nie zgodziła na to małżeństwo. Nie znosiła jej ani jej matki. Jej duch będzie cię prześladować.
- Kim, daj spokój - uśmiechnęła się.
- Wracam do domu! - zreflektowała się wreszcie Kim.
- Kim, poczekaaj, aż się trochę uspokoisz - poprosiła Roslyn, ale to tylko dołało oliwy do ognia.
- Jak po tym, co zrobiłaś, możesz zwracać się do mnie w ten sposób? Nie mogłaś się doczekać, żeby pognębić mnie w oczach Dianne i Justine, co?
- O czym ty mówisz? - zdenerwował się Marsh.
- Zaraz ci powiem - rzuciła ostro. - Opowiedziała im o wczorajszym wypadku, chociaż przyrzekła, że zachowa to w tajemnicy. Zrobiła ze mnie tchórza.
- Ależ skąd! - Roslyn gwałtownie odgarnęła włosy w tył.
- Bardzo się mylisz.
- Marsh z gniewem spojrział na Kim i dobitnie powiedział:
- Roslyn nie jest kłamczucha! Skoro mówi, że tego nie zrobiła, to znaczy, że nie. Może spróbujemy to wyjaśnić?
- Bardzo proszę! - przystała Kim. - Przynajmniej sam się przekonasz, ile jest warta ta twoja kochana Rosa.
- Marsh zmienił się na twarzy, ale pozostawił zaczepkę bez odpowiedzi. Odwrócił się i ruszył za nimi. Dianne i Justine siedziały w ogrodzie przy basenie. Na widok zbliżającej się trójki umilkły.
- Cześć! - Marsh powitał je takim tonem, że Justine aż się poderwała.
- Co się stało?
- Musimy coś wyjaśnić - powiedział, rozkładając ogrodowy parasol i ustawiając go tak, by rzucał cień na Dianne.

- Dzięki - uśmiechnęła się siostra. - Jesteś czymś zdenerwowany?

- Owszem. Podobno Roslyn powiedziała wam coś na temat wczorajszego zdarzenia. Kim uważa, że to postawiło ją w złym świetle.

- Czy naprawdę musimy do tego wracać? - skrzywiła się Dianne. - To niepodobne do Kim. Aż nie chce się wierzyć!

- Dlaczego uważasz, że to właśnie Roslyn nam powiedziała? - zdumiała się Justine.

- A nie ona? - wybuchnęła Kim.

- Oczywiście, że nie! - chłodno odrzekła Justine. -

Marsh i Ros potwierdzili twoją wersję. To pani Eamshaw powiedziała, jak było naprawdę. Jest przekonana, że naraziłaś Ros na ogromne niebezpieczeństwo. Nie mówiąc już o Mars-hu! Nie miała powodu ukrywać, że myślałaś tylko o sobie.

- Moją mamą wam powiedziała? - Roslyn nie posiadała się ze zdumienia.

- Tak - potwierdziła Justine. - Była wściekła i nie czuła się zobowiązana do krycia Kim. Zresztą nie ma się czemu dziwić, bo Kim sama sobie na to zasłużyła. Odkąd pamiętam, do ciebie i twojej mamy nigdy nie odnosiła się jak należy. Ciekawe, jak to będzie, jeśli pani Earnshaw wróci do Macumby jako lady Mortimer...

- Akurat! - Kim parsknęła ironicznie. - Przecież Harry nie traktuje jej poważnie. Zapomni o niej, jak tylko wróci do swoich.

- Kim, jak mogłaś tak się zachować? - rozżalonym głosem odezwała się Dianne. - Czy zdajesz sobie sprawę, do czego mogłaś doprowadzić?

- Myślałam, że chciałaś usunąć Roslyn z drogi?

Dianne popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- Daj spokój, Kim! Dobrze wiesz, że zawsze jej zazdro-

ściłam. Ja rosłam, a ona pozostawała drobna i szczupła. Od tego się zaczęło.

- Więc bez problemu pogodzisz się z faktem, że Ros będzie twoją bratową, co? - skrzywiła się Kim.

Dianne wyprostowała się gwałtownie.

- Co takiego?! - wykrzyknęła.

- Chciałem sam wam o tym powiedzieć - szybko wtrącił Marsh - ale skoro Kim już wam wypaplała, bo aż gotuje się ze złości... Rosa chciała dać wam trochę czasu, ale ja nie wytrzymałem i powiedziałem prawdę Kim. Poprosiłem Rosę o rękę i zostałem przyjęty.

- Nie możesz się z nią ożenić! - wykrzyknęła Dianne i opadła na poduszki: - Ona nie może być moją bratową!

- Och, Di, uspokój się - pośpiesznie uciszyła ją Justine. Odwróciła się do brata i Rosly - Gratuluję wam i szczerze życzę wszystkiego najlepszego. Myślę, że będziecie bardzo szczęśliwi.

- Dzięki, Justine. - Roslyn nastawiła policzek.

- Ale z was farbowane lisy! - uniosła się Kim. - Jestem zaskoczona, zszokowana. Poczekajcie, niech no tylko to się rozejdzie!

- Co masz na myśli? - Marsh przymrużył oczy. - Kim, nie radzę ze mną zadzierać.

- Z nami też! - ostro dodała Dianne. - Więc nie próbuj rozsiewać plotek, Kim.

- Wy chyba zwariowaliście! - wykrzyknęła Kim. - Już nie jesteście moimi przyjaciółmi. Idę się pakować.

W dwadzieścia minut była gotowa do wyjazdu.

- Zobaczycie, jeszcze pożałujecie! - zawołała na odchodne. - Nie ma najmniejszej szansy, żeby Marsh był szczęśliwy z tą dziewczyną.

Mimo protestów Kim, zarzekającej się, że już nigdy nie

będzie się z nimi przyjaźnić, Dianne i Justine odprowadziły ją do samolotu.

- Byłoby bardzo niegrzecznie, gdybyśmy tego nie zrobiły - wyjaśniła później Justine.

- Ros, ostrzegłam Kim przed rozpuszczaniem plotek. Skoro już musisz wejść do naszej rodziny - powiedziała Dianne z naciskiem - to pamiętaj, że musimy trzymać się razem.

- Miło, że o tym pomyślałaś- uprzejmie odrzekła Roslyn, zmuszając się do okazania wdzięczności.

Olivia bynajmniej nie przejęła się faktem, że przyczyniła się do wywołania kryzysu.

- Takich rzeczy nie da się utrzymać w tajemnicy - stwierdziła, kiedy Roslyn zagadnęła ją na ten temat. - Zresztą od razu miałam zastrzeżenia do jej wersji, coś mi nie pasowało. Dziś rano mała Jessie opowiedziała mi całą historię. Usłyszała ją od ojca, który widział wszystko na własne oczy. Powiem ci, że nikt nie jest zachwycony panną Petersen, odgrywającą rolę udzielnej księżnej. Wiem, że ty i Marsh chcieliście puścić jej to płazem, ale dla mnie to był kolejny pstryczek w nos. Już i tak miałam dosyć patrzenia, jak ona cię traktuje.

- Mimo wszystko trochę mi jej szkoda - westchnęła Roslyn. - Straciła twarz w oczach Justine i Dianne, a w dodatku nadal kocha Marsha.

- Tak czasem bywa. Sama wiem coś o tym - ciszej już powiedziała Olivia.

- A co tam słyszać u Harry'ego? - zapytała Roslyn. Olivia postawiła dzbanek, nalała herbatę.

- Jego kuzyn poczuł się jakby lepiej, ale lekarz uważa, że to tylko chwilowa poprawa. Chciał doczekać przyjazdu Harry'ego. Harry prosi, żebym przyjechała zaraz po świętach, ale to nie wchodzi w grę, przecież trzeba zacząć przygotowania do wesela.

- Ależ, mam, co ty opowiadasz! Powinnaś pojechać. Czy już się na coś zdecydowałaś?

- Znasz mnie, córeczko. - Olivia potrząsnęła głową. - To taka ważna decyzja. Bardzo lubię Harry'ego, dobrze mi z nim, ale teraz, kiedy odziedziczy ten tytuł... Wiesz, jacy są ludzie, potrafią zatruć życie. A ci w Anglii wcale nie są lepsi od tych tutaj...

- Nie wszyscy są tacy, mam; Zresztą nie musisz nikomu zaraz wszystkiego opowiadać o sobie, niech oceniają cię po wyglądzie i zachowaniu. A Harry będzie z ciebie dumny, wiem to.

Olivia uśmiechnęła się niepewnie.

- Ale czy pomyślałaś o tym, że jego uczucia mogły się nieco zmienić?

- Co to, to nie! - stanowczo stwierdziła Roslyn. - Harry nie jest z tych. Według mnie, powinnaś zarezerwować sobie bilet.

- Mam w Anglii przyrodniego brata i dwie siostry. - Nie spodziewanie w oczach Olivii błysnęły łzy. - Kiedy byli mali, byłam z nimi bardzo związana.

- Spotkaj się z nimi. Możliwe, że przyjmą cię z otwartymi ramionami.

- Chyba że upodobnili się do Delii - westchnęła Olivia. - A jak zareagowały siostry Marsha, kiedy się dowiedziały?

- Dobrze. Dianne stwierdziła, że „teraz musimy się trzymać razem” - odrzekła Roslyn, naśladowując głos dziewczyny.

- Dianne musi się jeszcze wiele nauczyć, natomiast Justine rzeczywiście bardzo się zmieniła - kiwnęła głową Olivia. - Małżeństwo dobrze na nią podziałało. Ach, byłabym zapomniiała: jutro po południu przylecą Shepardowie. Mają doskonałe referencje. Przejmą prowadzenie domu, ale na początku trochę im będę pomagać. Zapowiedziało się mnóstwo gości.

- Marsh, zamierzą przedstawić mnie jako swoją narzeczoną - z lekkim niepokojem powiedziała Roslyn.

- I bardzo dobrze. - Olivia klepnęła córkę po rękę. - I tak się dziwiłam, że ci uległ i nic nie mówił. To nie było w jego stylu.

- To prawda. Tylko że on nigdy nie był na moim miejscu. Ale tak czy inaczej jego siostry zachowały się lepiej, niż się spodziewałam.

- Sama już nie wiem, co myśleć. W każdym razie wiem jedno: potrafisz sobie poradzić w każdej sytuacji. Pamiętaj tylko, że Kim łatwo się nie podda.

- Jeśli pójdzie na takie ryzyko, to wszystkich do siebie zrazi - ucięła Roslyn, uświadamiając sobie jednocześnie, że rzeczywiście tak by się stało.

Pierwsi goście przylecieli już nazajutrz, po nich pojawili się następni. Któregoś dnia Roslyn naliczyła w powietrzu ponad trzydzieści samolotów. Mężowie Justine i Dianne przywieźli ze sobą całe góry prezentów. Wiedzieli już wcześniej o planowanym ślubie, ale Roslyn miała dziwne wrażenie, że jeszcze do końca nie oswoili się z tą myślą. W ich oczach nadal najwłaściwszą kandydatką była Kim Petersen, a tu taka zmiana!

Jednak dzięki niedyskrecji Kim cała sprawa nabrała rozgłosu i pozostali goście też już słyszeli o zaręczynach Marsha, więc nie byli zaskoczeni. Niespodziewany spadek Harry'ego przyjęto jak miłą niespodziankę, a jego ewentualny ślub z Olivią wydawał się czymś jak najbardziej oczywistym.

Państwo Shepardowie szybko wciągnęli się w obowiązki, ale ich sztywny sposób bycia, mimo wielokrotnych prób Roslyn zaprzyjaźnienia się z nimi, okazał się niepodatny na zmiany. Reszcie rodziny to nie przeszkadzało, przyzwyczajeni bowiem do stałej obecności służby, po prostu wcale jej nie zauważali.

- Zmienisz ich za jakiś czas - pocieszyła ją Olivia. - Jako pani na Maeumbie będziesz robić, co zechcesz.

- Pani na Macumbie! - niemal krzyknęła Roslyn. - Lady Faulkner chyba przewraca się w grobie.

- Martwi Cię to?

- Nie - potrząsnęła głową. - Ale martwi mnie co innego, Ten głupek Chris. Ciągłe za mną łązi. Nic dziwnego, że Dianne jest zazdrosna i zła. Próbowалаm go zniechęcić, ale nic do niego nie trafia. Ani to, że ma żonę, ani ten pierścienek - powiedziała, wyciągając dłoń z błyszczącym na palcu brylantem.

- Fascynujesz go - stwierdziła Olivia. - Czuję, że jeszcze chwila, a zdrowo oberwie. Marsh wyraźnie już ma go dość. Zresztą mąż Justine też już go zanudził na śmierć. Stale przechwala się swoimi osiągnięciami. Może oni zatrudnią Sheparadow, pasują do nich.

Dni mijały, ale nastrój wcale nie stawał się lepszy.

- Te święta nie zapowiadają się na udane - przyznała Justine podczas popołudniowej przejażdżki. - Wiesz, do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, że jesteśmy tacy nudni. Oczywiście nie mam na myśli ciebie ani Marsha, ale całą resztę. A łan ma dopiero trzydzieści pięć lat! Nie mogę powiedzieć na niego złego słowa, ale to praca tak na niego działa. Teraz widzę, że zbyt poważnie traktuje siebie i to, czym się zajmuje. Chris też mógłby się opamiętać. I tak się dziwię, że Marsh go jeszcze znosi.

- Naprawdę staram się go zrażać - westchnęła Roslyn.

- Wszyscy to widzimy - zapewniła ją Justine. - To nic poważnego. Po prostu ciągnie go do ciebie jak ćmę do ognia. Nic dziwnego, jesteś taka ładna. Ale chyba będzie lepiej, jeśli wrócimy do domu wcześniej. Wyjedziemy zaraz po Nowym Roku. Jeszcze coś - popatrzyła uważnie na Roslyn - skoro twoja mama pojedzie do Anglii, nie możesz zostać tu sama

z Marshem. Już i tak jest dużo gadania. Chciałabym, żebyś aż do ślubu pozostała u nas. Zresztą sama nie dasz sobie rady z przygotowaniem wesela, a ja ci chętnie pomogę. Organizacja jest moją mocną stroną, zobaczysz!

- Wiesz, jeszcze zupełnie o tym nie myślałam - zastanowiła się Roslyn...- Mam też swój dom.

- I jestem pewna, że jest śliczny, ale powiedzmy to sobie szczerze: nasz bardziej się nada. Popatrz na to w ten sposób. Wszystko musi być jak należy. Wiem od Marsha, że zamierzacie wydać uroczyste przyjęcie dla osób, które z różnych względów nie będą mogły wziąć udziału w weselu. Moja pomoc może się okazać niezbędna. Znam wszystkich, co trzeba. Zastanawiam się, czy nie skorzystać z wielkiej sali hotelu Beaumont, Jest świetnie położony, poza tym gwarantuję za jakość. Zajmę się tym.... - Urwała na chwilę. - Nie martw się o Di. Potrzeba jej trochę czasu. Wszystko się ułoży. Liczę tylko, że pomożesz nam dobrać stroje, masz do tego oko.

Marsh nie był zachwycony pomysłem siostry, kiedy Roslyn powiedziała mu o nim w czasie przejażdżki dżipem. Zatrzymała się na skraju urwiska wychodzącego na ciągnącą się w dal Pustyń. Rozgrzane powietrze falowało, lśniło srebrzyście.

- Justine chyba ma rację - przekonywała go Roslyn. - Będzie za dużo plotek, jeśli zostaniemy sami.

- Nie zapominaj o Shepardach- skrzywił się Marsh.

- Myślałam, że jesteś z nich zadowolony?

- Zachowują się jak aktorzy odgrywający rolę. Ale do Nowego Roku nic już nie da się zrobić. Potem podziękuję agencji i odprawię ich. Następnym ty zatrudnisz.

- Poszukam kogoś zupełnie innego.

- I bardzo dobrze. To ma być normalny dom. Chętnie pozbyłbym się jeszcze Chrisa. Trudno tolerować jego zachowanie. Daje się zauważyć, że straciłaś dla niego dawne go uroku.

- Robię, co mogę, by go zniechęcić. Może spróbuję zapuścić brodę - zażartowała. - Jesteś zły?

- Jasne! Gdyby nie Di, wyprawilibym go pierwszym samolotem.

- Daj spokój, Marsh, przecież to nic poważnego.

- Ale i nic zabawnego. - Skrzywił się, — Zwłaszcza dla Di.

- Nic mi nie mówiła.

- Znając ją, nie jestem pewny, czy nie czeka na okazję - odrzekł, wzruszając ramionami. - Nie sądziłem, że tak będzie, ale powiem ci, że nie mogę się doczekać, kiedy .sobie pojedą.

- Justine mówiła, że chcą wyjechać zaraz po Nowym Roku.

- Umie się wczuć w sytuację! - ucieszył się Marsh. - Ale mimo to wcale nie podoba mi się ten pomysł z twoim wyjazdem.

- Mama zaofiarowała się zostać jako przyzwoitka, ale odmówiłam. Nikt nie chce jej zmuszać do ślubu, ale chyba trzeba ją leciutko popchnąć.

- Leciutko? - zaśmiał się Marsh. - Z całej siły!

- Jesteś niemożliwy! - Popatrzyła na niego z dumą.

- Chcę ciebie.

- Ja też - powiedziała cicho, z czułością. Niewiele brakowało, by wyznała jak bardzo.

- W takim razie, czemu...?-Zawiesił głos.

- Bo mógłbyś mnie porzucić.

- Rosa, nie zaczynaj od nowa - powiedział ostrzegawczo.

- W porządku. Więc powiedzmy, że nie chcę doprowadzać do sytuacji kryzysowej.

- O czym ty mówisz? Przecież jesteśmy zaręczeni.

- Uhm. - Wyciągnęła przed siebie szczupłą dłoń z pobłyskującym na palcu sporym brylantem, otoczonym drobniejszymi kamykami. - Razem cztery karaty, co?

- Prawie pięć.
- Jest piękny.
- Nie tak jak ty - powiedział z uczuciem.
- Chcesz zaciągnąć mnie do łóżka.
- I to jak najszybciej - potwierdził. -..Czego tak się boisz?

Że zajdziesz w ciążę?

- A chciałbyś?

Popatrzył na nią. Miał takie błękitne oczy.

- Oczywiście - potaknął, - Nawet jestem gotów uronić kilka łez ze szczęścia, ale najpierw chciałbym cię mieć tylko dla siebie.

Po tym, jak porzuciłeś mnie na tyle lat? - natychmiast przemknęło jej przez myśl. Przeszłość ciągle tkwiła w niej jak cierń i nie zmieniał tego nawet fakt, że teraz była jego narzeczoną. Trzeba dużo czasu, by zaleczyć dawne rany.

- Miło mi to słyszeć, ale ja nie chcę uprzedzać naszej nocy poślubnej-powiedziała z wymuszonym spokojem.

Pogładził ją po policzku.

- Na pewno nie chcesz, żebym postawił sobie leżankę w twojej garderobie?

- Nie. Chcę, abyś dotrzymał umowy.

Przez chwilę w milczeniu patrzył na rozciągający się przed nimi krajobraz. Latający w górze jastrząb opadł na stadko siedzących na ziemi ptaszków; żaden z nich się nawet nie poderwał. Zawsze tak było.

- To cię bawi, prawda? - W jego głosie zabrzmiała dziwna nuta.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Bo cię dobrze znam, Rosa. - Uniósł w górę jej brode, by popatrzyła mu prosto w oczy. - Wiem, co cię boli i czym się kierujesz. Pamiętasz, że kiedyś zawsze byłaś bezbronna i nie chcesz, by to się powtórzyło.

- To chyba rozsądne, co? - Znów odżyła w niej dawna wrogość.

- Tu nie chodzi o rozsądek. - Puścił ją. - Chcesz mnie ukarać i oboje wiemy za co. - Uruchomił silnik, odwrócił się do dziewczyny. - Jedź z Justine, skoro uważasz, że tak będzie lepiej. Nie będę cię powstrzymywać.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Trzy tygodnie, jakie Roslyn spędziła w pięknym, wychodzącym na morze domu Justine i jej męża, były wypełnione po brzegi. Już dawno przestała liczyć nie kończące się przyjęcia i spotkania, poznała mnóstwo ludzi. Zatęskniła za Macumbą i za Marshem. Wprawdzie kilka razy rozmawiali przez telefon, ale te rozmowy tylko pogłębiały tęsknotę i poczucie osamotnienia. Uroczyste przyjęcie miało się odbyć w sobotę; Marsh obiecał przylecieć do Sydney najpóźniej w piątek po południu.

Odziedziczony po rodzinie lana dom był tak przestronny, że zdecydowano wydać przyjęcie na miejscu. Roslyn cieszyła się z tego. Z Dianne, dla której ciężką była wygodnym wykretem, by unikać życia towarzyskiego, widywała się rzadko, niemal wcale. Za to w Justine znalazła prawdziwe oparcie. Rzeczywiście była świetną organizatorką.

Zaproszenia zostały wysłane, suknia ślubna, wymyślona przez doskonałego projektanta, była na ukończeniu. Spędziła całe godziny na przymiarkach, ale efekt już było widać: dopasowana koronkowa góra, o długich rękawach i odsłaniającej ramiona linii dekoltu, przechodziła w opadającą aż do ziemi kaskadę delikatnego jedwabiu. Góra i dół sukni były wyszyte perełkami. Całości dopełniał stroik z delikatnych pastelowych kwiatów, przybranych udającymi gipsówkę drobnymi perełkami. Roslyn nie posiadała się z zachwytu: ta suknia była suknią jej marzeń.

Justine, której naturze nie odpowiadał styl romantyczny, za namową Roslyn zdecydowała się na prostą w kroju suknię, uzupełnioną niedużym kapelusikiem z woalką. Rzeczywiście było jej w tym świetnie.

Wszystko szło znakomicie, ale Roslyn zamiast euforii stale była niespokojna. Zżyły się z Justine i wiedziała, że może na nią liczyć, ale brakowało jej mamy. Olivia wreszcie się zdecydowała - ślub z Harrym miał się odbyć w Londynie, wkrótce po ślubie córki. Olivia miała przylecieć za parę dni, Harry, zajęty rodzinnymi interesami w ostatniej chwili. To on, angielski lord, odda ją panu młodemu.

Dochodziło południe, kiedy Roslyn wróciła do domu. Justine była w wychodzącym na ogród i morze zielonym saloniku, zwanym tak przez rodzinę z powodu obfitości zdobiących go roślin; miała gościa; Roslyn poszła się uczesać i zeszła na dół, by się do nich przyłączyć.

Była już przy drzwiach, gdy nagle stanęła jak wryta.

- No cóż, dzięki twojej pomocy powinno świetnie wypaść - dobiegł ją znajomy głos. - Roslyn nawet nie wie, jak się jej poszczęściło.

Przepelniła ją wściekłość. Kim Petersen. Jak miała Czelność pokazać się im na oczy! Chociaż właściwie, dlaczego była tak poruszona? Powinna pogodzić się z faktem, że tej dziewczynie wszystko zostanie wybaczone. Rodziny przyjaźniły się od pokoleń.

Chwyliła głęboki oddech i weszła do środka. Wydawała się spokojna, ale jej złociste oczy płonęły.

- O, jesteś, Ros! - powitała ją Justine. Nie wyglądała na szczególnie uszczęśliwioną rozmową. - Nie zgadniesz, kto nas odwiedził - dodała nieco cierpko.

- Czyżby Kim?

- Cześć, Ros! - Kim wynurzyła głowę zza wysokiego oparcia wiklinowego fotela. Mówiła niby to przyjaźnie, ale

jej oczy przeszywały Roslyn jak stal. - Jestem w Sydney na zakupach, więc wpadłam na chwilę.

Roslyn zachowała zimną krew.

- Cześć, Kim. - Usiadła w fotelu. - Jak leci?

- Wspaniale! - Kim błysnęła zębami. - Chyba zmizerniałaś, co? Wydajesz się zmęczona.

- Tyle się dzieje! - rzuciła z wymuszonym uśmiechem.

- Justine właśnie mi opowiadała, że-zawojowałaś Sydney.

- Czyżby?

- Jest o tym przekonana. Słuchaj, chciałam was prosić, nie, błagać, byście mi wybaczyły, Bardzo żałuję, że tak się zachowałam. Obiecuję wam, że to się już nigdy nie powtórzy.

- Miło to słyszeć. To nie było przyjemne przeżycie. - Roslyn popatrzyła jej prosto w oczy,

- Już mówiłam, że bardzo żałuję - powiedziała Kim, choć wyraz jej oczu wymownie świadczył, że wcale nie czuła żalu.

- Justine zawsze była moją przyjaciółką. Nie wyobrażam sobie życia bez niej i Di. Jeśli się zgodzisz, Ros, to chciałabym, byśmy i my zostały przyjaciółkami.

Roslyn podniosła się, podeszła do drzwi tarasu. Odwróciła się do Kim.

- Uważasz, że to możliwe? zapytała spokojnie.

- Och, proszę cię, usiądź - zaczęła Kim. - Tak myślę, taką mam nadzieję, inaczej byłoby fatalnie. Moja rodzina liczy na zaproszenie na wasze wesele.

- Czy to ma być żart? - zapytała Roslyn.

•t Chcesz przyjść na ślub? - zdumiała się Justine.

- Oczywiście, że chcę! - wykrzyknęła. - Wyobrażasz sobie, co się będzie działo, jeśli się okaże, że nie zostałam zaproszona? Poza tym moi rodzice od lat przyjaźnili się z wami. Musimy zostać zaproszeni.

Roslyn usiadła na swoim miejscu.

- Dla mnie to wcale nie jest takie oczywiste. W końcu to

mój ślub. Chyba to naturalne, że sama wybieram osoby, które chcę zaprosić.

- Wiem, że dałam ci powody do żalu do mnie, ale przecież już nie stanowią dla ciebie żadnego zagrożenia.

- To nie jest takie pewne - sucho stwierdziła Roslyn.

- Kim, to nie będzie dla ciebie zbyt przyjemne przeżycie - sceptycznie powiedziała Justine.

- Przesadzasz, Ju-Ju - uśmiechnęła się Kim. - Wiem, że straciłam mnóstwo czasu na Marsha, ale to już skończona historia. Dokonał swojego wyboru, chce mieć Ros. Jego sprawa. Poza tym i w moim życiu też zmieniła się karta. Craig i ja zamierzamy się zaręczyć.

- Naprawdę? - z wyraźną ulgą zawołała Justine. - To wspaniale! Craig już dawno się w tobie kochał. Bardzo się cieszę. Powiedziałaś już Di?

- Tak, dzwoniłam do niej. Biedaczka, tak marnie się czuje. Craig też jest w Sydney, w interesach. Bardzo mu zależy na spotkaniu z Marshem. Sobotę mamy wolną. Czy w związku z tym możemy liczyć na zaproszenie na przyjęcie? Ros, chyba nie masz nic przeciwko temu?

- Chyba jednak mam.

- Tak bardzo nam na tym zależy. Obojgu. - Kim sięgnęła do torebki, otarła oczy chusteczką. - Nie masz pojęcia, jak tamta historia na mnie podziałała.

- Nie denerwuj się - z niepokojem poprosiła Justine.

- Już i tak zostałam ukarana. Wiedziałam, że muszę tu przyjść i przeprosić was. Di była dla mnie taka miła. Powiedziała, że nigdy mnie nie zawiedzie.

- No cóż... - odezwała się Roslyn. - Dobrze, skoro tak ci na tym zależy, zapraszam was na sobotnie przyjęcie. Justine, zgadzasz się?

- Tak - mruknęła Justine, choć wyraz jej twarzy świadczył o tym, że nie jest do końca przekonana.

- Wspaniale! W takim razie muszę sobie kupić jakiś ekstra ciuch! - Kim aż podskoczyła z radości. Obie cmoknęła w policzek. - Marsh przylatuje w piątek? - zapytała, odstawiając krzesło.

- Skąd wiesz? - nieco zbyt ostro zapytała Roslyn.

- Od Di - powiedziała ze słodyczą Kim. - Justine mówiła, że twoja suknia już jest na ukończeniu. Jak wygląda?

Tylko brakuje, żeby dała jej nowy materiał do plotek!

- To tajemnica - wtrąciła się Justine, nim Roslyn zdążyła otworzyć usta.

- No tak! - roześmiała się Kim. - Będziesz śliczną panną młodą. Justine powiedziała, że jej też pomogłaś wybrać fason. I to lepiej niż własna siostra. .

- Wymyśliła mnie na nowo. - Roslyn aż się wzruszyła, słysząc pełne wdzięczności słowa Justine - Wiesz, że nigdy nie zwracałam uwagi na ciuchy, ale jednak wygląd ma ogromny wpływ na to, jak cię widzą. Mam teraz całkiem inne stroje. Ros zmieniła mi nawet fryzurę i makijaż.

- Sama ledwie cię poznałam! -poświadczyła Kim.

Rzeczywiście Justine zdawała się być inną osobą. Nowa fryzura, eksponująca piękne, gęste włosy, i odważny, niemal młodzieżowy strój, odmieniły ją całkowicie.

- Gdzie znalazłaś tę jedwabną bluzkę? - zainteresowała się nagle Kim.

- Ja ją kupiłam.- pośpiesznie wtrąciła Roslyn, bo Justine najwyraźniej zamurowało. - Ale już nie pamiętam gdzie - do dała, doskonale wiedząc, że po Kim można się spodziewać nawet tego, że zaraz kupi sobie taką samą.

- Kim, zostaniesz na lunch? - bez specjalnej zachęty zapytała Justine.

- Z przyjemnością! - zawołała entuzjastycznie. - Co macie dziś dobrego?

- Cheeseburgery - zjadliwie odrzekła Roslyn.

W piątkowe przedpołudnie przybyła ekipa zajmująca się przygotowaniem przyjęcia. W ogrodzie i obok basenu rozstawiono ogromne altany z białej tkaniny, przywieziono obrusy, zastawę, świeczniki, krzeselka i lampiony do powieszenia na drzewach. Po południu miano dostarczyć kwiaty i całą masę ozdobnych roślin. Jedzenie przygotowywała specjalistyczna firma. Zamówiono dwa zespoły muzyczne - jeden miał grać w ogrodzie, drugi w sali balowej. Zaproszono około setki gości, ale było pewne, że pojawi się ich dwukrotnie więcej. Pogoda była wspaniała.

Roslyn odpoczywała u siebie, kiedy przed domem zatrzymał się samochód. Poderwała się natychmiast. To z pewnością Marsh. Miał przylecieć swoim samolotem i wziąć z lotniska taksówkę. Podbiegła do okna, serce jej zabiło. Tak, to on! Przyglądała mu się płonącym wzrokiem, podczas gdy płacił za przejazd. O Boże, ależ on jest przystojny! Jakże go kocha! Przepelniona uczuciem zbiegła po schodach, spódniczka załopotowała, wiatr rozwiął rozpuszczone włosy.

Ciesz się z tego, co masz, przemknęło jej przez myśl. Jeszcze nadejdzie dzień, kiedy ci powie, że cię kocha.

Marsh odwrócił się ku niej, twarz mu się rozpromieniła. Wyciągnął do niej rękę.

Wpadła w jego objęcia, szczęśliwa. Nareszcie skończyła się jej samotność. Podniosła na niego roześmiane oczy, a on pochylił się i odszukał jej usta. Zadrzała.

- Jak się ma moja narzeczona? - Oczy mu błyszczały.
- Chyba zmizerniałaś?
- To przez te przyjęcia - wyjaśniła. - Już przestałam je liczyć. Jak udał się lot?
- Strasznie się dłużył. Nie mogłem się doczekać, kiedy cię wreszcie zobaczę. Moja piękna Rosa.
- Tęskniłam za tobą. - Głos jej leciutko zadrzał.

Patrzył na nią uważnie przez długą chwilę, przeciągnął palcami po jej rozświetlonych słońcem włosach.

- Jakie to miłe. Mam nadzieję, że tak naprawdę było.
- Nie wierzysz mi?
- Musisz mnie o tym przekonać, kiedy będziemy sami.
- Nie mogę się tego doczekać.

Marsh zaśmiał się cicho.

- Czyli to prawda, że rozłąka czyni cuda?
- Ale ty nie powiedziałeś, że ci mnie brakowało.
- A o czym świadczył ten pocałunek? - Dostrzegł siostrę wychodzącą przed frontowe drzwi i machającą do nich ręką.
- Och, Ju-Ju, wyglądasz wspaniale! - zachwycił się. Uśmiechnął mocno Justine. - Dopiero teraz widać twój prawdziwy czar!

- oświadczył z satysfakcją.
- To dzięki Roslyn. - Justine aż zarumieniła się z radości.
- Prawdziwa z niej czarodziejka.

Marsh puścił siostrę, przyciągnął do siebie narzeczoną.

- A nie mówiłem? Zawsze powtarzałem, że jest nadzwyczajna. Ju-Ju, naprawdę wspaniale wyglądasz. Dalej tak trzymaj.

- Ian też jest zachwycony - z uśmiechem wyznała Justine.
- Twierdzi, że wyglądam ekstra.
- I ma rację! - Marsh przygarnął siostrę drugą ręką. - To co, macie tu straszny młyn?

- I tak ty za wszystko zapłacisz - odrzekła z uśmiechem.
- Żadne koszty się nie liczą, kiedy chodzi o Marsha Faulknera.

Faulknera.

i jego prześliczną narzeczoną, prawda?

- Ludzie zaczynają mnie wypytywać o genealogię, ale nim zdążę otworzyć usta, już padają kolejne pytania - zaśmiała się Roslyn. - Boję się, że któregoś dnia bomba wybuchnie.

- Kochanie, nie musimy niczego ukrywać - zapewnił ją stanowczo.

- Rozgłoś, że to lord Mortimer oddaje cię Marshowi
- podsunęła Justine. - Jeszcze wiele osób ulega magii tytułu.
- Nie ja - oświadczył Marsh. - Liczy się jedynie to, jaki
kto jest.

- I ja zaczynam do tego powoli dochodzić - przyznała
Justine, prowadząc ich w stronę domu. - Ach, jeszcze jedno:
lepiej żebyś wiedział, że znów pojawiła się Kim Petersen.

Na chwilę zaległa cisza.

- Można się było tego spodziewać. - Skrzywił się. - Tej
dziewczyny nic nie jest w stanie pohamować.

- Tego właśnie się boję. - Justine skierowała się do salo-
nu. - Wpadła do nas parę dni temu, podobno była w Sydney
na zakupach. Powiedziała, że chce się z nami przyjaźnić.

- O Boże! - jęknął Marsh. - Powiedz od razu, że chodziło
jej o zaproszenie na ślub.

- Skąd wiesz? - zdumiała się Roslyn.

- Kotku, to będzie ogromne wydarzenie towarzyskie,
przez lata będzie się o nim mówić. - Powiódł wzrokiem po
wspaniale udekorowanym wnętrzu. - Kim z pewnością bar-
dzo chce być obecna. Jej matka też, nawet jeśli poszło nie po
jej myśli. Nie darują sobie, jeśli nie zostaną zaproszone.

- Też tak myślę - potwierdziła Justine.

- Ale to nie ona będzie panną młodą - roześmiała się
Roslyn.

Marsh ujął jej dłoń i pocałował.

- To rola dla ciebie. Tylko ty się do niej nadajesz.

- Jakie to romantyczne! - wzruszyła się Justine. - Ale
wracając do Kim...

- Czy naprawdę musimy? - jęknął Marsh. - Ona nie po-
winna znowu wchodzić w nasze życie.

- No właśnie! - podchwyciła Roslyn.

- Chciałam cię tylko poinformować, że zamierza przyjąć
oświadczyny Craiga. Powinno ci ulżyć.

- Craig ciągle miał nadzieję, że tak się stanie. Czy czuję ulgę? Poczekam, aż przekonam się na własne oczy. - Usiadł na kanapie, pociągnął ku sobie Roslyn.

- Ju-Ju, gdybyś była tak dobra i zrobiła mi kawę, może jeszcze kanapkę - poprosił. - Od świtu nic nie jadłem.

- Naprawdę? - zaniepokoiła się Roslyn.

- Niestety, już nie ma Shepardów - odrzekł.

- Zaraz ci coś przyrządzę! - Justine skoczyła do drzwi, dla brata gotowa na wszystko. Po drodze pomyślała, że Roslyn na pewno uprzedzi go o jutrzejszym przybyciu Kim i Craiga. Chociaż nie powinna się martwić, przecież Kim z pewnością nie ma złych zamiarów.

Dochodziła siódma, przyjęcie zaraz się miało zacząć. Roslyn ostatni raz zerknęła na swoje odbicie. Suknia była nieprawdopodobnie droga, ale warto było zapłacić taką cenę. Jeszcze nigdy w życiu nie wyglądała tak pięknie.

Uległa sugestiom projektanta i dobrze na tym wyszła. Długa romantyczna kreacja, uszyta z jedwabnej tafty o niespotykanym odcieniu poblaskującej złościście zieleni, była utrzymana w stylu dawnych balowych sukni. Śmiało można było wyobrazić sobie w niej Scarlett O'Hare. Kolor sukni pogłębiał jeszcze barwę jej oczu. Rzeczywiście wyglądała olśniewająco. Wolałaby jedynie nieco mniej wycięty dekolt, ale projektant był nieugięty.

Wzorem bohaterki „Przeminęło z wiatrem” postanowiła zostawić rozpuszczone włosy, odgarnęła je tylko nieco w tył. Jeszcze tylko kolczyki, może odrobina różu, by ożywić twarz? Denerwowała się. Dziś po raz pierwszy wystąpi publicznie przy boku Marsha. Co ją podkusiło, że zgodziła się zaprosić Kim? Niepotrzebnie uległa jej prośbom. Marsh bardzo sceptycznie przyjął jej deklarację przyjaźni i wieść o rychłych zaręczynach. Obawiała się Kim. A jeśli ona coś knuje?

Wzdrygnęła się, odeszła od lustra. Jak przyjemnie poruszać się w takiej sukni! Zastanowiła się, co założyć na szyję. Może ulubiony naszyjnik w stylu Art Nouveau? Wprawdzie nie bardzo pasował do kolczyków, ale często nosiła je razem i zawsze zbierała pochwały. Wiedziała, że ma dobry smak. To dzięki niej Justine wyglądała teraz jak zupełnie inna osoba. Cieszyło ją to, podobnie jak prawdziwa przyjaźń, która się między nimi zawiązała. Jakże różniła się od swojej siostry, nie mówiąc już o lady Faulkner! Odepchnęła od siebie przykre wspomnienia. Pora zacząć nowe życie, poczuć swoją wartość. Dobrze się składało, że nauczyła się grać na fortepianie, to dla niej dodatkowy atut. Kiedy wróci pani Agatha, musi jej podziękować.

Pukanie do drzwi wyrwało ją z tych rozmyślań. Spodziewała się Justine, ale na progu stanął Marsh. Jak mu było do twarzy w tym wieczorowym stroju!

- Rosa, wyglądasz jak marzenie! - zachwycił się.

- Poczekaj, aż zobaczysz rachunek! — roześmiała się, poruszając się tanecznym krokiem, by obejrzeć ją w całej krasie. W jasnym świetle jej oczy lśniły tajemniczym blaskiem, czuła się dziwnie, nierzeczywiście. Czy to wszystko działo się naprawdę? Może to tylko piękny sen?

- Tak bardzo bym chciał cię pocałować - zmienionym głosem powiedział Marsh. - Całować i całować bez końca.

- Byłoby cudownie - szepnęła zmysłowo.

- Tylko nie zamykaj oczu, bo zapomnę o bożym świecie - cicho ostrzegł ją Marsh. - Czy kiedyś zdarzy się taka chwila, że będziemy sami?

- Modłę się o to.

Długo nie odrywali od siebie oczu. Wreszcie Marsh pierwszy się opamiętał.

- Pewnie chciałabyś założyć coś na szyję - powiedział,

podając jej podłużne, obciągnięte ciemnoniebieskim aksamitem pudeleczek. - To powinno pasować.

- Biżuteria? - Oczy lśniły jej jak brylanty.

- Wyraz mojej nieprzemijającej miłości. Otwórz.

Roslyn aż krzyknęła na widok naszyjnika. Na złotym, zdobionym perłami łańcuszku jaśniało obramowane brylancikami serce z czarnego opalu. Marsh pomógł jej założyć naszyjnik, pociągnął do lustra. Kamienie zajaśniały, rozbłyły setkami wielobarwnych refleksów.

- To na zamówienie, prawda? - Leciutko dotknęła czarnego serduszka.

- Oczywiście, z myślą o tobie. Wiem, że lubisz opale.

Moja najmilsza! - Przytulił ją lekko, a ona przywarła do niego, wsłuchując się w jego szept.

Marsh, jak ja cię kocham! - Wszystko w niej krzyczało. Jesteś moim przeznaczeniem, umieram z miłości!

- Nie, to niemożliwe - opamiętał się. - Nie mogę cię pocałować, popsulbym ci makijaż. Pomóż mi, bo inaczej zwaruję.

- Podobno miłość to szaleństwo, tak przynajmniej mówią.

- Cofnęła ręce i zaśmiała się z przymusem.

- Rosa, powiedz, że mnie kochasz - powiedział z desperacją. - Jesteśmy sami.

- Marsh, nawet nie wiesz...

Nie zdążyła dokończyć, bo w tej samej chwili ktoś zastukał i do środka wpadła podekscytowana Justine.

- Schodźcie na dół, trzeba witać gości! - Dostrzegła naszyjnik na szyi dziewczyny. - Bardzo ładny, niepowtarzalny. Tak ja ty, Roslyn. No, dobrze już! Nie będę płakać, straciłam za dużo czasu przed lustrem. Zaraz, a kolczyki? - zaniepokoiła się.

- O Boże, co się ze mną dzieje? - wykrzyknął Marsh.

- Mam w kieszeni.

- Wiedziałam - skomentowała Justine. - O wszystkim pamiętasz. - Cmoknęła Roslyn w policzek. - Jak się czujesz? Zdenerwowana?

- Teraz już nie - uśmiechnęła się, wpinając w uszy oprawione w złoto perły.

- Odgarnij trochę włosy - doradziła jej. - No i chodźcie już, łan chce jeszcze pstryknąć wam parę zdjęć. Nie liczcie, że zrobi to jak zawodowiec, ale niech sobie tak myśli!

Do dziewiątej przybyła większość gości. Powietrze rozbrzmiewało dźwiękami muzyki, śmiechem i gwarem rozmów, Bufety, nakryte olśniewająco białymi obrusami i zastawione wspaniale udekorowanymi półmiskami, kusiły mnogością potraw. Czegóż tam nie było! Szynki opiekane w miodzie, nadziewane indyki, kurczęta przyrządzane na różne sposoby; srebrne tace z kruszonym lodem, na których artystycznie ułożono homary, wędzonego w całości łososia, krewetki, ostrygi, małże, Kraby i zapiekane w muszelkach mule. W salaterkach piętrzyły się przepiórcze jajeczka, wesoło odbijały od nich różnobarwne sałatki. Nie zabrakło gorących dań - w otoczeniu ryżu apetycznie prezentowały się przysmaki kuchni tajskiej i indonezyjskiej.. Desery podano na osobnym stole; niczego nie zabrakło: od delikatnych, lekkich jak mgiełka musów do sycących ciast i czekoladowych tortów. Eleganccy kelnerzy krążyli z tacami zastawionymi szampanem, drinkami i sokami.

Przyjęcie trwało na dobre, bywały momenty, że gwar rozmów zagłuszał dźwięk grającej w ogrodzie orkiestry.

Roslyn została dobrze przyjęta. Wprawdzie miała świadomość, że nie wszyscy akceptują ją bez zastrzeżeń, zwłaszcza kilka starszych pań, pewnie znajomych Petersenów, ale generalnie zrobiła dobre wrażenie. Marsh też był z niej dumny, bo nie odrywał od niej zachwyconego wzroku. Nawet Dianne za

każdym razem, kiedy ją widziała, machała przyjaźnie ręką. Chris się uspokoił, może w końcu wpłynął na niego fakt, że wkrótce zostanie ojcem.

Kim i Craig przybyli późno. Kim, wyższa od niego, miała na sobie zabójczą kreację z jaskrawoczerwonego szyfonu. Sukienka, trzymająca się jedynie na cieniusieńkich ramiączkach, dołem była rozcięta w paru miejscach, by wyeksponować zgrabne nogi Kim. Jej kolor podkreślał złocistą opalenizną skóry i rozjaśnione słońcem włosy. Wyglądała świetnie, ale w jej spojrzeniu kryło się coś dziwnego. Craig niktą przy niej. Miał przedwcześnie przerzedzone włosy, ale jego majątek oceniano na pięćdziesiąt pięć milionów dolarów. Powszechnie wiedziano, że niemal chorobliwie ceni swoją prywatność, ale teraz, trzymając pod rękę Kim, promieniał.

- Dlaczego mnie nie uprzedziłaś? - syknął Marsh, kiedy razem z Roslyn szedł ich witać.

- Próbowałam, ale nie mogłam się przemóc. To wcale nie znaczy, że nie będę mieć cię na oku.

- Nie opowiadaj bzdur! - roześmiał się. - Mam nadzieję, że wykorzystają sytuację i na naszym przyjęciu ogłoszą swoje zaręczyny. To byłoby bardzo w guście Kim.

- To jest możliwe.

Kim objęła Marsha i pocałowała go w usta.

- Moje gratulacje! Wspaniała okazja!

- Rzeczywiście! - Craig był wyraźnie zmieszany. - Miło z waszej strony, że zaprosiliście i mnie, słysząc, że jestem w mieście. Roslyn, wyglądasz prześlicznie!

- Jaki piękny naszyjnik! - uśmiechnęła się Kim. - Chętnie bym ci go skradła. To pewnie prezent od Marsha?

- Oczywiście! - Objęła go ramieniem, a on przytulił ją do siebie. - To wyraz naszej miłości,

- Opale nie przynoszą szczęścia - skrzywiła się Kim.

- Chyba nie jesteś przesadna? - stropił się Graig. - Uważam, że to przepiękny naszyjnik i do Roslyn świetnie pasuje.

Kim klepnęła go po ramieniu i przewróciła oczami, jakby dając do zrozumienia, że Craig o niczym nie ma pojęcia.

- Jak pięknie wszystko przygotowaliście! I jakie dekoracje! Czyżby i Di wam pomagała?

- Oczywiście - z lekkim zdziwieniem odpowiedział Marsh. - Nigdy by nie przepuściła takiej okazji.

- Uhm - sceptycznie mruknęła Kim.

Nadchodzili kolejni goście, więc Marsh wymówił się i pociągnął za sobą Roslyn.

- Uważaj na Kim - ostrzegł ją po drodze. - Czuję, że coś knuje. Miej ją na oku.

Po kolacji Roslyn poszła do siebie poprawić makijaż. Schodziła tylnymi schodami, kiedy z dołu dobiegły ją jakieś głosy. To kilka pań usiadło w tym zacisznym miejscu na pogawędkę. Zatrzymała się na мгновение. Przeczucie jej nie zawiodło, bo dobiegł ją głos Kim. A więc Marsh miał rację!

- Owszem, nieźle wygląda, ale jest bardzo niepewna siebie.

- Nie masz racji, Kim - zaprotestował ktoś. - Wcale nie jest zahukaną nauczycielką. I podobno świetnie gra na fortepianie. Chętnie bym jej posłuchała.

- Wątpię, czy by ci się podobało - powiedziała Kim. - Ma bardzo powierzchowny styl.

- Według ciebie? Przecież ty nie masz pojęcia o muzyce.

- Poznała ten głos, to Anne Fletcher. - Dziwię się, że tu przyszedłaś. Współczujemy ci i rozumiemy, że możesz czuć urazę, ale musisz się z tym pogodzić, że Marsh dokonał właśnie takiego wyboru.

- Bardzo bym chciała, ale po tym, co nas łączyło, to nie jest takie proste. To małżeństwo nigdy by nie doszło do skutku, gdyby żyła lady Faulkner.

- Och, ta jędz! -jęknęła Anne. - Nie oszczędziła nawet własnych córek. Marsh też już miał jej dość.

- Jaka szkoda, że sir Charles odszedł tak młodo! I szkoda, że ich małżeństwo nie było udane - westchnął ktoś.

- To winą matki narzeczonej. Ich gosposi! - jadowicie stwierdziła Kim.

Roslyn miała już tego dość. Uniosła suknię, ale głos Anne Fletcher zatrzymał ją w miejscu.

- Kim, nie powinnaś mówić takich rzeczy. Jesteś dziś niemożliwa. Nie byłaś aż tak związana z Marshem. Poza tym nigdy ani przez moment nie wierzyłam w te plotki.

- I to błąd! - zgryźliwie odcięła się Kim. - Matka i córka, obie cwaniary. Roslyn zawzięła się na Marsha, a matka, skoro inaczej się nie udało, złapała Harry'ego. Ma zostać lordem, pewnie już słyszałyście. To po prostu w głowie się nie mieści, że gosposia Faulknerów wkrótce stanie się lady Mortimer!

- No i co z tego? - odezwał się ktoś. -Gdzie jest powiedziane, że wszystko należy się tylko bogatym i dobrze urodzonym?

- Jak możecie tak myśleć! - oburzyła się Kim.

- Słuchaj - powiedziała Anne. - Zawsze żyliśmy z Faulknerami w zgodzie, przyjaźnimy się od pokoleń. Dlaczego to miałoby się zmienić? Nie ma powodu, by młodzi nie mieli być ze sobą szczęśliwi. Idę po drinka - dodała. - Kto się przyłączy? Justine wygląda świetnie, co?

Odeszły. Roslyn odetchnęła z ulgą. Nikt nie poparł Kim. To dobry prognostyk na przyszłość.

Było już późno, kiedy Marsh poprosił ją, by zadośćuczyniła życzeniom gości i zagrała coś. Zgodziła się chętnie. Dobrze się złożyło, że przez cały wieczór piła jedynie wodę i sok.

Popatrzyła na uśmiechające się życzliwie twarze i uderzyła w klawisze. Dźwięki muzyki przepełniły salon, przez otwarte tarasy popłynęły w noc. Wszyscy trwali w zasłuchaniu, tylko

Kim, której nie udało się zniechęcić Craiga do wysłuchania koncertu Roslyn, z ponurą miną sama ruszyła do wyjścia.

Po koncercie Roslyn usiadła z Marshem rozluźniona i zadowolona z siebie. Nasłuchiwała się pochwał, jej talent został doceniony. Marsh zabawiał gości opowiadaniem dowcipów, kiedy jeden z kelnerów dyskretnie przekazał jej, że pani Herbert pilnie prosi ją do zielonego salonu.

Roslyn skinęła Marshowi i pośpiesznie wyszła. Prawdopodobnie Justine nie mogła poradzić sobie z kilkoma gośćmi, którzy poczuli się zbyt swobodnie. Trzeba będzie wyprawić ich do domów.

W zielonym salonie, zamkniętym dla gości, panował półmrok. Przez wychodzące na ogród olbrzymie okno widać było sylwetki tańczących na trawie gości.

- Justine? - zawołała z niepokojem, bo to wszystko coraz mniej się jej podobało. Przecież Justine nie siedziała tu po ciemku.

- Roslyn?

Wezbrała w niej złość.

- To ty, Chris? - Podeszła w stronę, z której rozległ się głos. Czyżby miała się powtórzyć historia tamtego przyjęcia, kiedy próbował ją pocałować? - Chris? - powtórzyła ostro.

- Tu jestem. - Nieoczekiwanie poczuła, że wziął ją za ramię.

- Przekazano mi, że Justine tu na mnie czeka. Przypuszczałam, że ma problem z pozbyciem się gości.

- Kto ci to powiedział?

- Kelner. -Dotknął jej włosów. - Tak, to był kelner.

- Niestety, jej tu nie ma.

- Zapalmy światło.

- Ale tak jest całkiem przyjemnie. Poza tym nie mam

pojęcia, gdzie jest wyłącznik. Ty powinnaś wiedzieć, mieszkaś tu od jakiegoś czasu.

- Ale też nie wiem - powiedziała, podchodząc do drzwi.

- Powinien być tutaj, ale nie ma. Lepiej stąd wyjdźmy.

- No wiesz!- roześmiała się. - Wyjść, skoro tak się napracowałam, żeby mnie tu ściągnąć! ;,.

- Niby w jakim celu? - zapytała lodowatym tonem.

- Bo lubisz mieszać, dobrze o tym wiemy! Co było na Boże Narodzenie? Naopowiadałaś, że nie daję ci spokoju. Marsh omal mnie nie wyrzucił. Di bardzo to przeżyła, w dodatku jest w ciąży. Kocham ją; To nie było przyjemne.

- Nigdy czegoś takiego nie powiedziałam, zapewniam cię. Teraz też ktoś celowo siępostarał, żeby nas tu ściągnąć. Nawet ty, nie, mówiąc już o mnie, nie byłbyś tak nierozważny.

- Po prostu uderzyło ci do głowy! Zawsze musiałaś coś nakręcić! Zresztą świetnie wiem, o co chodzi, Po prostu nie mogłaś przeżyć, że przez cały wieczór nie zwróciłem na ciebie uwagi. Kim ma rację, na siłę chcesz się wcisnąć do Faulknerów. A przy okazji zrobić ze mnie durnia!

Poczerwieniała ze złości.

- Tego, że jesteś durniem wcale nie trzeba dowodzić!

- Daj sobie spokój - parsknęła. - Masz ostry języczek, to nawet dodaje ci uroku. Ale uprzedzam cię, jeśli jeszcze raz spróbujesz narozrabiać...

- To, co wtedy zrobisz?

- Nie chcę denerwować Di. Czas, żebyś wreszcie przestała. - Roslyn aż się poderwała ze złości, Chris schwycił ją za ramię. - Zawsze miałaś do mnie słabość, co?

- Puść mnie! - wydusiła przez zęby.

- Najpierw wyjaśnijmy sobie parę rzeczy.

- Skoro chcesz, zgoda, ale w obecności Di i Marsha.

- Ach, czyli już owinęłaś go sobie wokół palca! - zaśmiał

się nieprzyjemnie. - Ale nie ludź się, że to potrwa długo.
Wróć do Kim. Oni się za dobrze rozumieją.

- Powiedziałam: wyjdźmy stąd!

- Cicho! - syknął nagle. - Ktoś idzie.

Nie minęła chwila, a drzwi otworzyły się z hałasem, napełniając pokój światłem.

- Hej, co wy tu robicie? - rozległo się wołanie nieco dziwnie wyglądającej nastolatki, - Nie przeszkadzamy?

Chris pośpiesznie puścił rękę Roslyn.

- Marcy, co się stało? - przeraził się. W dodatku tuż za dziewczyną pojawiła się Kim. Zmierzyła ich z pogardą.

- Nie możesz się opanować, co, Ros? - parsknęła.

- Och, niegrzeczny Chris! - zachichotała Marcy. Chyba coś wypila. - Bardzo niegrzeczny.

- Przestań opowiadać bzdury! - zaprotestował Chris.

- To nie wygląda najlepiej - nie zrażała się dziewczyna.

- Ale czemu ogląda się za tobą, skoro ma Marsha?

- Marcy, uspokój się. - Roslyn przybrała surowy ton nauczycielki. - Chyba że zaraz powtórzysz to przed moim narzeczoną, Dianne i twoimi rodzicami.

Marcy od razu złagodniała.

- Już dobrze, dobrze - poprawiła się szybko. - Przepraszam - powiedziała skruszona. - Ale to przez Kim, niech ona was przeprosi! W dodatku dała mi szampana i namówiła na skok do basenu!

- Co ty opowiadasz! - Kim szturchnęła ją w bok.

- Tak było! - obruszyła się dziewczyna. - Zapytajcie Craiga. To on mnie wyłowił. Przez cały wieczór piłam tylko sok. Potem ten jeden kieliszek szampana. Uderzył mi do głowy.

- Jesteś cała mokra - spostrzegła Roslyn. - Pożyczę ci coś, mamy podobny rozmiar. Powinnaś wracać do domu.

- Nigdy coś takiego mi się nie przydarzyło - zreflektowała się Marcy. - Mama mnie zabije.

W tej samej chwili do salonu wpadła Justine, do której już doszła wieść o całym zdarzeniu.

- Marcy- nie zważając na kosztowną suknię, przygarnęła do siebie dziewczynę - zawsze byłaś taka rozsądna.

- Wypiłam tylko kieliszek szampana - z godnością odrzekła Marcy. - Kim mi go dała, ale teraz nie chce się do tego przyznać.

- To nieprawda - chłodno zaprzeczyła Kim. - Powinnaś się nauczyć, że należy przyznawać się do swoich błędów.

- Muszę iść do łazienki - poruszyła się Marcy. - Niedobrze mi.

Justine pośpiesznie wyprowadziła dziewczynę.

- Kim, miałam przeczucie, że spróbujesz coś zrobić, żeby mnie zdyskredytować albo popsuć przyjęcie - zaatakowała ją Roslyn.

Zdawało się, że jej słowa nie zrobiły na Kim żadnego wrażenia.

- To twój problem, jak teraz wyjaśnisz Dianne, co robiłaś po ciemku z jej mężem.

- Posłała po mnie. - Chris wziął stronę Kim,

- Nić musisz się przed nią tłumaczyć - skrzywiła się Roslyn. - To ona to zaaranżowała. Przypuszczam, że dosypała Marcy coś do szampana, jest bez skrpułów. Dlaczego przyszła z nią tutaj, skoro ten pokój był zamknięty dla gości? Zwłaszcza że w sali przy basenie jest wszystko, co potrzeba.

- Chodziło mi o suche ubranie - wyniośle skwitowała Kim. - Wiedziałam, że Justine nie weźmie mi tego za złe. Znam dom.

- I z pewnością wiesz, gdzie jest kontakt. Przypadkiem usłyszałam, co opowiadałaś o mnie i mojej mamie.

- To ładnie o tobie świadczy - ironicznie podsumowała Kim.

- Tobie też się nieźle dostało.
 - Co tu się dzieje? - Od drzwi dobiegł je głos Dianne,
 - Ros, Marsh wszędzie cię szuka. Już się baliśmy, że cię ktoś porwał.
 - Zaraz do niego pójde. - Poderwała się, chcąc zakończyć sprawę.
 - Znow bierze nogi za pas - nieprzyjemnym tonem powiedziała Kim. - Tak jak wtedy.
 - O co tu chodzi? - zagrział głos Marsha.
 - Ona znow zaczęła! - wykrzyknęła Kim. - Tak jak zrobiła to wcześniej, na zaręczynowym przyjęciu Di. Taki już ma charakter...
 - Teraz sobie przypominam, że wtedy to ty doniosłaś mojej mamie - znaczącym tonem powiedziała Dianne,
 - Musiałam. A teraz historia się powtarza. Ona już taka jest, wszyscy muszą ją podziwiać. Nie patrzy, że ty i Chris jesteście szczęśliwi, że spodziewasz się dziecka. Zwiabiła tu Chrisa.
 - Nic lepszego nie byłaś w stanie wymyślić? - zapytał Marsh z pogardą w głosie. - Pewnie obmyślałaś to przez wiele tygodni. Ale tym razem przesadziłaś.
 - Tak było! - upierała się Kim. - Mam na to świadka, Marcy Hallet. Zaskoczyłyśmy ich.
 - Roslyn aż się wzdrygnęła, bo Di zaczęła szlochać.
 - Di, błagam cię, przestań - poprosiła ją żarliwie. - Naprawdę wcale tak nie było. I jemu i mnie powiedziano, że Justine tu na nas czeka. To sprawka Kim. Dam głowę, że chciała jeszcze dosypać mi coś do kieliszka, ale niczego nie piłam. Chciała mnie za wszelką cenę zdyskredytować.
 - Chris mi wierzy - oznajmiła Kim. - Przypuszczalnie zna Roslyn lepiej niż my.
 - Ty zmiżo! - wybuchnęła Roslyn.
- Dla Marsha było to aż nadto.

- Wyjdź stąd, Kim - oświadczył głosem nie znośącym sprzeciwu. - Nie uda ci się popsuć nam naszego wieczoru. Jestem przekonany, że ty to uknulaś.

Roslyn, słysząc te słowa, odetchnęła z ulgą. Wierzył jej i tylko ona się dla niego liczyła.

- W takim razie dobrze, możesz mnie nienawidzić! - nie ustawała Kim, nie mogąc się pogodzić z myślą, że jej świetnie opracowany plan spalił na panewce. - Zawsze byliście moimi przyjaciółmi, zależy mi na waszym dobrym imieniu. Jeszcze zobaczysz, co ona jest warta! - Zaróżowiła się z emocji. - Tak bardzo cię kochałam, Marsh. Obiecałeś mi przecież. Mieliśmy tyle planów na przyszłość.

- Masz zamiar sprzedać to do gazet? - chłodno zapytał Marsh. - Opublikują każde wierutne bzdury.

Kim dramatycznym gestem złapała się za serce.

- Przecież wiesz, że nie kłamię!

- Kim, przestań już - odezwała się Dianne. - Zawsze było w tobie coś nieobliczalnego.

- Och, kochanie, tak mi przykro, że się zdenerwowałaś.

- Przepraszam, ale muszę wyjść, bo robi mi się niedobrze - z niesmakiem skrzywiła się Roslyn.

- Nie ma mowy! - Marsh przyciągnął ją do siebie. - To nasze przyjęcie. Niech inni wyjdą.

Kim wyprostowała się dumnie.

- Żałuję, że tak wyszło, Marsh. Chciałam cię tylko ostrzec. Jak przyjaciół.

- Wyjdź! - stanowczo powiedział Marsh.

- Kochasz mnie, prawda? - Chris odciągnął Dianne na stronę.

- Nie wiem. Sama już tego nie wiem.

- Di, serce mnie boli, gdy widzę, jak ci przykro - zawołała za nimi Kim.

- Moja biedna Rosa. - Marsh pochylił się i pocałował ją

w czubek głowy. - Ale ostrzegałem cię. Tak czy inaczej to wspaniały wieczór. Doskonale wypadłaś. Jestem z ciebie dumny - dodał, patrząc na nią z czułością.

- Tylko to się dla mnie liczy. Twoje zaufanie. Nie słyszałeś jeszcze całej historii.

- I nie chcę słyszeć. Najchętniej wywiózłbym Kim na pustynię i tam zostawił. Uważa się za przyjaciółkę Di, a nawet nie pomyślała o jej uczuciach. Zresztą zostawmy to. To w końcu nasze przyjęcie, nasz wieczór - uśmiechnął się.

- Kocham cię! - Nie miała już sił dłużej tego ukrywać,

- Powiedz to jeszcze raz! - Oczy mu rozbłysły.

- Kocham cię. Kocham cię. Kocham cię. Od zawsze i na zawsze.

Objął ją mocno, przytulił do siebie.

- Potrzebowałeś sporo czasu.

- Czułam się skrzywdzona.

- Ale to już przeszłość?

Popatrzyła na jego ukochaną twarz.

- Jeśli tylko pozwolisz mi stać się częścią twego życia.

- Przecież zawsze tak było. - Przytulił ją jeszcze mocniej.

- Jesteś moją miłością, moim życiem. Zawsze to wiedzieliśmy

- Więc dlaczego tak trudno było ci to powiedzieć?

- Przeszłość nas rozdzieliła, utraciliśmy do siebie zaufanie. Ale to się już nigdy nie powtórzy. Rozkwitniesz jako moja żona, chciałbym dać ci wszystko to, czego dotąd ci brakowało. Teraz będziemy razem, na dobre i na złe. Potem przyjdą na świat nasze dzieci. Rosa, moja najdroższa, jesteś jedyną kobietą w moim życiu.

- Kiedyś byłeś fantastycznym kochankiem! - szepnęła.

- Byłem? - zaśmiał się. - Powiem ci...

- Pocałuj mnie - poprosiła gorąco.

- Rosa! - wyszeptał i wargami lekko dotknął jej ust,

Była taka piękna, taka cudowna. Marzył o dniu, kiedy mu powie, że go kocha. Jeszcze miesiąc, a zostaną mężem i żoną. I na zawsze zapamiętają ich poślubną noc... Wpatrywał się w nią i marzył.

- Marsh! O czym myślisz? - Roslyn opamiętała się pierwsza.

- Pamiętasz nasze sekretne miejsce? - szepnęła i objął dłońmi jej twarz.

- Tyle razy o nim myślałam. Tysiące gwiazd nad pustynią, niebo o czerwonawym odcieniu, przepływające bezszelestnie, jak duchy, chmury. Powietrze pachniało, a nad laguną unosiły się delikatne mgły. Chrząścił piasek, drzewa poruszały się na wietrze. Nasze czarodziejskie miejsce. Tamten cudowny czas. Potem wszystko się skończyło

- Ale znów będzie jak wtedy - zapewnił ją z przekonaniem. - Możemy pójść tam w naszą poślubną noc. Wymknijemy się cicho, nikt nas nie zauważy.

Przez chwilę trwała w milczeniu. Czula łzy w oczach.

- Byłoby wspaniale!

- To co, umowa stoi?

- Tak! - rozpromieniła się.

Marsh pochylił się i pocałował ją mocno.

Tak zastała ich Justine, kiedy wyprawiła w końcu Marcy i pożegnała Craiga i Kim. Nareszcie odetchnęła z ulgą, choć ciągle nie mogła sobie darować, że zgodziła się na przyście Kim.

- Hej! - zawołała, - Na to będziecie mieć jeszcze mnóstwo czasu! Wszyscy się o was dopytują.

- To była tylko jedna chwilka, Ju-Ju - uśmiechnęła się Marsh.

- Bardzo wzruszająca! - roześmiała się. - Ale czas wracać do gości. Marsh, pogadaj z orkiestrą, grają tak głośno, że uszy bolą. A ty, Ros, popraw szminkę, całkiem ci ją zmazał.

Och, jak dobrze się teraz czuję! Dzisiejszy wieczór jest świetny, ale nie macie pojęcia, z jakim utęsknieniem czekam na wasz ślub.

Marsh spojrział w oczy Roslyn i uśmiechnął się.

- Ale chyba nie bardziej niż my.

RS